

A woman wearing a blue hijab and a matching blue business suit with a white shirt underneath. She is standing with her hands on her hips, looking directly at the camera. To her left, the handle and top of a silver suitcase are visible. The background is a light gray with a repeating pattern of stylized floral or damask motifs.

PRACA REZYDENTA
TURYSTYCZNEGO
W KRAJACH
ARABSKICH
ROZGRZEWA
WYOBRAŹNIĘ
I... MROZI
KREW
W ŻYŁACH

Marcin
MARGIELEWSKI

**SEKRETY
ARABSKICH
KURORTÓW**

Prószyński i S-ka

Marcin
MARGIELEWSKI



**SEKRETY
ARABSKICH
KURORTÓW**

Prószyński i S-ka

Copyright © Marcin Margielewski, 2023

Projekt okładki
Michał Kubacki

Zdjęcie na okładce
© Kiraliffe, LightFieldStudios/[Envato](#)

Redaktor prowadzący
Michał Nalewski

Redakcja
Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta
Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-8352-609-6

Warszawa 2023

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Wszystkie wydarzenia opisane w książce są relacją jej bohaterki i zdarzyły się naprawdę. Imiona i nazwiska uczestników oraz przebieg niektórych wydarzeń zostały zmienione dla zachowania ich pełnej anonimowości.

Prolog

Kraje arabskie często jawią się nam jak wakacyjny raj – i faktycznie w większości przypadków zasługują na to miano. Zdarza się jednak, że zmieniają się w prawdziwe piekło, i to w najgorszym jego wydaniu.

Kasia napisała do mnie niedługo po tym, jak do księgarń trafiła książka *Tajemnice hoteli Dubaju*. Przyznam, że początkowo ją zbyłem. W moim odczuciu temat miejsc, w których spędzamy wakacje w Emiratach, został wyczerpany. Ale pozostaliśmy w kontakcie i z czasem zrozumiałem, że nie mogłem się bardziej mylić.

Kasia była bardzo cierpliwa i gdy po dwóch latach od naszej pierwszej rozmowy zaproponowałem jej wspólną pracę nad książką, od razu się zgodziła, mówiąc, że wiedziała, że kiedyś się na to zdecyduje. Jej doświadczenia wyraźnie nauczyły ją czekać na właściwy moment. Jak każdego mojego rozmówcę, tak i ją spytałem, czy chciałaby się ujawnić, czy woli zachować anonimowość.

– Ja nie jestem tu ważna – odparła. – Ważne jest to, co chcę opowiedzieć.

– Ale przecież możesz to zrobić, ujawniając twarz – przekonywałem.

– Wtedy ta historia będzie tylko moja. A przydarzyła się wielu przede mną i może się zdarzyć kolejnym, choć mam nadzieję, że kogoś jednak uda mi się uchronić przed podobnym losem.

Ostateczną decyzję co do tego, czy Kasia ujawni swój wizerunek, pozostawiliśmy na sam koniec prac, a tymczasem opowiadana historia powoli zaczynała wypełniać strony tej książki. Początkowo było nawet bardzo zabawnie, momentami aż czułem klimat tego wakacyjnego rajku. Ale Kasia znalazła się po obu stronach i poznała również piekło.

Finalnie bohaterka tej opowieści postanowiła nie ujawniać swoich prawdziwych danych ani twarzy również ze względu na wykonywaną aktualnie pracę, choć bardzo możliwe, że ci, którzy podróżują, spotkają ją

na swojej drodze. A może, czytając tę książkę, przypomną sobie, że już ją spotkali.

Egipt i Zjednoczone Emiraty Arabskie przez lata były jej domem. Miejscem fantastycznych przygód, ekscytującego życia, wypełnionego sukcesami i miłością. A później wszystko nagle zmieniło się w trudny do opisanego koszmar. Podobny los spotkał wiele osób, które miały pecha lub popełniły drobny błąd spowodowany nieznaną prawą, obyczajów, a czasami po prostu znalazły się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie.

Podróżowanie to jedna z największych przyjemności w życiu. Wiedzą to wszyscy ci, którzy podróżują. Ci, którzy ich nie lubią, uważają je za kosztowne i ryzykowne. Obie grupy mają rację i pewnie żadna z nich nie jest w stanie przekonać strony przeciwnej, ale nie o to tu przecież chodzi.

Spotkania z Kasią były dla mnie początkowo wspaniałą rozrywką, a z czasem stały się mrożącą krew w żyłach przygodą, przypominającą stąpanie po linie nad bezdenną przepaścią. Były też nieprawdopodobnie pouczające. Momentami nawet stały się szokujące, gdy dowadywałem się o czymś, co sam bezwiednie robiłem i najwyraźniej tylko szczęście uchroniło mnie przed kłopotami.

Ta książka to bardzo ważna przestroga, ale także opowieść o krzywdzących stereotypach, w które nie warto wierzyć.

O wielkiej miłości, która nie zna granic, warta jest każdego pieniędzy i przetrwa największe trudności.

O ludzkiej naturze, która mimo że jest krucha i łatwo ją złamać, ma w sobie nieprzemątną wolę walki o przetrwanie.

O bezdusznym prawie, które wysysa duszę również z egzekwujących je ludzi.

I o tym, że nigdy, przenigdy nie można się poddawać.

CZEŚĆ I

ROZDZIAŁ 1

Pomyłka

Od kiedy w Dubaju działa metro, wielu jego mieszkańców i przyjeżdżających tam turystów, wybierając się na lotnisko, staje przed dylematem, czym na nie pojechać. Metro zdaje się niezawodne, ale dostanie się na stację często wiąże się z wędrówką w upale. Zamawianie taksówki na lotnisko natomiast zawsze niesie ze sobą ryzyko, bo kierowcy w Dubaju często podchodzą do podanych przez klientów adresów ze sporą swobodą. Wpływa na to najczęściej bariera językowa, choć w niektórych przypadkach również fakt, że niektóre adresy w mieście potrafią być bardzo mylące.

Ten, pod którym od kilku lat mieszkałam ze swoim narzeczonym Ziadem, z pewnością do takich należał, bo nie raz zdarzało mi się długo czekać na taksówkę albo musiałam tłumaczyć kierowcom, gdzie powinni podjechać.

Ziad pracował od rana. Nie mógł mnie odwieźć ani na lotnisko, ani do metra, sam zresztą spóźnił się tego dnia do pracy. Po chwili namysłu zdecydowałam, że nie mam wyjścia. Wędrówka z walizką do najbliższej stacji metra w trzydziestopięciostopniowym upale nie wchodziła w grę – bardzo możliwe, że zanimbym dotarła do celu, zamiast metra podwózkę zagwarantowałyby mi karetka. Taksówkarz oczywiście dotarł pod drzwi apartamentowca, w którym wynajmowaliśmy przyjemne dwupokojowe mieszkanko, z blisko godzinnym opóźnieniem. Cały ten czas wisiałam z nim na telefonie, próbując pomóc mu w znalezieniu adresu, ale szło mi dość opornie, bo mówiłam tylko ja, bez żadnego odzewu z drugiej strony. Na szczęście w końcu się udało. Wciąż miałam szansę zdążyć na swój lot. Pierwszy od bardzo dawna, więc był dla mnie naprawdę ekscytujący.

– *Where you from?* – padło standardowe, okraszone silnym pakistańskim akcentem i nieco nieskładne pytanie taksówkarza.

Teraz zrobiłeś się rozmowny? – pomyślałam nie bez ironii.

– *Poland* – odpowiedziałam jednak.

– *You fly Poland?* – zapytał mało gramatycznie.

Potwierdziłam, choć wtedy jeszcze nie miałam pojęcia, jak bardzo moja odpowiedź mija się z czekającą mnie rzeczywistością.

– *Oke, oke...* – rzucił kierowca, charakterystycznie kiwając głową.

Wyraźnie wyczerpał swój repertuar w zakresie small talku, bo do końca podróży już się nie odezwał. Co chwilę spoglądałam na zegarek w swoim telefonie, próbując oszacować, jakie mam szanse dotrzeć na pokład samolotu, zanim ten odleci. I choć te ciągle wydawały mi się wysokie, topniały z minuty na minutę.

Gdy wpadłam na lotnisko, odprawa bagażowa na mój lot właśnie dobiegała końca, nie musiałam nawet czekać w kolejce. Poszło sprawnie. Teraz, kiedy nie miałam już ze sobą walizki, moje szanse znowu wzrosły. Wszystko zależało od tego, jak szybko będę biegła, bo jako posiadaczka mocno już wysłużonej, ale wciąż ważnej karty e-Gate mogłam przeskoczyć odprawę celną w mgnieniu oka. Wszyscy rezydenci Dubaju, którzy mają taką kartę, wiedzą, jak wielkim dobrodziejstwem jest ten niepozorny dokument – pozwala omijać gigantyczne kolejki na lotniskach i przechodzić przez bramki, otwierając je w ułamku sekundy. Dziś nie jest to już taką nowością, ale zanim lotniska, w tym i to w Dubaju, opanowały bramki, które pozwalają odprawić się za pomocą paszportu, karta e-Gate była prawdziwym złotem.

Przyłożyłam plastikowy prostokąt do czytnika. Bramka wydała z siebie jakiś alarmujący dźwięk i pozostała zamknięta. Spróbowałam jeszcze raz. I tym razem bezskutecznie. Wiedziałam, że to kiedyś nastąpi, ale czy musiało właśnie teraz? Moja karta była już poważnie wytarta. Zdjęcie ledwo mnie przypominało, a swoje imię i nazwisko byłam w stanie odczytać tylko dlatego, że je znałam. W panice nie pomyślałam nawet, że tego typu dokumenty działają na impuls magnetyczny i to, co jest na nich nadrukowane, dla samych bramek nie ma żadnego znaczenia.

Miałam już tak mało czasu, że myśl o stanięciu w kolejce do odprawy ze wszystkimi podróżującymi poważnie mnie zaniepokoiła. Tyle razy wcześniej myślałam o tym, by wymienić kartę na nową. Pretensje mogłam mieć tylko do siebie. Panika narastała we mnie z każdą sekundą, gdy wciąż desperacko próbowałam otworzyć bramkę. Nie zwróciłam nawet uwagi na

mrugające przy niej światła. To znaczy widziałam je, ale myślałam, że jest to związane z moimi nerwowymi poczynaniami.

Nie mogłam się bardziej mylić.

– Przepraszam... mógłby mi pan pomóc? Mój samolot wkrótce rozpocznie boarding, a ja nie mogę przejść przez bramki... – powiedziałam do Emiraczyka w białej *dishdashy* z zawieszonym na szyi lotniskowym identyfikatorem.

Zauważywszy, że mam problem, szedł już w moim kierunku, rozmawiając przez krótkofalówkę. Kiedy znalazł się obok, zmierzył mnie gromiącym wzrokiem i bez słowa wyjął z mojej dłoni bezużyteczną kartę. Potem już nie zwracał na mnie szczególnej uwagi, tylko znowu powiedział coś po arabsku do trzymanej w dłoni niewielkiej krótkofalówki. Miał kamienną twarz, zupełnie nie zdradzała emocji, ale był tam po to, by mi pomóc, więc był to z jego strony akt uprzejmości. Przynajmniej taką miałam nadzieję. Wydawał mi się jedyną szansą na to, że uda mi się wyjść z opresji. Ostatnią nadzieją, że polecę tego dnia do domu.

To był bardzo ważny wyjazd. Miałam tydzień na to, by przygotować swoją rodzinę na spotkanie z moim przyszłym mężem. Cztery miesiące wcześniej Ziad mi się oświadczył i oboje uznaliśmy, że to najwyższy czas, by poznał moją rodzinę. Ja miałam już okazję poznać jego mamę – może nie było to najłatwiejsze ze spotkań, ale miałam je za sobą. Aby uniknąć podobnych problemów z moimi rodzicami, leciałam wcześniej, a Ziad miał do mnie dołączyć. Nie brałam pod uwagę jakichkolwiek trudności. Cóż mogło się nie udać, skoro w ciągu ostatnich miesięcy słońce nieustająco świeci po naszej stronie chodnika. Wyglądało jednak na to, że właśnie zasnuwają je chmury.

Za plecami mężczyzny, który miał mi pomóc rozwiązać problem z kartą, wyrosło nagle dwóch strażników.

– Proszę za mną. Musimy to sprawdzić – powiedział, po czym odwrócił się i nie czekając na moją reakcję, ruszył przed siebie.

Brzmiał groźnie, ale był moją ostatnią szansą na znalezienie się na pokładzie samolotu, którym miałam lecieć do Warszawy.

– Nie wiem, co się stało. To pewnie dlatego, że mam tę kartę od dawna... Jest już zupełnie starta, a może się rozmagnesowała – próbowałam nawiązywać konwersację, uśmiechając się najszerzej, jak potrafiłam, w nadziei, że to przyspieszy sprawę, choć wiedziałam, że jestem w kraju,

którego obywatele nie uznają pośpiechu. No, chyba że są właścicielami lamborghini z milionem koni mechanicznych pod maską.

Mężczyzna, który szedł krok przede mną, kompletnie nie był zainteresowany tym, co mam do powiedzenia. Nie reagował. Nawet się nie odwracał. Zorientowawszy się, że mój monolog nie ma sensu, zaczęłam rozważać potencjalne opcje wyjścia z opresji w przypadku, gdyby nie udało mi się rozwiązać problemu z odprawą i nie dotarłabym do bramki na czas.

Mojego biletu nie dało się zmienić. Jak większość ludzi, nie przepłacam za tę opcję. I do tej pory nigdy mi się nie przydała. Wydawanie fortuny na inny lot nie było mi na rękę, ale tak bardzo chciałam dostać się do domu, że byłam gotowa to zrobić. Na razie piłka wciąż jeszcze była w grze. Wiedziałam, że nie mogę się poddać. Trzy tysiące dirhamów piechotą nie chodzi, dlatego przyspieszyłam kroku, idąc za moim wybawcą. Wprawdzie dostałam ostatnio awans, który praktycznie podwoił moje dochody, ale otrzymałam dopiero trzy takie pensje, a obiecaliśmy sobie z Ziadem, że będziemy zbierać każdy grosz, by kupić mieszkanie. Nie zdecydowaliśmy jeszcze gdzie, bo w grę wchodził oczywiście Dubaj, ale Ziad jest z Egiptu, a ja z Polski, więc niewykлучzone, że przenieśliśmy się do któregoś z tych krajów. Oczywiście w tamtym momencie nie miało to większego znaczenia. Byłam gotowa kupić nowy bilet, ale nie miałam zamiaru odpuszczać tego, dopóki wciąż jeszcze miałam szansę z niego skorzystać.

Dwaj funkcjonariusze, którzy towarzyszyli Emiraczykowi, znaleźli się tuż za mną. Wyglądali trochę groźnie, ale przecież nie miałam się czego bać – nie zrobiłam nic złego. Staralam się ich ignorować, przekonując samą siebie, że pewnie takie są tu procedury. Nie byłyby pierwszymi dziwnymi, z jakimi spotkałam się w Emiratach.

Przeszliśmy wzdłuż bramek do wąskiego, otwieranego identyfikatorem przedsiionka służbowego, za którym znajdował się wąski korytarz wiodący do małego pomieszczenia. Pamiętam swoją pierwszą myśl, gdy do niego weszłam. Wygląda jak pokój przesłuchań! Nie bałam się jednak. Wciąż działałam w trybie mocno spóźnionej pasażerki próbującej zdążyć na odlatujący wkrótce samolot. Zwątpiłam, dopiero gdy w dość obcesowy sposób kazano mi usiąść i czekać, a chwilę później zostałam sama.

To tak naprawdę był pierwszy moment, gdy pomyślałam, że sytuacja może być znacznie poważniejsza, niż początkowo mogło się wydawać. Ale wciąż jeszcze nie miałam pojęcia, co tak naprawdę się dzieje. Przecież

wylatywałam z tego lotniska dziesiątki razy i nigdy nie miałam kłopotów z przejściem przez odprawę. A nawet jeśli teraz miałyby się pojawić, nie mogło być to nic, czego nie dałoby się w prosty sposób wytłumaczyć. Problem w tym, że nikt nie chciał tu ze mną rozmawiać.

Patrzyłam na zegarek w swoim telefonie teraz już całkowicie pewna, że tego dnia nigdzie nie polecę. Obawy o to, czy zdążę na samolot, zastąpiły teraz zupełnie inne – o to, co w zasadzie się dzieje i dlaczego zaprowadzono mnie do izolatki i praktycznie w niej zamknięto. Od chwili, gdy wyszłam tego ranka z domu, przez cały czas moje myśli skupione były tylko na jednym – do tego stopnia, że w zasadzie nie docierało do mnie, jak przedziwnego biegu nabrały wydarzenia.

Samolot, którym miałam lecieć, od godziny był już w powietrzu, gdy w pokoju ponownie pojawił się mężczyzna spod bramek. W ręku trzymał plik dokumentów, a wśród nich przezroczystą, foliową koszulkę, w której dostrzegłam swoją kartę e-Gate. Ku mojemu zaskoczeniu przeciętą na pół. Wrodzony optymizm najpierw podpowiedział mi, że to pewnie dlatego, że zaraz dostanę nową, ale chwilę później moje myśli zasnuła trwoga, którą spotęgowało zachowanie mężczyzny.

Usiadł przede mną i powiedział perfekcyjnym, lekko tylko zdradzającym arabskie korzenie angielskim:

– Ma pani niespłaconą pożyczkę. Bank zgłosił sprawę policji, dlatego nigdzie pani nie poleci. Za chwilę przyjedzie tu przedstawiciel banku, w którym zalega pani ze spłatą... Wyjaśnicie sobie sprawę, a potem panią stąd zabiorą.

Zrobiło mi się słabo. Przez chwilę myślałam, że stracę przytomność, i musiałam walczyć, kurczowo trzymając się świadomości.

Nigdy nie brałam żadnej pożyczki. Owszem, miałam kartę kredytową, ale regularnie ją spłacałam.

To musiała być pomyłka!

– To musi być pomyłka!

– Z pewnością – odpowiedział mężczyzna, ale w jego głosie pobrzmiwała ironia, która zdradzała, że nie wierzy w moje słowa. – Jeśli tak jest, będzie pani wolna w bardzo krótkim czasie.

– Ale ja nie brałam żadnej pożyczki. Nigdy! Musi mi pan uwierzyć! To jest pomyłka...

– Każdy tak mówi. Ale to nie moja sprawa, ja zrobiłem już swoje – odpowiedział wyraźnie znudzonym tonem. – Zaraz po panią przyjadą i zabiorą. Dalej będzie pani rozmawiać już z nimi.

– Ale z kim? Kto po mnie przyjedzie? I dokąd mnie zabiorą?

Mężczyzna nie odpowiedział. Spojrzał na mnie tylko gromiącym wzrokiem, z którego dało się wyczytać, że kompletnie nie obchodzi go to, co się ze mną stanie, i nie ma zamiaru kontynuować tej rozmowy. Zabrał ze stołu dokumenty i podniósł się z krzesła, by po chwili zniknąć za drzwiami.

Znowu zostałam sama.

I tym razem byłam szczerze przerażona. Historie o tym, co dzieje się z ludźmi, którzy w krajach arabskich nie spłacają swoich długów, słyszałam wiele razy, ale ja nie miałam żadnych długów. Już same opowieści o karach powodowały we mnie taki strach, że nie zdobyłabym się na takie ryzyko. Poza tym pożyczki i kredyty nie pasowały do mojego stylu życia. Podróże nauczyły mnie nigdzie nie zapuszczać korzeni, a nic tak nie uziemia jak kredyt. Nawet przez myśl mi to nie przeszło, a gdyby nie fakt, że w Dubaju do załatwienia wielu rzeczy potrzebna jest karta kredytowa, pewnie nawet jej bym nie miała. Mój limit zresztą był równy połowie mojej miesięcznej pensji. Pozwalał na płatności w internecie i regulowanie rachunków, ale w przypadku jakiegoś niepowodzenia był łatwy do spłacenia.

Dlatego byłam pewna, że to pomyłka – i że da się ją szybko wyjaśnić. Przecież ludzie pracujący w bankach są rozsądni, bez trudu się zorientują, że doszło do nieporozumienia.

Nie miałam wyjścia. Musiałam trzymać się tej wersji i cierpliwie czekać na rozwój wydarzeń.

Rozwazałam, czy powinnam zadzwonić do Ziada. Rozmowa z nim na pewno by mnie uspokoiła, ale był teraz w pracy, miał mało czasu, a zdawkowe informacje mogły tylko spowodować, że niepotrzebnie się zmartwi. Ostatecznie więc stwierdziłam, że skontaktuję się z nim po tym, jak porozmawiam z ludźmi z banku. Będę wiedziała, na czym stoję, a może po prostu mnie wypuszczą i będę mogła opowiedzieć mu o wszystkim osobiście.

Minęła kolejna godzina. W końcu do pokoju, w którym mimo działającej klimatyzacji zrobiło się bardzo gorąco, weszły trzy osoby – ubrany w garnitur Hindus i dwóch emirackich policjantów. Ten w garniturze

przywitał się z uśmiechem i usiadł naprzeciwko mnie, a funkcjonariusze stanęli przy drzwiach. Możliwe, że nie mieli wyjścia, bo w pokoju nie było więcej krzeseł, ale niewykluczone, że miał to być element zastraszenia mnie. Policjanci pilnujący drzwi zawsze robią wrażenie i trudno ich lekceważyć. Nie miałam zamiaru stamtąd uciekać, a nawet gdybym miała taki pomysł, nie czekałabym do momentu, aż zaczną mnie tak ostentacyjnie pilnować, ale ich obecność spełniła swoją funkcję. Jeśli chodziło im o to, by mnie wystraszyć, byłam przerażona.

– Ma pani niespłaconą pożyczkę w naszym banku – powtórzył po moim poprzednim rozmówcy mężczyzna zaraz po tym, jak się przedstawił. – Co z tym zrobimy?

– Nie brałam w waszym banku żadnej pożyczki – powiedziałam zgodnie z prawdą.

– Obawiam się, że z dokumentów wynika coś wprost przeciwnego – ciągnął, pochylając się nad teczką, z której wyciągnął jakieś wydruki. Położył je przede mną. – To pani wniosek o kredyt, prawda?

Spojrzałam na dokument. Był wypełniony na mnie. Miał wszystkie moje dane i idealnie złożony podpis.

– Proszę przejrzeć wszystkie – zachęcił Hindus.

Wzięłam do ręki plik papierów. Była między nimi kopia mojego paszportu i wizy rezydenta, był też podpisany weksel.

– Jest pani winna naszemu bankowi dwieście pięćdziesiąt tysięcy dirhamów. Nie spłaciła pani żadnej z wymaganych dotychczas czterech rat, nie odpowiedziała pani na żaden z ponaglających maili, telefon, który podała pani bankowi, nie odpowiada, wygląda na to, że został wyrejestrowany. Sprawdziliśmy. Również był zarejestrowany na panią. – To mówiąc, mężczyzna wyciągnął dokument potwierdzający zakup telefonu na kartę w centrum handlowym Ibn Battuta. Do niego też dołączona była kserokopia mojego paszportu i wizy. – Obawiam się, że w zaistniałej sytuacji nasza umowa kredytowa nie może być kontynuowana na ustalonych warunkach. Musi pani wpłacić całą należność jednorazowo wraz ze wszystkimi kosztami postępowania. Wtedy bank w ciągu kilku dni wycofa zawiadomienie w organach ścigania i wyjdzie pani na wolność.

Na wolność? Czy oni naprawdę zamierzają mnie zamknąć?

Nie wiedziałam, który z tych tematów podjąć najpierw. Nie mogłam pójść do więzienia, ale też nie mogłam spłacić pożyczki, której nigdy nie

zaciągnęłam, pomijając już, że była to dla mnie niewyobrażalna kwota.

– Ale ja naprawdę nie wzięłam tej pożyczki – powtórzyłam.

Hindus znowu uśmiechnął się szeroko.

– Więc jakim cudem mamy pani dokumenty? Czy ma pani przy sobie swój paszport?

– Tak, oczywiście... – odparłam, natychmiast go wyciągając w nadziei, że rzuci to nowe światło na sprawę.

Mężczyzna otworzył paszport na stronie ze zdjęciem i przysunął go do wydruku w pliku dokumentów.

– Proszę spojrzeć. To dokładna kserokopia pani paszportu. Nie ma mowy o fałszerstwie. Nasz bank od kilku lat nie przyjmuje już nawet kopii paszportów podstemplowanych przez pracodawcę. Kredytobiorca musi osobiście pojawić się w placówce z dokumentem. Na każdej zrobionej w banku kopii podpisuje się pracownik zajmujący się sprawą. Rozmawiałem z pracownicą, która zajmowała się tymi dokumentami, i potwierdziła ona, że brała pani pożyczkę osobiście. Dla pewności sprawdziłem również kamery monitoringu. Dokładnie w dniu składania wniosku była pani u nas, ubrana w *abaję* i *hidżab*...

– *Abaję*?

Owszem, miałam *abaję* w hotelowym biurze na wszelki wypadek, ale założyłam ją tylko raz, gdy musiałam wziąć udział w trudnej sprawie z grupą saudyjskich gości. Nigdy wcześniej ani nigdy później nie miałam jej na sobie.

– Ja nie chodzę w *abai*. Uważam, że nam, Europejkom, nie wypada jej nosić – powiedziałam.

– Nie wiem, co wypada nosić Europejkom, a co nie. Ale na pewno nie wypada im brać pożyczek i ich nie spłacać. Tego dnia ewidentnie była pani w naszym banku w *abai*. Widziałem nagrania, nie mam wątpliwości, że to była pani.

Czułam się, jakby ktoś wessał mnie do jakiejś alternatywnej rzeczywistości, a potem wypluł do tej, w której znajduję się teraz, żebym poniosła konsekwencje czynów swojego alter ego. Jakbym faktycznie wzięła pożyczkę, której nigdy nie brałam, ubrana w ciuchy, których nie nosiłam, w banku, w którym nigdy nie byłam.

A może to objaw jakiejś choroby psychicznej? – zastanawiałam się. Może mam schizofrenię, a moja druga, niekontrolowana osobowość ma

skłonności do dużych wydatków i zaciągania poważnych zobowiązań, przed którymi ucieka, kryjąc się gdzieś w czeluściach mojej podświadomości. Pożyczone pieniądze nie były jednak urojone. Gdzie zatem są?

Ta wersja wydawała mi się niedorzeczna, ale wcale nie mniej niż to, co właśnie stało się moim udziałem.

– Co ja mam teraz zrobić? – spytałam bliska łez.

– Kredyt ma status natychmiastowej wymagalności, więc albo zrobi nam pani przelew od razu, albo niestety będziemy musieli na niego poczekać...

– Hindus znowu się uśmiechnął.

– Ale ja nie mam takich pieniędzy. Musiałabym je jakoś zebrać... Mam trochę oszczędności, muszę podzwonić, ale załatwię... Mogę teraz przelać jakieś dwadzieścia tysięcy. Tyle mam na koncie. – Nie miałam pojęcia, skąd miałabym wziąć resztę tej kwoty, ale przecież musiałam znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji.

– Obawiam się, że to nic nie da – usłyszałam w odpowiedzi. – Natychmiastowa wymagalność oznacza, że musi pani wpłacić całą wymaganą kwotę. Wpłacenie jej części nie zmieni w pani sytuacji absolutnie niczego.

– I co ze mną będzie...?

– W takich przypadkach dłużnicy trafiają do aresztu lub więzienia, w zależności od tego, jak długo zajmuje im spłata należności.

Ziemia się pode mną rozstała, a moje ciało przeszył gorący powiew piekielnych czeluści.

– Ja nie mogę pójść do więzienia... – wydusiłam.

– Doskonale. Zatem wracamy do opcji pierwszej. Załatwmy ten przelew i w ciągu kilku godzin będzie pani znów wolnym człowiekiem. Oczywiście obawiam się, że z powodu tego incydentu nie będzie pani już mogła zatrzymać swojej rezydentury w Dubaju, ale przynajmniej odleci pani do swojego kraju bez najmniejszych problemów.

Stracę rezydenturę? Nie będę mogła już wrócić do Dubaju? A co z Ziadem? Z naszą przyszłością?

Groziło mi więzienie, miałam do spłacenia potężny dług, którego nie zaciągnęłam, miałam zostać wydalona z miejsca, w którym żyłam, z dala od mojego narzeczonego, w którym byłam na zabój zakochana, a do tego wszystkiego miałam stracić pracę, co było oczywistą konsekwencją zakazu

wstępu do Dubaju. Całe moje życie w jednej chwili runęło jak wybudowany na pustyni zamek z piasku.

– Więc jak będzie? Co zrobimy z tym fantem? – spytał po chwili mężczyzna z uśmiechem nieschodzącym z twarzy.

– Nie mam takich pieniędzy – powtórzyłam z rezygnacją. – A jak mnie zamkniecie, nigdy nie będę w stanie ich zdobyć.

– Niestety takie są procedury. Uczciwość jest w tym kraju na pierwszym miejscu i zaciągane długi trzeba spłacać.

Milczałam. Nie miałam już siły polemizować.

– Rozumiem zatem, że musimy się rozstać. Panowie... – Na znak przedstawiciela banku do mojego krzesła podeszli policjanci, po czym sprawnie skuli mnie w kajdanki.

– Mogę jeszcze zadzwonić? – spytałam.

– To już nie zależy ode mnie. – Hindus rozłożył ręce.

– Panowie... – zwróciłam się do policjantów, ale ci pociągnęli mnie za sobą, udając głuchych na moje słowa.

Ze spóźnionej na samolot pasażerki stałam się oskarżoną o defraudację przestępczynią w drodze do więzienia. Nie miałam innego wyjścia, jak tylko pogodzić się z losem i wymyślić plan, jak wydostać się z opresji. W tamtym momencie jednak byłam tak przerażona, że nie miałam pewności, czy w ogóle czeka mnie jakakolwiek przyszłość.

Zostałam zaprowadzona do pomieszczenia, w którym pod ścianą stało sporo bagaży, a na środku duży skaner do wykrywania metalowych przedmiotów i materiałów wybuchowych. Widziałam już podobne na lotniskach, ale ten wyraźnie nie był używany powszechnie. Uwolniono mnie z kajdanek i kazano wejść do środka. Zupełnie jakby istniało niebezpieczeństwo, że poza niespłacaniem pożyczek zajmuję się również przemytem broni lub narkotyków. Na szczęście okazało się, że tego nie można mi zarzucić.

Chwilę później moje ręce znowu były spętane kajdankami. Kobieta, która pracowała przy skanerze, spytała mnie, czy to moja walizka, wskazując na wycofany z luku bagaż. Była moja, ale nie miałam szans, by ją odebrać. Musiała zostać tam, gdzie stała. W tamtym momencie była najmniejszym z moich problemów.

– Jak ty przeszłaś przez check-in? – rzuciła za mną, wzdychając z dezaprobatą.

Wtedy nie bardzo rozumiałam ten komentarz. Dopiero po czasie się dowiedziałam, że osoby w mojej sytuacji, takie, którym z powodu zarzutów karnych nałożono tak zwany *travel ban*, z reguły nie są w stanie nawet się odprawić. Agentom przy stanowiskach odprawy wyświetla się wtedy komunikat, że pasażer ma zakaz podróżowania, i muszą ten fakt zgłosić przełożonym. W moim przypadku – być może przez przeoczenie – nic takiego się nie stało i moja walizka powędrowała do samolotu, którym miałam lecieć. Przed odlotem, już po informacji o moim zatrzymaniu, zgodnie z procedurami obsługa ją wycofała, ale nie zmieniało to w mojej sytuacji niczego, bo zanosilo się na to, że wkrótce jedyne ubrania, jakie będę nosić, to stylowe więzienne wdzianko.

Niedługo potem wciąż towarzyszący mi funkcjonariusze poprowadzili mnie do wyjścia z budynku lotniska. Z każdym krokiem w korytarzu robiło się coraz goręcej, klimatyzacja nie docierała tu ze swoim orzeźwiającym powietrzem. Miałam wrażenie, że zaraz zemdleję, a gdy wyszliśmy na ogromny, niedostępny dla osób postronnych parking, świat przed moimi oczami zaczął się zamazywać. W pewnym momencie osunęłam się na ziemię i straciłam kontakt z rzeczywistością.

Ocknęłam się na tylnym siedzeniu radiowozu, oddzielona od policjantów kratą, która szybko przypominała mi wszystko, co zdarzyło się do tej pory, wciąż jednak nie mogłam dojść do siebie. Świat wirował mi przed oczami, jakbym właśnie zsiadła z rozpędzonej do granic karuzeli. Nie zwracałam uwagi na drogę i do dziś tak naprawdę nie wiem z całą pewnością, dokąd mnie zawieziono tamtego dnia. Podejrzewam, że były to budynki w okolicy Al Aweer, ale nie było to więzienie, choć chwilę po tym, jak tam dotarliśmy, zamknięto mnie w pokoju bez okien, z jednym łóżkiem, zabierając mi wszystko, co miałam przy sobie, w tym również telefon. Panowała tam absolutna cisza i przyjemny chłód, choć nie było klimatyzacji, a jedynie nawiew w suficie. Był on jedynym punktem, na którym mogłam zawiesić wzrok. Nikt ze mną nie rozmawiał, nie zadawał pytań, nie wydawał poleceń. Zostałam po prostu wprowadzona do tego przedziwnego pokoju i zostawiona tam bez słowa.

Zważywszy na to, że spodziewałam się obscurnego więzienia i cel dzielonych z niebezpiecznymi współosadzonymi, nie był to najgorszy scenariusz – tak przynajmniej podpowiadał mi mój niepoprawny

optymizm... W rzeczywistości jednak moja sytuacja była absolutnie beznadziejna.

Dwa razy dziennie przynoszono mi jedzenie i butelkę wody. Posiłkami odmierzałam czas. Były jedynym sposobem na to, by zorientować się w jego upływie. Domyślałam się, że jogurt i owoce są na śniadanie. Ryż z sosem i pyszne jak na więzienne warunki *tabbouleh* były zapewne kolacją. Naliczyłam ich po pięć.

Niedługo po piątym śniadaniu do mojego pokoju wszedł mężczyzna w garniturze, którego poznałam już na lotnisku. Znowu się przedstawił, ale i tym razem nie zapamiętałam jego nazwiska. Wymienił nazwę banku, którą znałam tylko z krzykliwych reklam i szyldów, choć rzekomo naciągnęłam go na poważną kwotę.

– Mam nadzieję, że dobrze tu panią traktują – powiedział.

Skinęłam głową w milczeniu, ale szybko zdałam sobie sprawę, że nie mogę na tym poprzestać. Muszę walczyć o wolność. Nie mogę się tak po prostu pogodzić ze swoim losem i pozwolić im oskarżać mnie o przestępstwo, którego nie popełniłam.

– Dlaczego mnie tu przetrzymujecie? Kiedy mnie wypuścicie? – rzuciłam w nagłym przypływie frustracji.

Mężczyzna uśmiechnął się ze spokojem. To wyraźnie była jego metoda negocjacji z przeciwnikiem.

– Myślałem, że już sobie to wyjaśniliśmy...

– Tak, twierdzicie, że wzięłam pożyczkę, której nie wzięłam.

– To pani tak twierdzi. My twierdzimy coś zupełnie przeciwnego i chcemy odzyskać zaciągnięty dług.

– Nigdy go nie zaciągnęłam, ale nawet jeśli miałabym wam oddać te pieniądze, jak mam je zdobyć, gdy siedzę zamknięta w tym pokoju i jestem kompletnie pozbawiona kontaktu ze światem? – argumentowałam.

– Właśnie w tej sprawie tu przyjechałem. Mam dla pani propozycję, która pomoże nam załatwić sprawę i wreszcie o niej zapomnieć – powiedział tonem pełnym udawanej troski.

Do tej pory nawet moje skłonności do odrealnionego optymizmu nie podsuwały mi zbyt wielu pomysłów na wyjście z tego impasu, więc jego słowa dały mi ogromną nadzieję na to, że ten koszmar wreszcie się skończy.

Tymczasem mężczyzna otworzył teczkę i wyjął z niej spisany w języku arabskim dokument.

– Mam tu warunkowe zwolnienie na trzydzieści dni. Wyjdzie pani na wolność, ale proszę nie dać się jej zwieść.

– A co się stanie po trzydziestu dniach?

– Trafi pani przed sąd, a potem do więzienia. Chyba że odda nam pani pożyczone pieniądze. Wówczas bank jest gotowy odstąpić od oskarżenia. Będzie pani mogła uniknąć kary, jeśli w ciągu trzydziestu dni odda pani pieniądze – tłumaczył.

– Jeśli je oddam, nie będzie to chyba żadna łaska.

– Będzie! Jesteśmy w Dubaju. Tu oddanie przedawnionego długu wcale nie oznacza, że dłużnik nie popełnił przestępstwa. Ale jeśli otrzymamy zwrot, nie zwrócimy się do sądu o ukaranie i będzie pani mogła opuścić Dubaj.

– Myślałam, że i tak mnie deportują?

– Deportują, ale dopiero po tym, jak załatwimy sprawę długu. Tak czy inaczej, dopóki nie otrzymamy pieniędzy, nie odzyska pani wolności. Radzę skorzystać z tej szansy, bo inaczej może pani jedynie pogorszyć swoją sytuację.

W przeciwieństwie do krajów zachodnich Zjednoczone Emiraty Arabskie traktują niespłacone długi jako sprawę karną, a nie cywilną. Pożyczkobiorca zalegający z płatnościami może zostać skazany na więzienie. Oddanie długu nie jest równoznaczne z zamknięciem sprawy. To jest bezwarunkowe i nie podlega negocjacom, ale oprócz windykacji spłaty dłużnika może czekać jeszcze odsiadka jako kara za samo zaleganie z ratami. Nie jest ona wymierzana obligatoryjnie, ale często się zdarza, że po spłacie kredytu dłużnik i tak trafia do więzienia.

Osoba, przeciwko której wytoczono postępowanie, dostaje wyrok (często zaoczny, choć zdarza się, że zapada on również podczas regularnej rozprawy), po którym zostaje zwolniona na trzydzieści dni, aby mogła zorganizować należne pieniądze. Jeśli nie uda jej się tego zrobić, trafia ponownie przed sąd i zostaje skazana na karę bezwzględnego więzienia, która tylko teoretycznie określona jest na maksymalnie trzy lata. W praktyce dłużnik pozostaje w niewoli aż do momentu, kiedy jego dług zostanie w całości spłacony.

Nie miałam pojęcia, że ten spisany po arabsku dokument to tak naprawdę wydany na mnie zaocznie wyrok. Aby nie przedłużać sprawy, bank postarał

się w sądzie o załatwienie tej formalności bez mojej obecności i w błyskawicznym tempie.

Mężczyzna poprosił, bym podpisała papiery, a ja to zrobiłam, choć nie miało to najmniejszego wpływu na mój dalszy los. Nic w tej kwestii nie zależało ode mnie. Jedyne, co mogłam zrobić, to zgodzić się na współpracę, bo wyjście na wolność, nawet warunkowe i na ograniczony czas, było znacznie lepsze niż pozostawanie w zamknięciu, w miejscu, z którego nie byłam w stanie skontaktować się z nikim.

Ciągle wracała do mnie myśl, że Ziad nie ma pojęcia, co się ze mną dzieje. Obiecałam, że zadzwonię do niego zaraz po przylocie. Musi odchodzić od zmysłów. Podobnie zresztą jak moja rodzina, czekająca na mnie od kilku dni w Polsce. Wiedzieli, kiedy mam przylecieć, musieli już się dowiedzieć, że nie wsiadłam do samolotu, i na tym ich wiedza się kończyła. Dla nich przepadałam bez wieści. Choćby dlatego musiałam czym prędzej wyjść na wolność. Byłam gotowa podpisać cyrograf z samym diabłem.

– Rozumiem, że jesteśmy w stanie się dogadać? – spytał Hindus.

– Tak – wyszeptałam, bo trudno mi było wykrzesać z siebie entuzjazm. Owszem, miałam w perspektywie kilka chwil wolności. I prysznic, którego nie brałam od paru dni. Ale nie byłam w stanie się z tego cieszyć. To był tylko przebłysk słońca pomiędzy ciężkimi burzowymi chmurami, które zebrały się nad moją głową. Wiedziałam, że zaraz zniknie... Zawsze byłam optymistką, ale nigdy nie byłam naiwna.

– Doskonale. Za chwilę przyjdą tu po panią i załatwią resztę formalności.

Faktycznie przyszli. Niespełna godzinę później stałam na przystanku autobusowym w miejscu, w którym nie byłam nigdy wcześniej. Tu zostawili mnie funkcjonariusze. Włączyłam telefon. Jakimś cudem zachował kilka procent baterii.

Zadzwoniłam do Ziada.

Nie odebrał. *Shit!* Tak bardzo potrzebowałam jego pomocy...

Minęło kilka minut, gdy mój telefon zaczął wibrować.

Ziad! Oddzwania!

– *Habibti*, doleciałaś? Dlaczego się nie odzywałaś tyle czasu? Próbowałam się z tobą skontaktować. Wiem, że nie wsiadłaś do samolotu. Co się stało? Martwiłem się. Nie możesz mi tego robić – wyrzucił z siebie z ulgą. – I dlaczego dzwonisz z tego telefonu? Nie masz polskiego numeru?

– W jego pytaniach pobrzmiewało zdziwienie, troska, ale i pretensje. – Czekałem na telefon z twojego polskiego numeru... Jesteś w Dubaju?

Nie wiedziałam, na co odpowiedzieć najpierw. Powiedziałam więc tylko:

– Jestem w Dubaju. Możesz po mnie przyjechać?

I zanosłam się płaczem. Przez cały ten czas nie byłam w stanie się rozpłakać. Strach zablokował wszelkie inne emocje. Teraz tama puściła.

– *Habibti*, oczywiście! Gdzie jesteś? – Ziad był wyraźnie zaniepokojony moją reakcją.

– Nie wiem.

– Wyślij mi pinezkę. Już po ciebie jadę.

Zrobiłam to w ostatnim momencie. Chwilę później bateria w moim telefonie straciła moc.

Usiadłam na rozpalonym słońcem krawężniku. Jego temperatura w krótkim czasie dotarła do mojego ciała. Parzyło, ale postanowiłam nie wstawać. To było przedziwne, bolesne, jednak z jakichś kompletnie niezrozumiałych powodów pragnęłam tego. Nigdy nie rozumiałam ludzi, którzy celowo zadają sobie ból fizyczny, tłumacząc, że pomaga im on ukoić ten psychiczny. Teraz moje ciało cierpiało, skóra piekła, paliła, ale to wyciszało moje emocje.

Kiedy kilkadziesiąt minut później usiadłam w schłodzonym, klimatyzowanym samochodzie mojego narzeczonego, dotarło do mnie, że to bardzo niepokojący objaw. Sytuacja, w której się znalazłam, kompletnie mnie załamala. W jednej chwili ze szczęśliwej dziewczyny, mającej mnóstwo powodów do radości, stałam się rozbitym o skały wrakiem, który nie miał szans na dalszy rejs, mógł tylko czekać, aż zacznie tonąć.

– *Habibti*, co się stało? – Ziad złapał czule moją dłoń i nie puszczał nawet na chwilę, choć przecież prowadził samochód.

Wciąż byłam wewnętrznie rozedrgana, ale poczułam się nieco lepiej. Opowiedziałam mu o wszystkim, co mnie spotkało.

– Ale przecież to musi być pomyłka. Ty nie brałaś żadnej pożyczki – powiedział to, co od samego początku próbowałam tłumaczyć.

– Oczywiście, że nie. Ale nikt nie chce mi uwierzyć.

– Pójdziemy do Baracka – zdecydował. – On na pewno coś poradzi. Nie martw się niczym. Nie zrobiłaś nic złego. Nie pozwolę cię skrzywdzić.

Chciałam wierzyć w te słowa, ale miałam przeczucie, że mimo najszczerzych chęci Ziad nie jest w stanie uchronić mnie przed tym, co

nadchodzi. Zawsze byłam osobą, która kurczowo trzymała się nadziei, choćby ta była najbardziej niedorzeczna, ale teraz nie byłam w stanie już tego z siebie wykrzesać. Realizm mojego położenia kompletnie mnie przytłoczył. Czułam, że te trzydzieści dni wolności, które otrzymałam z łaski na zorganizowanie pieniędzy, to dla mnie jedynie czas na przygotowanie się do życia w więzieniu. Albo na zakończenie go, zanim tam trafię.

ROZDZIAŁ 2

Rezydentka

Moi licealni znajomi w większości nie planowali wyjechać z naszego rodzinnego miasta. Położone niemal równo pomiędzy Łodzią a Warszawą, dawało nam wszystkim wygodną opcję pójścia na studia w którymś z tych miast, ale większość zaraz po ich ukończeniu wróciła. Nie wiem, czy to kwestia lokalnego patriotyzmu, czy może fakt, że nauczyciele w naszym liceum emanowali energią ludzi, którzy przegrali życie, co ostatecznie musiało odbić się na ich uczniach w postaci mocno zaniżonych ambicji. Oczywiście nie twierdzę, że mieszkanie w małym mieście to coś złego i że nie można w nim realizować swoich ambicji, ale moi rówieśnicy rzadko mówili o marzeniach, planach, o przyszłości. Miałam wrażenie, że kompletnie o niej nie myśleli. Ważne było to, co tu i teraz, choć jednocześnie było to dalekie od hedonizmu. Bardziej przypominało dbanie o realizację podstawowych doraźnych potrzeb. Już w młodym wieku przypominali własnych rodziców, którzy nie mieli innego wyjścia, musieli się martwić o codzienne sprawy. Ale oni, młodzi, mogli przecież marzyć, planować, podróżować, buntować się. Tymczasem wracali, pospiesznie zakładali rodziny i wędli pod naporem codziennych obowiązków.

To było masowe i dla mnie osobiście kompletnie niezrozumiałe zjawisko. Ja nie nadawałam się do zapuszczania korzeni. Od kiedy pamiętam, wiedziałam, że nie zagrzeję zbyt długo miejsca w swoim rodzinnym mieście. Byłam jedną z tych nielicznych, którzy od początku czuli, że świat ich wzywa. Aby nie komplikować swoich relacji z rodzicami, którzy zawsze bardzo mnie kochali, choć każde na swój sposób, postanowiłam wybrać studia w bezpiecznej, trzystukilometrowej odległości. Pozwalało to na wizyty na tyle częste, by tęsknota tak nie bolała, ale jednocześnie na tyle rzadkie, by mama nie była w stanie zabrać się do urządzania mi życia.

Wystarczy, że urządziła je mojej starszej siostrze, która przerwała studia, by wyjść za mąż, a wkrótce potem wozila już w wózku dwójkę dzieci. Mama wcale nie miała jej tego za złe, wręcz przeciwnie – utwierdzała ją w przekonaniu, że to była najlepsza decyzja, jaką mogła podjąć.

– Książki to i na emeryturze można czytać, a dzieci trzeba rodzić za młodu – mawiała. Na tym jednak na szczęście kończyła swoje wywody, bo nauczyła się już, że w dzisiejszych czasach za szerzenie herezji, że kobieta powinna poświęcić życie na rodzenie dzieci, a studia nie są jej do tego potrzebne, grozi społeczny ostracyzm. Co oczywiście nie znaczy, że tak nie myślała.

Życiowe decyzje mojej siostry zajęły mamę na tyle, że gdy przyszedł czas na moje, miałam szansę czmychnąć, choć wiem, że mojemu młodszemu, prawie siedemnastoletniemu w tej chwili bratu już się to pewnie nie uda, bo gdy starsze wnuki dorosną, mama na pewno zapagnie młodszych. Żeby było jasne – to najwspanialsza kobieta na świecie, pełna ciepła i troski, ale jej podejście do wielu tematów niejednokrotnie nas konfliktowało. Nie mówię, że jest złe, po prostu w pewnych kluczowych kwestiach bardzo się różnimy.

Moja mama w ogóle nie jest ciekawa świata, uważa, że podróżowanie to tylko zbędne koszty i zupełnie niepotrzebne ryzyko. Najchętniej otoczyłaby się swoimi dziećmi i wnukami, zagroziła murem i odizolowała od wszystkich, którzy potencjalnie mogliby im zagrozić, uzależniając jednocześnie najbliższych od swojej nieprawdopodobnej kuchni.

Mój tata przez trzydzieści lat małżeństwa nauczył się nie zajmować wyraźnego stanowiska w żadnym temacie, bo i tak zawsze się okazywało, że nie ma racji. Także w tej kwestii wydawał się pogodzony z wizją promowaną przez moją mamę. Jeśli zabierał głos w sprawie podróżowania, to tylko po to, by stwierdzić, że swoje tendencje do „szwendania się po świecie” mam zapewne po jego bracie. Znając ich stosunek do siebie, raczej nie był to komplement.

Brat mojego ojca, wujek Janek, jeździł w PRL-u na lukratywne kontrakty do Iraku i Libii, jak zresztą wielu Polaków z dyplomami inżyniera za czasów, gdy tymi krajami rządzili Saddam Hussein i Muammar Gaddafi. Po upadku komuny też często wyjeżdżał z Polski do pracy, tym razem na Zachód. To mocno skomplikowało jego życie prywatne. Rozpadło się jego małżeństwo, a rozwodnik w rozjazdach nie był kimś, kto mógł liczyć na

zrozumienie moich rodziców. Wkrótce skłócił się nie tylko ze swoją byłą żoną, ale także z rodzeństwem, które nieustannie krytykowało ten jego pociąg do nieznanego. Jako dziecko nie wiedziałam o tych konfliktach, dopiero po latach zaczęłam je rozumieć i chyba jako jedyna stanęłam po stronie wujka Janka.

Nie zmieniało to faktu, że moi rodzice podawali nam go za niechlubny przykład, gdy chcieli nas przestrzec, w szczególności mnie, bo ich zdaniem to właśnie ja miałam największe szanse na podzielenie jego losu. Dziwnym trafem szybko pogodzili się z tym, że raczej nie będzie ze mnie dobrej tradycyjnej żony i matki. Chyba spisali mnie w tej kwestii na straty, za co w sumie byłam im bardzo wdzięczna.

– I kto ci na starość szklankę wody poda? – pytała tylko czasami mama, powtarzając wyświechtany argument wszystkich rodziolek zatroskanych bezdzietnością swoich córek.

– Kelner – odpowiadałam zawsze. – I raczej będzie to szampan. – Nie przepadam za szampanem, ale w świecie mojej mamy to symbol luksusu – piją go ci, którym się powiodło.

Sama tak naprawdę nigdy nie powiedziałam, że nie chcę mieć dzieci. To moi rodzice zdecydowali, że skoro nie mam zamiaru zostać tam, gdzie się urodziłam, nic już ze mnie nie będzie. Przez „nic” rozumiemy brak męża, bezdzietność, a w konsekwencji samotność, nałogi, odwodnienie (no bo nikt tej szklanki nie poda) i gromadkę bezdomnych kotów karmioną tanim pasztetem.

Muszę jednak przyznać, że z czasem, nie licząc okazjonalnych przytyków o czekającej mnie samotności lub bardzo wymownych peanów na temat sukcesów wychowawczych i osobistych mojej umęczonej prowadzeniem domu siostry, rodzice dali mi święty spokój. A ja zamierzałam to skrzętnie wykorzystać i wyjechać przy najbliższej nadarzającej się okazji.

Nie chodziło tu o niechęć do Polski. Absolutnie. Mam na koncie setki podróży i wiem, że to bardzo atrakcyjny kraj. Ale od kiedy pamiętam, miałam nieprzemogłą potrzebę zamieszkania gdzieś daleko poza granicami swojej ojczyzny. Oczywiście mogłabym wyjechać tak po prostu, jak tysiące innych Polaków, którzy postanowili wyemigrować, ale ja miałam na to zupełnie inny plan. Chciałam podróżować zawodowo, a wiedziałam, że jedynym sposobem na to jest zostanie stewardesą albo współpraca z jakimś dużym biurem podróży.

O dostaniu się do linii lotniczych myślałam często, ale postanowiłam zatrzymać tę opcję jako plan awaryjny. Mogłabym odwiedzać wiele krajów, ale ciągłe bycie w podróży i zmiana miejsc w pośpiechu niekoniecznie sprzyjają poznawaniu innych krajów. To raczej zaliczanie. Mnie chodziło o coś zupełnie innego. Chciałam wsiąkać i chłonać. Chciałam czuć, że należę do tych miejsc, a nie tylko je odwiedzam.

Poczułam to, gdy w najdłuższe wakacje w życiu, zaraz po maturze, wyruszyłam w samotną podróż po Europie. Nie ma znaczenia to, co widziałam, co zwiedziłam, gdzie spałam. Ważne, że poznałam słynące z turystyki kraje od zupełnie innej, niestandardowej strony.

W Grecji, zamiast polerować kamienie Akropolu, pomagałam przy zbiorach pomarańczy. Tak po prostu, bez planu i zatrudniania się do pracy. Za sok ze świeżych owoców i opowieści z życia właścicieli plantacji. W Hiszpanii nie zwiedziłam Sagrada Família, za to układałam ryby na targu, włoskie Koloseum widziałam tylko z daleka, na co dzień bowiem parzyłam kawę i sprzątałam stoliki w małej kawiarni, chłonać atmosferę żywiołowych, podkręcanych mocnym espresso poranków i leniwych popołudni, sączących się jak gęste macchiato.

Wiem, że może to brzmieć nieco tandetnie, ale dla mnie była to droga przez swoisty bunt i zabawa w alternatywną rzeczywistość, w której wszystko jest proste i wolne od zobowiązań. Tymczasem dla ludzi, których spotykałam na swej drodze, to było po prostu życie. To, co ja nazywałam dorywczą pracą, dla nich było sposobem na przetrwanie. To, co dla mnie było niezwykłym wydarzeniem, dla nich obowiązkiem lub chwilą wytchnienia. Wtedy patrzyłam jednak na świat zupełnie inaczej. I nawet jeśli było to kompletnie odrealnione, nauczyło mnie dostrzegania piękna w małych rzeczach.

To chyba właśnie wtedy zrozumiałam, że optymizm i pesymizm są wyborem. Możemy skupić się na negatywach i ryzyku albo odważnie, z uśmiechem trzymać się wersji, że wszystko pójdzie po naszej myśli, że będzie dokładnie tak, jak chcemy.

I właśnie tę drugą drogę obrałam za swoją, czasami zupełnie niedorzecznie i wbrew wszelkiej logice, ale często skutecznie. Po prostu nauczyłam się nie martwić na zapas i zaklinać rzeczywistość, by wyglądała tak, jak ją sobie wyobrażam. Swoją przyszłość widziałam wyłącznie w jasnych barwach i nie zakładałam żadnych porażek. Tak było łatwiej. Bo

po co miałam zakładać, że coś pójdzie nie tak? Ci, którzy tak robią, często dochodzą do wniosku, że w ogóle nie warto próbować.

Już na pierwszym roku studiów – oczywiście związanych z turystyką – zaczęłam pracować w biurze podróży. Na początku po prostu sprzedawałam wycieczki, ale przez cały czas głośno mówiłam o tym, że chcę zostać rezydentką. I nawet nie bardzo mnie obchodziło, do jakiego kraju miałabym zostać wysłana, ważne, żeby wyjechać z Polski.

Konkurencja w tej kwestii była w naszym biurze dość spora, bo podobny pomysł na siebie miało kilka innych dziewczyn i od początku było wiadomo, że nie wszystkie mamy szansę na realizację marzeń. Ja nie brałam jednak pod uwagę, że coś pójdzie nie po mojej myśli. Zakładałam, że jeśli nie zostanę rezydentką w tym biurze, zmienię pracę i dostanę się na placówkę w innym. W moim przypadku nie była to kwestia „czy”, ale „kiedy”.

Gdy Anka, jedna z dziewczyn z naszego biura, która od dawna była zastępczynią kierowniczką, dostała rezydenturę w Maroku, presja wzrosła. Pracowała dłużej ode mnie i była świetna, więc nie miałam wątpliwości, że to zasłużony awans, co nie zmieniało faktu, że wiele bym oddała, by znaleźć się na jej miejscu. Ta sytuacja znacznie większe wrażenie, niekoniecznie pozytywne, wywarła na pozostałych dziewczynach, zwłaszcza na Marcie, która zastąpiła Ankę na stanowisku wicekierowniczką biura. Ja byłam pewna, że prędzej czy później dopnę swego – Marta mimo swojej pozycji chyba nie miała takiej pewności. Miała za to przekonanie, że na rezydenturę nie da się tak po prostu czekać, trzeba ją sobie wydrapać. Dlatego bez większej zwłoki postanowiła zacząć działać.

Nie do końca rozumiałam dlaczego, ale miałam wrażenie, że to właśnie we mnie Marta widziała swoją główną konkurentkę. Być może wynikało to z faktu, że tylko ja głośno komunikowałam, jaki mam plan na życie. A pech chciał, że ona miała identyczny. Niewykluczone, że wpływ na to miała moja pewność siebie. Możliwe też, że Marta miała kompleksy w kwestiach językowych. Nie chwaląc się, zawsze miałam smykałkę do języków obcych. Już wtedy mówiłam płynnie po angielsku, francusku i hiszpańsku, podczas gdy Marta znała wyłącznie angielski... i jest to bardzo łaskawa recenzja. Mówiła z ciężkim akcentem i robiła mnóstwo naprawdę poważnych błędów.

Początkowo nie wiedziałam, że jestem przez nią uważana za wroga. Była oschła, bywała niemiła, ale zrzucałam to na karb stresu związanego z awansem. Nigdy zbyt nie przejmowałam się takimi sytuacjami. Nie pragnę, żeby wszyscy mnie lubili, to przecież niemożliwe. Ja też nie lubię wszystkich na świecie. Choć prawdziwą niechęć czuję naprawdę do niewielu.

Nie jest tajemnicą, że pracownicy działu sprzedaży wielu biur podróży sporą część swoich pensji zawdzięczają prowizjom. Te zaś mogą mieć dwojaki wymiar. Oczywiście przede wszystkim materializują się w postaci wyższej kwoty na koncie, ale nie mniej istotne jest to, że bezpośrednio przekładają się na ocenę przełożonych. Wiadomo, że im wyższa sprzedaż, tym wyższe notowania, a co za tym idzie – szanse na szkolenia i awanse. Ja zawsze mogłam się pochwalić wysoką sprzedażą, ale od kiedy odeszła od nas dziewczyna, która dostała rezydenturę, wpływy notowane z mojej obsługi zaczęły sukcesywnie spadać, co było o tyle zastanawiające, że przez wiele miesięcy jej miejsce pozostało nieobsadzone, więc teoretycznie było nas mniej do podziału takiego samego, o ile nie większego tortu.

Początkowo jednak nie widziałam w tym nic dziwnego, myślałam, że to po prostu gorszy moment, ale z czasem zauważyłam, że sporo moich klientów odwołuje wycieczki krótko po ich zarezerwowaniu. Z czasem liczba takich rezygnacji zaczęła mnie poważnie niepokoić. Minął pierwszy miesiąc, w którym moje wyniki spadły niemal o połowę, a gdy w kolejnym zmniejszyły się jeszcze bardziej, zostałam wezwana na dywanik do kierowniczkę naszego oddziału. Doskonale wiedziałam, o czym chce ze mną porozmawiać, choć nie bardzo potrafiłam jej wyjaśnić, co się dzieje.

– Może masz jakieś kłopoty? – spytała z troską.

Nie miałam. Oczywiście poza tymi w pracy.

– To bardzo niepokojące – stwierdziła. – Ogólna sprzedaż w biurze rośnie, jesteśmy w szczytowej fazie wyprzedawania sezonu letniego, ludzie szaleją, wszyscy mają wzrosty, a u ciebie sprzedaż spada, a liczba odwołanych rezerwacji naprawdę mnie martwi.

Wiedziałam to dobrze, ale w żaden sposób nie potrafiłam tego wytłumaczyć. Każdego dnia obsługiwałam sporą liczbę klientów, którzy kupowali wycieczki, a jakiś czas później je odwoływali.

– Czy wiesz, dlaczego klienci je odwołują?

– Nie mam pojęcia – odparłam zgodnie z prawdą. – Kiedy ich obsługuję, wydają się zadowoleni. Nie jestem w stanie przywołać choćby jednej sytuacji, w której klient miałby jakieś wątpliwości.

– Spróbuj się temu dokładniej przyjrzeć, bo musi być jakiś powód. Jeśli go znajdziemy, będziemy w stanie temu zapobiec. Spróbuję ci pomóc, ale wiele zależy od ciebie. Wiesz chyba, że na dłuższą metę tak nie może być.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę, dla mnie to też bardzo frustrujące. Postaram się dowiedzieć, o co chodzi.

– Doskonale. Obie wiemy, że stać cię na więcej – zakończyła moja przełożona z uśmiechem, choć wiedziałam, że sprawa jest poważna.

Przyjęłam tę reprimendę z pokorą, a w kolejnym miesiącu pracowałam jeszcze intensywniej. Analizowałam, wydzwaniałam, dosłownie wychodziłam z siebie – ale efekty wcale nie były lepsze.

I pewnie nigdy nie poznałabym przyczyny tego stanu rzeczy, gdyby nie konflikt pomiędzy Martą a jedną z dziewczyn z zespołu. Nie wiem, o co poszło, ale nie miałam wątpliwości, że poszło na noże.

Nie byliśmy dobrymi znajomymi, a już na pewno nie przyjaciółkami. Szczerze mówiąc, nawet nie pamiętam, jak miała na imię, choć to może niezbyt ładne, bo wiele jej zawdzięczam. Jej motywacją pewnie nie była chęć niesienia mi pomocy, a próba zaszkodzenia Marcie, ale nie zmienia to faktu, że bardzo mi się przysłużyła.

– Te odwołane rezerwacje... to sprawka Marty – wyznała mi któregoś dnia na przerwie. – Jak chcesz wiedzieć więcej, poczekaj na mnie po pracy.

To brzmiało jak jakaś dziwna konspiracja, ale byłam zdeterminowana, by poznać prawdę w kwestii, która w tamtym czasie była moim być albo nie być.

– Myślałam, że się domyślisz – zaczęła koleżanka, gdy po południu szłyśmy razem na przystanek tramwajowy.

– Czego miałabym się domyślić? – spytałam.

– Nie zauważyłaś, że rezerwacje odwoływane są dokładnie wtedy, kiedy masz wolne? Ile z nich klienci odwołali bezpośrednio u ciebie?

Faktycznie nie zwróciłam na to uwagi. I faktycznie nie kojarzyłam, żebym osobiście odwoływała którąkolwiek z nich. Nie musiałam długo czekać, żeby się dowiedzieć, co tak naprawdę stoi za moimi kiepskimi wynikami.

– Kiedy nie ma cię w biurze, Marta obdzwaniała część twoich klientów, oferując im *upgrade*. Tak naprawdę z reguły nie dostają niczego lepszego, ale mają takie wrażenie. Odwołuje zrobione u ciebie rezerwacje, o czym klienci są informowani, żeby nie siali paniki, i natychmiast zakłada im nowe. W ten sposób wyniki oddziału są nadal takie same, ale twoje spadają. Żeby nic nie wskazywało na nią, przypisuje sprzedaż nie tylko sobie, ale też pozostałym sprzedawcom po równo. Jako superwizor ma takie uprawnienia.

Trudno było mi uwierzyć w tę intrygę. Była prosta, ale jednocześnie niemal nieprawdopodobna. Sama pewnie w życiu bym na to nie wpadła. Nie miałam wątpliwości co do motywacji Marty, ale w życiu nie pomyślałabym, że posunie się aż do takiej podłości.

– Dlaczego mi to mówisz? – spytałam.

– Bo ktoś musi wreszcie powstrzymać tę sukę – odpowiedziała.

– Zalażła ci za skórę...

– To manipulatorka. Nie jesteś jej jedyną ofiarą. W życiu prywatnym też potrafi nieźle zamieszać.

Domyśliłam się, że chodzi o jakieś sprawy spoza biura, ale nie ośmieliłam zapytać. Przed niezręczną ciszą lub jeszcze bardziej niezręcznymi pytaniami uchroniły nas okoliczności. Dotarliśmy na przystanek. Tu miałyśmy się rozstać.

– Zrobisz z tym, co zechcesz, ale mam nadzieję, że jej tego nie odpuścisz. I pamiętaj, nie wiesz tego ode mnie... – powiedziała, wsiadając do podjeżdżającego tramwaju.

Nie miałam zamiaru odpuszczać. Zdawałam sobie sprawę, że jestem narzędziem zemsty, ale sama też miałam do niej silną motywację.

Następnego dnia sprawdziłam listę odwołanych rezerwacji założonych przeze mnie i porównałam ją z wykupionymi tego samego dnia wycieczkami. Zwróciłam też uwagę na daty i wszystko, co usłyszałam poprzedniego wieczoru, okazało się mieć potwierdzenie w faktach. Nie zamierzałam czekać. Poprosiłam szefową biura o spotkanie i niedługo potem opowiedziałam jej o manipulacjach Marty.

Początkowo nie chciała w to uwierzyć. Marta była gwiazdą naszego biura, a do tego zaufaną prawą ręką. Była bliska oskarżenia mnie o oszczerstwo, ale gdy pokazałam jej dowody, szybko zmieniła front. Zdenerwowała się i nie czekając, aż wyjdę, wezwała do siebie Martę.

Ta pojawiła się w doskonałym nastroju, wyraźnie nie spodziewała się nadchodzącej katastrofy. Jednak już pierwsze słowa naszej przełożonej sprawiły, że uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Moją uwagę zwróciła spora liczba odwołanych rezerwacji u Kasi... Czy ty też to zauważyłaś? – spytała, nie wyjawiając od razu ani celu, do którego ma prowadzić ta rozmowa, ani źródła swojej wiedzy.

Marta, widząc mnie w biurze szefowej, uznała, że oto nadszedł moment, na który czekała, knując swoją intrygę. Była pewna, że właśnie odbywa się nade mną sąd ostateczny za kiepskie wyniki i zaraz stracę pracę. Wpadła w swoje własne sidła.

– Tak, ja też zwróciłam na to uwagę. Mówiłam już Katarzynie, że klientów trzeba informować o wszystkim przed podpisaniem umowy, ale zauważyłam, że ona wyłącznie zachwala ofertę i często okłamuje ludzi, którzy później, gdy dowiadują się prawdy, odwołują wycieczki.

To była kompletna bzdura. Klienci, którzy szukają tańszych wycieczek, często decydują się na gorsze warunki, a ja zawsze informowałam ich o niedogodnościach.

– Nigdy nie okłamałam żadnego klienta – wtrąciłam na swoją obronę, jednak szefowa posłała mi spojrzenie mówiące, że to nie jest dobry moment.

– Ale większość tych klientów nadal ma wykupione wycieczki. I to z reguły te same.

– Tak, bo próbowałam ratować sytuację i zatrzymać ich w naszym biurze.

– Marta kłamała jak z nut. – To wymagało sporej perswazji. Wszystkie musiałyśmy się nieźle napracować, żeby ich nie stracić.

– A jak wytłumaczysz fakt, że wszystkie rezerwacje odwoływane były w środę?

Tego pytania intrygantka się nie spodziewała, wyraźnie zbiło ją z tropu. Nasze biuro było otwarte sześć dni w tygodniu. Wszystkie miałyśmy wolną niedzielę i jeden z dni powszednich. Mnie przypadła właśnie środa.

– Nie mam pojęcia, to musi być przypadek, choć jestem pewna, że odwołania są też w inne dni... – odpowiedziała, próbując ukryć zmieszanie.

Widziała już, że sprawy nie toczą się po jej myśli, a rozmowa zaczyna przypominać przesłuchanie, w którym to ona jest podejrzaną.

– Owszem, są, ale żadne z nich nie dotyczy umów zawartych przez Kasię – odparła szefowa. – Dobrze, zapytam wprost: czy celowo odwoływałaś jej

rezerwacje, by później przypisać je do innych pracowników?

– Co? To niedorzeczne! Po co miałabym to robić? – uniosła się Marta, ale w jej głosie próżno było szukać dawnej pewności siebie.

– To zapewne pozostanie tajemnicą. Jeśli jesteś pewna, że nie miałaś z tym nic wspólnego, to oczywiście możemy przyjąć taką tezę, ale będę musiała ją zweryfikować z wersją klientów i pozostałych pracowników. – Marta pobladła z przerażenia. Tymczasem szefowa kontynuowała: – Mamy dwa wyjścia. Możesz sama opowiedzieć, co się wydarzyło, wtedy rozstaniemy się za porozumieniem stron i zapomnimy o sprawie. Mogę też sama przeprowadzić dochodzenie, ale jeśli jego wynik nie będzie dla ciebie korzystny, będę zmuszona zwolnić cię dyscyplinarnie. Wiesz chyba, że w naszej branży to wilczy bilet...

Marta spuściła głowę. Po chwili w pokoju rozległ się jej szloch. Obserwowałam tę scenę jak pełen napięcia filmowy dramat. Kierowniczka zdawała sobie sprawę, że to dla Marty wyjątkowo trudny moment. Choć bardzo się na niej zawiodła, chyba wciąż ją lubiła i nie zamierzała komplikować tej i tak już trudnej sytuacji.

Cisza, przerywana wyłącznie pochłapywaniem Marty, trwała dość długo, aż w końcu podejrzana postanowiła zabrać głos.

– Nie chciałam, żeby tak wyszło – wyszeptała drżącym głosem. – Przepraszam.

– Marto, wybac, ale to nie wygląda na przypadkowe działanie – westchnęła nasza przełożona.

– Wiem, zrobiłam to specjalnie, ale żałuję, że tak się stało...

– Doceniam, jednak chyba sama rozumiesz, że musimy się rozstać?

Marta zwiesiła ramiona i pokiwała głową.

– No dobrze, nie przeciągajmy. Idź spakować swoje rzeczy, a potem wróć do mnie, załatwimy formalności. – Dopiero wtedy szefowa zwróciła się do mnie: – A tobie, Kasiu, dziękuję. Możesz wrócić do pracy. Później porozmawiamy o twojej przyszłości w naszej firmie.

O ile cała ta sytuacja musiała być dla Marty piekielnie bolesna, o tyle ostatnie słowa były gwoździem do trumny. Wątpię, by kierowniczka chciała ją dobić; była bardzo sprawiedliwą osobą. Po prostu zakomunikowała coś, co miało nastąpić. Na nieszczęście Marty dotyczyło to mojej zawodowej przyszłości, którą ona tak usilnie próbowała zniszczyć.

Historia z Martą powinna była mnie wiele nauczyć. Każdy człowiek z choćby odrobiną instynktu samozachowawczego wyciągnąłby z niej wnioski. Ja jednak nigdy tego nie potrafiłam. Zawsze uważałam, że nieufność wobec ludzi wynikająca z tego, że ktoś nas kiedyś skrzywdził, jest ogromnie niesprawiedliwa. To pewnie dlatego Marta nie była ostatnią osobą, która próbowała namieszać w moim życiu. Kolejna pojawiła się na mojej drodze kilka lat później i muszę przyznać, że dopięła swego celu w znacznie bardziej przebiegły i zdecydowanie skuteczniejszy sposób. Marta przy niej okazała się zwykłą amatorką.

Szefowa zaprosiła mnie na rozmowę krótko po tym, jak Marta ostatecznie pożegnała się z pracą. Byłam zaskoczona, gdy to mnie zaproponowała objęcie jej stanowiska. Zgodziłam się, choć oczywiście nie omieszkałam zaznaczyć, że dla mnie prawdziwym awansem byłby wyjazd na rezydenturę.

– Mam zatem dla ciebie propozycję – powiedziała. – Czeka nas trudny czas. Rekrutacja na stanowisko Ani ruszyła, ale teraz mamy też miejsce po Marcie. Zanim pojawią się nowe osoby, które jeszcze będziemy musieli przeszkolić, miną dwa, może trzy miesiące. Będzie bardzo trudno, a jak wiesz, jest szczyt sezonu. Dlatego teraz chciałam cię prosić o cierpliwość i zaangażowanie, a zaraz po tym, jak uzupełnimy zespół, obiecuję, że osobiście załatwię ci transfer.

Szefowa dotrzymała słowa. Wprawdzie wszystko nieco się przeciągnęło, bo wycieczki sprzedawałam jeszcze przez pół roku, ale wkrótce potem rozpoczęłam szkolenia na rezydenta turystycznego. Musiałam zrobić kilka kursów, zdać parę egzaminów i niespełna rok później dowiedziałam się, że firma chce mnie wysłać jako rezydentkę do egipskiej Hurghady.

Do dziś pamiętam tamtą niedzielę, gdy przy rodzinnym obiedzie ogłosiłam, że wyjeżdżam do Egiptu. Mama była święcie przekonana, że nie ma to nic wspólnego z pracą, że dobrowolnie godzę się na to, by mnie porwano „do Arabów”.

– Ja słyszałam, do czego oni są zdolni! – stwierdziła wyraźnie poruszona.

– Niby do czego? Mamo, ja pracuję dla dużego polskiego biura podróży, każdego roku latają z nami do Egiptu tysiące Polaków i nic się nie dzieje...

– Do czasu! Jak ktoś kusi los, to się w końcu doigra.

Wiedziałam, że jestem na przegranej pozycji – moja rodzicielka, która przez całe życie praktycznie nie wyściubiła nosa ze swojego miasteczka, wiedziała wszystko najlepiej. Tata, jak to zwykle on, nie zabrał głosu, bo wiedział, że nic, co powie, nie będzie miało znaczenia. Rodzice doszli do jednego i niepodważalnego wniosku: kompletnie zwariowałam.

Jednak choć bardzo ich kochałam, ich zdanie w tej kwestii nie miało dla mnie większego znaczenia. Miałam nadzieję, że jeszcze kiedyś będą ze mnie dumni, a na razie musieli przełknąć tę gorzką pigułkę.

Czekały mnie dwie podróże do Hurghady. Pierwszy pobyt miał potrwać dwa tygodnie. Mogłam zabrać ze sobą część rzeczy, z którymi się przeprowadzałam, ale głównym celem tego wyjazdu było zapoznanie mnie z hotelami, do których nasze biuro wysyłało turystów, z samym miastem, wycieczkami fakultatywnymi i warunkami pracy. Musiałam poznać wszystkich, których warto znać, i spróbować wszystkiego, czego warto spróbować. Krótko mówiąc, było to bardzo intensywne szkolenie w terenie. Później miałam wrócić na kilka dni do Polski, by ostatecznie wyjechać do Hurghady już na dłuższy kontrakt.

Rezydenci pracują w bardzo różnych systemach. Niektórzy pracę na placówkach traktują sezonowo i obsługują turystów wyłącznie w okresie letnim albo tylko w zimowym. Wielu jednak osiedla się w miejscu rezydentury praktycznie na stałe. Przeprowadzają się do danego kraju, nie określając momentu powrotu, nawet jeśli zakładają, że ten kiedyś nastąpi. Tak jest podobno zdecydowanie łatwiej, bo unika się poczucia tymczasowości, ale to również opcja, która wymaga determinacji i jest raczej wykluczona, gdy w kraju na rezydenta czeka rodzina.

Moja na mnie nie czekała, bo już w momencie, gdy zawyrokowałam, że na własne życzenie pcham się w ręce arabskich porywaczy, zamiast rodić polskie dzieci, postawiła na mnie krzyżyk. Nie miałam chłopaka ani tym bardziej męża. Miałam komfort bycia osobą, za którą nikt nie tęskni, i w pełni z niego korzystałam.

Hurghada zachwycała mnie i przerażała jednocześnie. Kiedy wylądowałam tam po raz pierwszy, zdałam sobie sprawę, jak wielką odpowiedzialnością będzie rola opiekuna turystów. Dla niektórych będzie to już kolejna wizyta tutaj i pewnie będą porównywać. Dla innych jedna z wielu podróży po świecie – ci z pewnością będą najbardziej wymagający. Będą też tacy, dla których wizyta w Hurghadzie będzie przygodą życia,

jedną z nielicznych takich wypraw lub w ogóle jedyną. Oni będą zachwycać się wszystkim z wdzięcznością, choć też wymagać największej troski.

Oczywiście sama nie dokonałabym takiej klasyfikacji, gdyby nie Jarek, chłopak, który rezydentem w naszym biurze był już siódmy rok, a od dwóch stacjonował w Egipcie.

– Dziękuj Bozi albo Ra, czy do kogo tam się modlisz, za Hurghadę – powiedział na powitanie. – Gdyby wysłali cię do Marsa albo Sharm, pewnie szybko uciekłabyś do Polski.

Nie bardzo rozumiałam wtedy różnicę między Hurghadą, Marsa Alam i Sharm El Sheikh, ale postanowiłam cieszyć się szczęściem, które zdaniem Jarka mnie spotkało.

Był bardzo pomocny, choć przy tym wszystkim nieco zabawny. Poważnie podszedł do roli mentora i chwilami zachowywał się tak, jakby urodził się ze swoją wiedzą na temat pracy w Egipcie i panujących tam zwyczajów. Nie narzekałam jednak na to, bo akurat wiedza była mi bardzo potrzebna.

– Więc co cię podkusiło, żeby zatrudnić się jako dziewczynka na posyłki dla polskich januszy? – spytał na koniec pierwszego, wyczerpującego maratonu hotelowego, kiedy usiedliśmy przy barze w ostatnim z zaplanowanych do odwiedzenia tego dnia ośrodków.

– Ja tego tak nie widzę – zaproponowałam. – Chcę być opiekunką.

Jarek zaśmiał się w głos, choć miałam wrażenie, że to nieco udawany śmiech.

– Ty możesz się nie czuć dziewczynką na posyłki, co nie zmienia faktu, że każda zakompleksiona grażyna i każdy prostacki janusz będą cię tak traktować. Sama zobaczysz. Na każdą grupę przypada przynajmniej trójka takich, których będziesz chciała rzucić rekinom na pożarcie.

– I co wtedy? – spytałam nieco zmartwiona tą kompletnie nieprzystającą do moich wyobrażeń wizją.

– Nic. Musisz to znieść z godnością i nauczyć się sarkazmu. Sarkazm w takich sytuacjach jest najlepszą metodą obrony. Większość z nich się w nim nie łapie, więc możesz udawać, że robisz wszystko, co w twojej mocy, by spełnić ich prośby, zachowując godność.

– Wybacz, nie bardzo rozumiem. – Próbowałam sobie wyobrazić sytuację, w której sarkazm miałby mnie przed czymś uratować.

– Tego chyba nie da się wytłumaczyć. Ale widać, że bystra z ciebie dziewczyna, na pewno szybko się zorientujesz, jak to wszystko działa.

– A możesz mi podać jakiś przykład?

Wtedy Jarek wytłumaczył mi, że najważniejsze to dać urlopowiczom poczucie, że robisz dla nich wszystko, co w twojej mocy, by spełnić ich żądanie. Choćby było ono najbardziej niedorzeczne.

Jeden z turystów, którego Jarek oczywiście nazywał januszem, zadzwonił do niego późnym wieczorem i bełkotliwym głosem zażądał, by obsługa hotelowa znalazła jego... klapka. Mężczyzna twierdził, że zgubił go na należącej do hotelu plaży, i uznał, że w związku z tym odnalezienie go jest obowiązkiem hotelu.

– Przecież to jak szukanie igły w stogu siana – zauważyłam.

– No pewnie. Nikt nie miał zamiaru szukać buta jakiegoś pijaczyny, który nie trzeźwiał od chwili, gdy dotarł do hotelu. Ale nie mogłem mu tego zakomunikować.

– I co mu powiedziałaś?

– Że każdego ranka obsługa przesiewa, dezynfekuje i uzupełnia piasek na plaży i jeśli jego but nie został zabrany przez morze albo jakieś zwierzę, to na pewno się znajdzie.

– Uwierzył?

– Oczywiście.

– A zguba się znalazła?

– Nie. A następnego dnia facet zadzwonił do mnie i zgłosił, że specjalnie wstał rano, żeby sprawdzić, czy załoga dobrze przesiewa piasek, i nikt tego nie robił. Żądał, bym zainterweniowałem u kierownictwa hotelu, bo on nie ma zamiaru korzystać z plaży, na której piasek nie jest porządnie przesiany i zdezynfekowany.

– To chyba nieźle się wkopałeś?

– No coś ty! Zapewniłem go, że natychmiast podejmę interwencję.

– I co, odpuścił?

– Nie, tacy nie odpuszczają. Ale ja dobrze znam ten typ. To ludzie, którym wystarczy bzdurny artykuł w necie, by uwierzyli w chipy w szczepionkach i zabójcze 5G. Kiedy znowu zadzwonił wieczorem, powiedziałem mu, że piasek jest dezynfekowany za pomocą ultranowoczesnej metody sonicznej. Jeśli będzie przebywał na plaży w czasie pracy urządzeń, jego DNA może ulec modyfikacji, a w najgorszym razie zostanie bezpłodny (choć w jego

przypadku akurat nie byłaby to wielka strata). Przestraszył się tak, że na wszelki wypadek nie chodził już więcej na plażę, a o zaginionym klapku kompletnie zapomniał.

– Ja chyba bym tak nie potrafiła.

– Spokojnie, jeszcze stracisz dziewictwo. Sama zobaczysz, na niektórych po prostu nie ma innej metody.

Jarek tego wieczoru mocno zmienił moje postrzeganie pracy rezydenta, ale ja wciąż byłam sobą i miałam zamiar skupiać się wyłącznie na pozytywach. Wiedziałam, że wkrótce sama będę miała do opowiadania sporo podobnych historii, choć zastanawiałam się, czy jest metoda, by trudni klienci przeszli na dobrą stronę mocy. Jarek jednak szybko rozwiązał moje nadzieje.

– Ci ludzie na co dzień pewnie wcale nie są źli, ale na wakacjach dostają małego rozumu albo nawet ten wyłączają. Chcieliby, żeby rezydent za nich myślał, a obsługa hotelowa załatwiła wszystkie ich potrzeby, łącznie z kupą. Kiedy do tego wszystkiego dochodzi nielimitowany alkohol, niektórzy stają się naprawdę nie do zniesienia.

Kiedy Jarek opowiadał te wszystkie niestworzone rzeczy, wydawał się trochę znudzony. Wieloletnia praca rezydenta zrobiła z niego nieco zblazowanego rutyniarza, ale w głębi duszy był pasjonatem i za nic w świecie nie zamieniłby tej pracy na inną. W pewnym sensie widziałam w nim siebie. Różniliśmy się tylko tym, że to, co dla niego było codziennością, mnie jawiło się jak fascynująca przygoda, której rozpoczęcia nie mogłam się doczekać.

Wkrótce właśnie dzięki Jarkowi poznałam kilka osób, które pomogły mi znaleźć mieszkanie w Hurghadzie. Jarek mieszkał ze swoim chłopakiem, Egipcjaninem, ale poznał mnie z dwiema dziewczynami z innego biura, które wynajmowały czteropokojowe lokum w nowo wybudowanym kompleksie niedaleko promenady Al Mamsha, zwanej potocznie szwajcarską, głównej turystycznej arterii miasta, która oprócz europejskiej nazwy ma też iście europejski charakter i choć nie spełnia powszechnych wyobrażeń o egipskich ulicach, trudno odmówić jej uroku.

Kiedy moje ostatnie szkolenie dobiegło końca, a wszystkie formalności na miejscu zostały dopełnione, wróciłam wraz z jedną z kończących wakacje grup do Polski. Tydzień później ponownie znalazłam się w Egipcie, by rozpocząć swoją wymarzoną pracę. Tym razem nie leciałam już

w nieznane. Choć Hurghada nadal była dla mnie dziewiczym lądem, musiałam udawać, że znam ją jak własną kieszeń. Miałam w pamięci jedną z najważniejszych rad Jarka: „Za nic w świecie nie przyznawaj się, że czegoś nie wiesz. Choćbyś miała wymyślać na poczekaniu, udawaj, że znasz odpowiedź na każde pytanie. Turyści potrafią wykazywać się skrajną głupotą, ale nam, rezydentom, niewiedzy nigdy nie wybaczą”.

ROZDZIAŁ 3

Hurghada

Początki nie były łatwe. Jeśli ktoś chciał mnie wrzucić na głęboką wodę, zrobił to gdzieś w okolicy Rowu Mariańskiego.

Zacząło się od ogromnego opóźnienia samolotów z Katowic i Warszawy. Nad Polską przetaczała się potężna burza, która zakłóciła rozkład lotów, i moja pierwsza grupa okazała się bardziej wyczekana, niż mogłam się tego spodziewać. W podobnej sytuacji było tego dnia wielu rezydentów z innych biur, w tym Magda, moja współlokatorka, i Karolina, dziewczyna, która podobnie jak Jarek pracowała w Egipcie już któryś rok, a tego dnia miała być dla mnie wsparciem.

– To najgorsze, co może ci się przydarzyć. Przylecą tu na wkurwie. Nie będzie miło – ostrzegła mnie.

– I co wtedy robicie?

– To jedna z tych sytuacji, w których nie jesteś w stanie nic zdziałać, więc po prostu musisz robić swoje.

Próbowałam się na to przygotować, słuchając komunikatów, które wciąż przedłużały czas opóźnienia samolotów. W końcu po blisko pięciu godzinach dostaliśmy informację, że znalazły się w egipskiej przestrzeni powietrznej.

Znudzeni i rozsierdzeni oczekiwaniem podróżni, którzy właśnie kończyli wakacje i mieli odlecieć spóźnionymi samolotami, na szczęście byli już po odprawie. My musieliśmy się przygotować na zniecierpliwioną i wściekłą grupę, która właśnie nadlatywała.

– Pamiętaj, nie daj się sprowokować i cały czas się uśmiechaj – powiedziała Karolina niedługo przed tym, jak pierwsze osoby zaczęły zbliżać się do stanowiska, przy którym sprawdzałyśmy listę nazwisk i kierowałyśmy wszystkich do autokarów.

Jako pierwsza z hali przylotów wyparowała niska młoda kobieta z tlenionymi włosami. Przed sobą pchała wózek z dwu-, może trzylatkiem, a za sobą ciągnęła małą walizkę i kolejne dziecko, może sześciolatnie. Biegła tak szybko, że trzymany przez nią za rękę malec niemal unosił się nad ziemią. Zupełnie jakby w ten sposób mogła sprawić, że jej wakacje zaczną się wcześniej. Ale nie było na to szans. I tak musiała czekać w autobusie, aż wsiądą do niego wszyscy, którzy mają nim odjechać. To jednak jej nie zniechęciło, biegła tak, że istniało spore prawdopodobieństwo, iż nie zdąży wyhamować przed naszym stanowiskiem.

Niestety wyhamowała i nie zważając na obecność dzieci, w dosadny sposób dała nam znać, jak bardzo nienawidzi naszego biura, jak bardzo brakuje nam profesjonalizmu i jak bardzo nie może się doczekać, by złożyć reklamację.

– Sprawę wam założę, bo to już nie pierwszy raz!

– Bardzo nam przykro, ale najważniejsze jest państwa bezpieczeństwo, a warunki atmosferyczne nie pozwalały na wcześniejszy wylot – tłumaczyłam niepewnie.

Kobieta chyba wyczuła mój strach, bo perorowała dalej:

– Był lekki deszczyk, a wy histeryzujecie. Nie w takich warunkach samoloty latają. Mój adwokat się z wami skontaktuje. Wreszcie się odkuję za te wszystkie straty z poprzednich wycieczek. Człowiek płaci za czas na wakacjach, a wy te wakacje skracacie i nawet nie przyjdzie wam do głowy, żeby je później przedłużyć albo oddać pieniądze!

Ten ostatni argument był w pełni zrozumiały, bo każda chwila opłaconych wakacji dla spragnionych wypoczynku ludzi jest na wagę złota, ale nie było szans, byśmy mogli spełnić tego typu żądania. Samoloty, które przywożą turystów na wakacje, zabierają też tych, którzy z wakacji wracają. Nie ma szans, by którejś grupie pobyt przedłużyć, bo cały ten doskonale zaplanowany, choć nie zawsze dobrze działający system rozsypałby się w drobny mak.

Zwrotu pieniędzy lub przedłużenia wakacji domagał się średnio co drugi wściekły pasażer z tej grupy. Obserwowałam Karolinę, po której każda obelga spływała jak woda po kaczce. Uśmiechała się, przepraszała, a jej twarz nawet najmniejszym grymasem nie zdradzała negatywnych emocji. Ja każde z tych słów brałam do siebie. Też się uśmiechałam, ale było mi

autentycznie przykro. A gdy pewien starszy pan zapowiedział, że mnie zwolni, bo do niczego się nie nadaję – zupełnie jakbym to ja odpowiadała za warunki pogodowe i decyzję o wstrzymaniu lotu – w moich oczach stanęły łzy i tylko cudem udało mi się je powstrzymać przed spłynięciem.

Dopiero gdy przywitałyśmy wszystkich podróżnych i każdy z nich znalazł się w autobusie, rozplakałam się rzewnymi łzami. Wszystko mi puściło.

– Witaj w klubie. Teraz już będzie tylko lepiej, choć będzie znacznie gorzej – zapowiedziała Karolina. I choć znałyśmy się dopiero od kilku godzin, przytuliła mnie z wielką empatią. Dobrze wiedziała, co przeżywam.

Nie bardzo wtedy rozumiałam, jak coś może być gorsze i lepsze jednocześnie, ale w kolejnych tygodniach wszystko stało się jasne. Kryzysy, przed którymi stawałam, mnożyły się w zastraszającym tempie, do tego stopnia, że opóźniony o kilka godzin samolot wypakowany wściekłymi pasażerami wydawał się dziecięcą igraszką. Jednocześnie z każdym rozwiązaniem problemem stawałam się bardziej zahartowana. I faktycznie było gorzej, bo trudniej – ale lepiej, bo byłam coraz silniejsza i ze wszystkim radziłam sobie coraz lepiej.

Po tym, jak moi pierwsi podróżni zasiedli już w autokarach, miałam za zadanie ich przeliczyć i jeśli liczba się zgadzała, dać znak kierowcy, że może ruszać. Ja w tym czasie powinnam ponownie przywitać wszystkich gości, przeprosić za opóźnienie, nakreślić im trasę przejazdu i kolejność hoteli, do których będziemy zawijać, oraz najważniejsze informacje techniczne, łącznie z datą pierwszego spotkania organizacyjnego i godzinami mojego dyżuru rezydencyjnego.

Na moje nieszczęście w autobusie doliczyłam się dwóch ponadprogramowych osób, co mogło oznaczać tylko dwie rzeczy: albo pomyliłam się w obliczeniach, albo ktoś wsiadł do niewłaściwego autokaru. Musiałam działać szybko, bo kolejne opóźnienie mogło doprowadzić do zamieszek, co zwiastowały już mało przychylne komentarze, gdy po raz drugi przechodziłam przez autobus, skupiając się na liczeniu.

– Kogo oni tu zatrudniają? Panienska pewnie nawet do pięciu policzyć nie umie – rzucił ktoś, trafiając na bardzo podatny grunt.

– Do pięciu pewnie da radę, ale poza dziesiątkę nie wyjdzie, bo palców jej zabraknie – zarechotał ktoś inny.

– Jak dobrze ciągnie, to liczyć nie musi umieć. Takie, co umieją liczyć, za darmo nie ciągną – dorzucił kolejny ekspert.

Wiedziałam, że nie mogę dać się zbić z tropu. Nie mogłam się pomylić. Drugie liczenie przyniosło ten sam wynik. Nie miałam wyjścia.

– Drodzy państwo, na pokładzie prawdopodobnie znajdują się dwie osoby jadące do hotelu, do którego ten autokar państwa nie zawiezie... – zaczęłam ku głośnemu oburzeniu pasażerów.

– Mówiłem, że się nie doliczy! – triumfował jeden z komentatorów.

W autobusie zawrzało do tego stopnia, że musiałam w dość kategoryczny sposób poprosić o ciszę. Odczytałam ponownie listę hoteli na zaplanowanej trasie, ale nikt nadprogramowy się nie zgłosił.

W końcu złapałam za komórkę i zadzwoniłam do Karoliny.

– U mnie nikogo nie brakuje – usłyszałam po drugiej stronie. – Może w innych autobusach, ale nie przejmuj się, takie rzeczy się zdarzają. Ludzie zabierają z domu kapelusze plażowe, ale zapominają, że przydałaby się jeszcze głowa, by mieć na co je założyć, a czasami też pomyśleć.

– Tylko że ja nie mogę ich już dłużej trzymać. Zaraz złączą rebelię.

– Jedźcie! – rzuciła Karolina. – Jeśli nikt się nie zgłosił teraz, odsiejesz ich przy wysiadaniu. Najwyżej później dostarczy się ich na miejsce.

Tak właśnie zrobiłam. Zatrzymywaliśmy się przy poszczególnych hotelach i odjeżdżaliśmy dopiero po tym, jak recepcja w każdym z nich potwierdziła rezerwacje. Liczba pasażerów malała, atmosfera na pokładzie powoli cichła, ale nadprogramowi goście nadal pozostawali anonimowi. Dopiero w ostatnim obiekcie okazało się, że dwóch mocno zataczających się pod wpływem alkoholu, obficie wytatuowanych mężczyzn ma rezerwacje w hotelu tej samej sieci, którego nazwa różni się zaledwie jednym członem.

Z czasem nauczyłam się, by zwracać uwagę pasażerów na pełną nazwę hotelu. Zwłaszcza dla tych, którzy nie znają angielskiego, już pierwszy człon nazwy wystarczył, by potwierdzić zarezerwowaną miejscówkę, podczas gdy różnica często kryje się dopiero w drugim lub trzecim słowie. I tak Sunrise Holiday Resort to zupełnie inny hotel niż Sunrise Garden Beach Resort, tych z „Sunrise” w nazwie jest zresztą jeszcze kilka i często sprawiają kłopoty. Podobnie jak Pickalbatros Aqua Park Resort to nie to samo co Pickalbatros White Beach Resort. Przykłady można mnożyć, podobnie jak pomyłki, dlatego zawsze warto dobrze nauczyć się nazwy hotelu, do którego się jedzie. Niby rezydenci tego pilnują – to oni kierują do

właściwych autobusów – ale gdy sytuacja jest bardzo nerwowa albo turystów jest naprawdę dużo, nietrudno o błąd.

Właściwy hotel znajdował się czterdzieści kilometrów od tego, na którym kończyliśmy trasę. Egipski kierowca, który prowadził autokar, był wyraźnie zmęczony i pewnie chciał już skończyć pracę, ale widząc rozpacz w moich oczach, postanowił uratować mnie z opresji i dostarczyć delikwentów do celu. Obawiałam się wysłać ich w stanie tak wyraźnie wskazującym, tym bardziej że podczas szkoleń uczulano nas na specyficzne podejście do alkoholu w Egipcie, ale nie miałam innego wyjścia. Musiałam się upewnić, że są bezpieczni. Poza hotelem mogli znacznie pogorszyć swoją sytuację – i ja ponosiłabym za to odpowiedzialność.

Mieszkańcy znanych kurortów, gdzie hotele w większości oferują standard *all inclusive*, a ich goście dbają o to, by nie wytrzeźwieć nawet na moment, są do tego przyzwyczajeni, nie znaczy to jednak, że wszystkim się to podoba. Egipt to wciąż kraj muzułmański, w którym spożywanie alkoholu jest dozwolone w ramach rozwoju turystyki, ale stosunek konserwatywnej części społeczeństwa do picia napojów wysokokowych wcale nie różni się tu od tego znanego choćby z radykalnej w tym względzie Arabii Saudyjskiej – słowem: można napytać sobie biedy.

Nawet w hotelach zdarzają się sytuacje, kiedy nadużywanie alkoholu nie jest akceptowane. Próba zameldowania się przez gościa w stanie mocnego upojenia nie raz spotkała się z odmową. Wiedziałam o tym i bałam się, że będzie tak również w tym przypadku, dlatego postanowiłam asystować mężczyznom aż do chwili, gdy dostaną klucze do swojego pokoju.

– Mam tu dwóch spóźnionych gości – zaczęłam z uśmiechem, podając ich paszporty młodemu recepcjoniście.

Delikwenci zgodnie z moimi instrukcjami mieli trzymać się kilka kroków za mną, wyglądać na tak trzeźwych, jak to tylko możliwe, i nie odzywać się ani słowem.

– Mocno spóźnionych – potwierdził chłopak. – Ich grupa jest u nas już od dwóch godzin.

– Tak, to moja wina – odparłam ze skruchą. – To mój pierwszy dzień i źle sprawdziłam listę obecności, dlatego chciałabym to załatwić bezproblemowo... – Uznałam, że jeśli wezmę całą winę na siebie, będzie zdecydowanie łatwiej.

Nie pomyliłam się. Chłopak zrobił swoje, sprawnie zameldował moich klientów, a potem skupił się na mnie. Zaczął mnie wypytywać o to, jak długo mam zamiar tu zostać i czy podoba mi się w Hurghadzie, obiecał, że mnie po niej oprowadzi, i poprosił, bym go odwiedzała, jak tylko będę w hotelu. Z czasem skumpłowałam się z Hassanem, bo tak miał na imię. Zresztą po jakichś dwóch miesiącach miałam już znajomych we wszystkich hotelach, z którymi współpracowało moje biuro, a relacje te niejednokrotnie ratowały mi i moim podopiecznym skórę.

Ten pierwszy dzień pracy zapamiętam na zawsze. To była przeprawa, na którą nie jest w stanie przygotować żadne szkolenie. A za kilka godzin zaczynał się następny...

Czekały mnie moje pierwsze samodzielne spotkania organizacyjne w hotelach. I chociaż prezentację, którą miałam do przedstawienia podróżnym, znałam na pamięć, byłam potwornie zestresowana. Nawet matura w porównaniu z tym nie była tak paraliżująca.

Bałam się, że moje występy przysłoni narzekanie turystów na opóźnienie lotu z poprzedniego dnia, ale okazało się, że wystarczyło kilka drinków i kąpiel w morzu, by diametralnie zmienili nastawienie. Większość przyszła uśmiechnięta, zrelaksowana i gotowa wysłuchać wszystkiego, co miałam im do powiedzenia. Jedynie dwaj mężczyźni z całej grupy poinformowali mnie, że zamierzają wytoczyć proces przeciwko mojej firmie, ale pozostali skutecznie ich uciszeli.

Gdy tylko skończyłam przedstawiać ofertę wycieczek fakultatywnych i omawiać ogólne zasady pobytu, rozpoczął się koncert życzeń i festiwal przechwałek z przerwami na narzekanie, prośby i zażalenia. Zaczęła pani, dla której ewidentnie spotkania z rezydentami turystycznymi nie były pierwszozną. Traktowała je z ogromnym namaszczeniem, co można było wyczuć po jej zachowaniu i nienagannym stroju. Była ubrana jak na ślub córki, nawet swojego męża, ku jego wyraźnemu niezadowoleniu, wcisnęła w garnitur. Tak, w egipskim upale.

Kobieta wróciła do kwestii lotu, ale nie nawiązała do jego opóźnienia, ale do wątpliwych jej zdaniem umiejętności pilota.

– My ze Zdziśkiem, mężem moim, to co roku latamy i nigdy tak przy lądowaniu nie trzęsło – stwierdziła ze swadą godną prawdziwej ekspertki.

– Wie pani, warunki pogodowe są różne, najwyraźniej wpadliście w drobne turbulencje przy lądowaniu. Wczorajszy dzień ewidentnie nie był wymarzoną dla branży lotniczej – odpowiedziałam łagodnie, próbując zamienić tę reklamację w żart.

– One nie były drobne! Myślałam, że głowę mi urwie! Nawet Zdzisiek się denerwował na tego pilota, a on w wojsku na samolotach latał, to się na tym zna...

– Bardzo mi przykro, że mieli państwo takie nieprzyjemne lądowanie – ponownie wyraziłam swoje ubolewanie, siłąc się na pełną współczucia minę, ale chyba nie wyszło mi to najlepiej.

Kobieta najwyraźniej się zreflektowała, że drażnienie tematu nie ma sensu, bo przestała narzekać, za to wystosowała nieco niedorzeczną prośbę:

– No pani tu nie jest winna, ale jakby mogła pani przekazać komu trzeba, żeby tego pilota nam wymienili w drodze powrotnej, byłabym wdzięczna. Bo jak znowu będzie tak rzucać, to chyba z wami już nigdzie nie polecimy, a my nawet kartę u was mamy – skończyła z przebiegłym uśmiechem.

Szybko się nauczyłam, że większość niezadowolonych turystów jako straszaków używa trzech metod. Pierwszą jest właśnie szantaż emocjonalny: „my jesteśmy wam tacy wierni, że nawet mamy kartę lojalnościową, a wy nam robicie takie rzeczy”. Druga to straszenie wystawieniem negatywnej opinii – ta w zależności od sytuacji może dotyczyć albo całego biura, albo konkretnego rezydenta. Największy kaliber wytaczają zwolennicy trzeciej metody, których groźby oscylują pomiędzy reklamacją a pozwem sądowym.

Elementem wspólnym dla tych trzech grup jest porównywanie. Turyści pieniacze uwielbiają porównywać swoje doświadczenia ze stanem aktualnym (jakby wszędzie miało być dokładnie tak samo), biura z biurami albo przytaczać przypominające legendy opowieści o znajomych, którzy dokładnie w tym samym miejscu, w tym samym terminie i po zapłaceniu dokładnie takiej samej kwoty (lub mniejszej!) mieli lepiej.

– Czy mogłaby pani zrobić coś z tą restauracją? – zgłosiła się korpulentna turystka w bajecznie kwiecistej sukience plażowej.

Niby co mam zrobić? – zastanawiałam się. Przemalować? Przebudować? Powiększyć? Przenieść?

– A czy coś jest z nią nie tak?

– Jeszcze pani pyta? Widziała pani, co oni podają?

Widziałam. Bufety uginają się od jedzenia. Nawet głodujące afrykańskie wioski nie byłyby w stanie tego przejeść.

– Z tego, co wiem, turyści są z reguły zadowoleni z wyżywienia w tym hotelu – odpowiedziałam zaskoczona, choć już wiedziałam, że żadnym argumentem tej skargi nie zbiję, bo nie o jedzenie tu tak naprawdę chodzi.

– Może jacyś niewyrobieni. Bo my z mężem...

No tak, ta też ma męża...

W sytuacjach konfliktowych mężowie podróżniczek zawsze są najwyższym autorytetem, choć z reguły w ogóle się nie odzywają, bo mało ich to wszystko obchodzi, a poza tym są przyzwyczajeni, że na co dzień i tak nie mają nic do powiedzenia.

Spojrzałam na siedzącego obok maruderki mężczyznę; dokładnie tak jak Zdzisiek wyglądał na lekko zażenowanego, a już na pewno znudzonego. Obaj wyraźnie woleliby leżeć przy basenie ze szklanką zimnego piwa w ręku.

– My z mężem też jeździmy dużo... Nawet dwa razy w roku...

Musiła być lepsza.

– Ostatnio byliśmy w Bodrum i jaka tam była kuchnia! Naleśniki to człowiek nie wiedział, czym sobie posmarować, tyle było do wyboru. A baklava... to nawet nie zliczę, ile rodzajów, nawet pistacjowa! Zupełnie jakby wiedzieli, że ja uwielbiam pistacje...

Oczywiście. Wynaleźli pistacjową baklavę specjalnie dla niej.

– A tutaj ze trzy dzemy, jogurt, nutella, miód i owoce – kontynuowała. – A baklavy tylko dwa rodzaje... Przecież to Arabi, powinni mieć baklavę wszędzie. Ja to się zawsze baklavą zajadam i nie mogę się doczekać, żeby sobie pojeść, a tu bieda...

Miłość do baklavy była u tej pani ewidentna i trudna do ukrycia nawet w bardzo luźnej sukience. Nie wiedziałam, jak mogę ją usatysfakcjonować.

– Bardzo mi przykro... – zaczęłam od słów najczęściej wypowiedzianych w konfliktowych sytuacjach. – Postaram się porozmawiać z obsługą hotelową. Bardzo bym chciała, żeby wakacje upłynęły państwu w jak najprzyjemniejszej atmosferze.

– To proszę to załatwić. Pani żyje z naszych pieniędzy, a hotel z waszych – rzuciła.

To był pierwszy raz, kiedy usłyszałam tę formułkę. Później padała ona z ust jeszcze wielu polskich turystów. „Jest tu pani za nasze” – mówi każdy,

kto kompletnie nie rozumie roli rezydenta i myśli, że my też jesteśmy na wakacjach. Może ta praca bardziej by je przypominała, gdyby właśnie nie turyści, dla których główną wakacyjną rozrywką jest robienie zadym i składanie reklamacji. Wśród wszystkich obelg te słowa długo były dla mnie najbardziej bolesne, ale nie mogłam dać im się pokonać i zawsze powtarzałam sobie, że spełniam swoje marzenia.

Zaraz po spotkaniu poszłam do obsługi hotelu, by rozwiązać problem skromnego wyboru baklavy. Poprosiłam, by przysłali niezadowolonej klientce talerz z możliwie najbogatszym wyborem słodkości prosto do pokoju. Okazało się, że mają duży wybór, również pistacjową. Kobieta zadzwoniła do mnie natychmiast po tym, jak otrzymała przesyłkę, dosłownie piejąc z radości.

– My z mężem byliśmy na wielu wycieczkach, ale jeszcze nigdy nikt nie potraktował nas tak wspaniale. Jest pani najlepszą rezydentką, jaką można sobie wymarzyć! Wystarczy pani powiedzieć o problemie, a pani od razu go rozwiązuje. Wszystkim będziemy polecać ten hotel. I panią. Ja pani wystawię taką opinię, że nikt takiej nie dostał. I zadzwonię do biura. Tak bardzo pani dziękuję...

Byłam z siebie dumna i przeszczęśliwa, że udało mi się obrócić baklawowy kryzys w tak wylewne wyznanie miłości.

To był jeden z tych momentów, który udowodnił mi, że zawód rezydenta turystycznego wymaga ogromnej kreatywności. Uczyłam się go w praktyce. Szybko zrozumiałam, że to jedyny sposób, bo choć wiele sytuacji się w nim powtarza, niektórych nie da się przewidzieć. Żadne szkolenie na przykład nie jest w stanie przygotować cię na wiadomość, że jednego z twoich podopiecznych pożarł rekin.

Był wczesny świt, gdy na mój służbowy telefon zadzwonił recepcjonista hotelu, do którego kilka dni wcześniej odstawiłam niewielką grupę turystów z Polski.

– Zgłosiła się do nas żona jednego z gości z waszego biura. Twierdzi, że jej męża pożarł rekin – powiedział całkiem serio.

Wiadomość wydała mi się tak nedorzeczna, że w pierwszym odruchu się zaśmiałam, ale szybko dotarło do mnie, że to może być prawda. Wypadki,

w których rekiny atakowały ludzi pływających u wybrzeży Hurghady, zdarzały się już wcześniej.

Międzynarodowa baza danych na temat ataków rekinów dowodzi, że ryzyko zostania zaatakowanym przez te stworzenia jest bardzo małe – wynosi zaledwie jeden na cztery miliony. Człowiek nie jest dla rekinów pożywieniem. Atakują tylko przez pomyłkę, gdy wezmą nas za większą rybę lub gdy czują się zagrożone. Obcowanie z nimi w morzach i oceanach jest dużo częstsze, niż się ludziom wydaje, ale wypadki zdarzają się rzadko, co oczywiście nie znaczy, że takie spotkania są zupełnie bezpieczne.

W ostatnich latach właśnie Hurghada najczęściej pojawiała się w nagłówkach gazet i artykułów internetowych w kontekście ataków rekinów. W 2022 roku rekin zaatakował austriacką emerytkę, która nurkowała u wybrzeża. Kobieta straciła w wyniku ataku rękę i nogę. Próbowano ją ratować, gdy przewieziono ją do szpitala, wciąż jeszcze żyła, ale ogromna utrata krwi i spowodowany stresem atak serca wykluczyły wszelkie szanse na jej uratowanie. Dosłownie kilka godzin później nieopodal miejsca, w którym wyłowiono kobietę, znaleziono zmasakrowane ciało czterdziestoletniego obywatela Rumunii. On również został zabity przez rekina.

Rok później internet obiegło szokujące nagranie, na którym widać ostatnie momenty życia dwudziestoczteroletniego Rosjanina, który walczy z atakującym go rekinem tygrysim. Chłopak od czasu ataku Rosji na Ukrainę mieszkał na stałe w Hurghadzie.

Podobną serię ataków odnotowano w 2010 roku w kurorcie Sharm El Sheikh. Najpierw ofiarami jednego ataku rekina padły dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Kobiety i jeden z mężczyzn pochodzili z Rosji. Przeżyli, ale dla całej trójki atak zakończył się całkowitą lub częściową amputacją kończyn. Czwartą osobą był Ukrainiec, który miał najwięcej szczęścia, bo choć poturbowany, wyszedł z ataku bez większego szwanku.

Cztery dni później w tych samych wodach życie straciła miłośniczka nurkowania z Niemiec.

Wątpliwą sławę ma też w tym kontekście kurort Marsa Alam. Doszło w jego pobliżu do kilku ataków, w których życie straciła trójka turystów z Niemiec i Czech oraz egipski rybak, a jeden z Egipcjan stracił stopę.

Wiedziałam, że jeśli mąż polskiej turystki faktycznie zginął podczas ataku rekina, będzie z tego głośna afera. Takie wiadomości nigdy nie przechodzą bez echa, choć władze w strachu przed utratą turystów robią wszystko, by je wyciszyć.

Oczywiście szkoda mi było pozartego przez rekina turysty, ale wolałam o tym myśleć jedynie jak o przypuszczeniu, dopóki służby tego nie potwierdzą.

Nie potrzebowałam kawy. Moje serce waliło jak młotem. Biło w mocno przyspieszonym tempie. Wzięłam błyskawiczny prysznic, ubrałam się w biegu i kilkanaście minut później byłam już w drodze do hotelu.

Zrozpaczona wdowa siedziała w lobby. Czekala na mnie, ocierając spływające z jej oczu łzy w mocno sfatygowaną chusteczkę.

Zrobiła na mnie naprawdę piorunujące wrażenie – ubrana w czarną tunikę, jakby była przygotowana na ewentualność rozpoczęcia żałoby podczas tygodniowego urlopu. Ludzie z reguły unikają czarnych ubrań, wybierając się do ciepłych krajów. Na palcach ręki można policzyć tych, którzy mają na sobie cokolwiek czarnego. Przez chwilę przeszło mi nawet przez myśl, że kobieta to wszystko zaplanowała. W tym stroju i anturazie doskonale pasowałyby do roli czarnej wdowy z luksusowego kurortu. Natychmiast jednak odrzuciłam tę zbyt absurdalną myśl. Może gdyby jej mąż umarł na zawał... coś, co można byłoby uznać za zawał..., ale przecież nie wcisnęła go osobiście w paszczę rekina.

Gdy tylko mnie zobaczyła, teatralnym gestem natychmiast rzuciła mi się w ramiona, zupełnie jakbym była wyczekany członkiem jej najbliższej rodziny, i uderzyła w lament. Zanosila się płaczem, nic konkretnego nie mówiąc. Tego nie ma w opisie stanowiska rezydenta turystycznego, ale pocieszenie i wsparcie w takich chwilach jest częścią tej pracy. Łkała i nie mówiła nic, a ja cierpliwie czekałam, aż jej przejdzie. Gdy wreszcie trochę się uspokoiła, pomogłam jej usiąść i ujmując jej dłonie, powiedziałam:

– Pani Wiśniewska, jest mi niezmiernie przykro, że musi pani przez to przechodzić, ale niestety muszę panią prosić, by opowiedziała mi pani o wszystkim, co się zdarzyło przed tym, jak zginął pani mąż. To bardzo ważne. Da pani radę...?

Kobieta, ocierając łzy z twarzy, pokiwała głową i jeszcze przez chwilę zbierała się do odpowiedzi.

– Staszek... – łkała. – Staszek... On wczoraj po kolacji poszedł popływać. Potem miał wrócić, bo mieliśmy iść na pokaz, ale nie wrócił.

– Szukała go pani?

– Na plaży wieczorem jest ciemno, niczego nie widziałam, więc wróciłam do pokoju i poszłam spać. Ale rano się obudziłam z takim koszmarem... Cała zlaną potem. Śniło mi się, że cały hotel był otoczony wodą i pływały w niej rekiny. Ja byłam sama w pokoju, Staszek zniknął. Nie miałam wątpliwości, że go pożarły.

– Ale to był tylko sen – zauważyłam z wyraźną ulgą w głosie.

– Tak, ale moje sny zawsze są prorocze.

Nagle pojawiła się nadzieja, że Staszek żyje, a rekin poszedł spać głodny.

– A gdzie w takim razie jest jego ciało? – spytałam, próbując znaleźć dowody na jej twierdzenia.

– No przecież mówię, że pożarł go rekin! – obruszyła się nieco. – Jak się obudziłam i zobaczyłam, że Staszka wciąż nie ma w pokoju, jego strona łóżka nietknięta... Nie miałam wątpliwości, że pożarł go rekin.

Z trudem powstrzymałam śmiech, choć sprawa była poważna, jeśli faktycznie mężczyzna poszedł popływać wieczorem i nie wrócił do rana – nawet pożarcia przez rekina nie mogłam wykluczyć. Ale przytaczane przez samozwańczą wdowę dowody były dość zabawne. A jednak kobieta była przekonana, że to, co wyśniła, niezbitcie świadczy o tym, jaki los podzielił jej mąż.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by pani pomóc – powiedziałam, wspinając się na wyżyny empatii.

– A jak mi pani pomoże, skoro Staszek pewnie w częściach już na dnie morza leży albo i cały zjedzony... – W Wiśniewskiej wzbierała kolejna fala płaczu.

Musiałam ją powstrzymać, bo miałam ważniejsze zadania. Pocieszenie wdowy było w tamtym momencie na końcu mojej listy.

– Proszę wrócić do swojego pokoju, a ja poruszę niebo i ziemię, żeby znaleźć pani męża – obiecałam. – I proszę nie tracić nadziei, że znajdziemy pani męża całego i zdrowego.

– Oj, dałby Bóg, ale...

Zanim dokończyła, ruszyłam w kierunku recepcji, gdzie spotkałam dobrze mi znaną ekipę pracowników hotelu.

– Faktycznie mieliście tu atak rekina? – spytałam, gdy tylko się przywitaliśmy.

Koledzy spojrzeli na mnie ze zdziwieniem.

– Aaaa, tak, faktycznie... – powiedział recepcjonista. – To znaczy nie! – dodał zaraz. – To tylko ta pani tak twierdzi. Przejrzeliśmy monitoring. Nikt poza tą kobietą od wczorajszego wieczora nawet nie zbliżał się do linii brzegowej, a i ona szybko wróciła. Nie było żadnych raportów.

– Ale faceta nie ma.

– Pewnie gdzieś zabalował. Jedna z kamer zarejestrowała, jak pije alkohol nad basenem. Nawet wyklócał się z chłopakiem z obsługi, który prosił go, by nie przesiadywał nad wodą. Mieliśmy tu kilku takich nocnych pływaków na bani. W każdym razie na pewno się nie utopił...

– Ale musimy coś zrobić – przekonywałam. – Nie możemy tak po prostu uznać, że zaginał. Trzeba wezwać policję.

Dość nonszalancki recepcjonista natychmiast się usztywnił.

– Na to jest za wcześnie, żadnej policji. Na pewno go znajdziemy. Zgłosiliśmy to już całej obsłudze. Jestem pewien, że do śniadania się znajdzie.

No i się znalazł.

Niespełna godzinę później obsługa basenu odnalazła Staszka Wiśniewskiego smacznie śpiącego w składziku na leżaki. Był cały, zdrowy i potwornie skacowany. Okazało się, że poprzedniego wieczoru, pijany w sztok i przegoniony przez obsługę znad basenu, szukał dla siebie wygodnego miejsca i zawitał do niezamkniętego domku na leżaki. Tam uznał, że to dobre miejsce, by dokończyć niedopitego drinka. Zanim jednak ujrzał dno szklanki, dopadło go znużenie i zasnął, kompletnie nieświadomy tego, że jego żona w tym czasie śni krwawe koszmary z nim w roli głównej, a nad ranem przywdzieje kir.

Było mi naprawdę szkoda Staszka, bo kobieta ewidentnie czekała na moment, kiedy będzie mogła wejść w rolę wdowy. Mało tego, kiedy zgodnie z obietnicą poszłam do jej pokoju, by przekazać jej dobrą nowinę, była z niej wyraźnie niezadowolona. To mogło być zaskoczenie, choć bardziej wyglądało na zawód.

– Ale jak to? Przecież ja to wyraźnie widziałam... – wydusiła.

– To był sen, pani Wiśniewska.

– Moje sny zawsze się sprawdzają – obstawała przy swoim ze stanowczością.

Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby na kolejnym urlopie zaproponowała swojemu mężowi pływanie z rekinami jako atrakcję, byle tylko wyszło na to, że faktycznie ma prorocze sny. Na razie jednak musiała się pogodzić z powrotem całkiem żywego męża, który właśnie stanął w progu pokoju, wybawiając mnie z opresji.

Czasami jednak śmierć na urlopie zdarza się naprawdę, a ja miałam z nią do czynienia kilka razy. Nigdy nie zapomnę tego pierwszego, choć dobrze pamiętam też każdy kolejny przypadek.

To było starsze małżeństwo, chyba z okolic Gniezna. Byli ze sobą od czterdziestu lat, a wszystkie dotychczasowe urlopy spędzali na swojej pieczołowicie uprawianej działce. Dalekie podróże rozpatrywali jedynie w kategorii niedoścignionych marzeń. Zawsze powtarzali, że jak byli młodzi, nie mieli możliwości podróżować, bo dzieci i komuna, a teraz są już na to zdecydowanie za starzy.

Te same dzieci postanowiły zmienić ów stan rzeczy i na czterdziestą rocznicę ślubu zafundowały swoim rodzicom podróż życia – wakacje w egipskiej Hurghadzie. Starsi państwo byli naprawdę bardzo uroczy. Jednocześnie przestraszeni i podekscytowani. Mężczyzna, szarmancki w starym stylu, był bardzo wygadany. Jego żona, choć uśmiechnięta, nie odzywała się zbyt wiele. Kiedy tylko powitałam ich na lotnisku i wskazałam numer autobusu, do którego powinni się skierować, zapytali, czy ja też będę do niego szła.

– Tak, jak tylko przywitam wszystkich gości z listy – odpowiedziałam.

– To my na panią poczekamy, jeśli to nie jest kłopot, bo my tu jesteśmy pierwszy raz i jeszcze coś pomylimy – odparł uprzejmie mężczyzna.

Uznałam, że w sumie nie jest to najgorsze rozwiązanie, bo jeśli faktycznie wsiedliby do niewłaściwego autobusu, odnalezienie ich byłoby znacznie bardziej kłopotliwe.

Kwadrans później ruszyliśmy wspólnie w kierunku zatoczki dla autobusów. Po drodze starszy pan opowiedział mi, jak to się stało, że zamiast pielić grządki, znaleźli się w Egipcie.

– Żona nigdy nawet samolotem nie leciała, a ja to tylko wojskowym w młodości.

– I jak się podobało?

– Przy lądowaniu było trochę emocji, ale żona przynajmniej mnie za rękę mocno trzymała, bo tak na co dzień to czasu nie ma i już dawno się za ręce nie trzymaliśmy – kokietował, łapiąc za dłoń swoją połowicę, jakby chciał udowodnić, że mówi prawdę.

Nie oponowała. Wyglądali na naprawdę zżytych ze sobą, może nawet wciąż jeszcze w sobie zakochanych. Nie sądziłam, że po tylu latach jest to jeszcze możliwe. Rzadko mi się to zdarza, bo staram się do każdego podchodzić w ten sam sposób, ale szybko stali się moją ulubioną parą z całej grupy i postanowiłam zadbać o nich w szczególny sposób.

Posadziłam ich obok tuż za swoim siedzeniem i poprosiłam kierowcę, by zmienił nieco trasę do hoteli. Ten, w którym mieli zatrzymać się staruszkowie, nie był ostatnim, ale zrobiliśmy tak, by podjechać do niego na samym końcu, żebym mogła towarzyszyć im przy zameldowaniu i zadbać, by dostali najlepszy pokój. Byli zachwyceni, już zdecydowanie mniej przestraszeni, a ja miałam poczucie, że naprawdę na to zasługują.

Małżeństwo wykupiło dwie wycieczki. Jedną do Kairu i Gizy, a drugą do Luksoru – obowiązkowy zestaw dla większości turystów, którzy odwiedzają Egipt po raz pierwszy. Nie byłam z nimi na żadnym z tych wyjazdów, ale opowiadali o nich z emocjami dzieci, które odpakowują gwiazdkowe prezenty. Nawet z reguły mniej wygadanej żonie rozwiązał się język, a mąż dosłownie nie był w stanie powstrzymać wzruszenia.

– Ja nigdy nie sądziłem, że takie cuda zobaczę – mówił, przełykając łzy, którym z wielkim wysiłkiem nie pozwalał spłynąć.

Po wycieczce do Luksoru parze zostały jeszcze dwa dni odpoczynku przed powrotem do Polski. Planowali spędzić je w hotelu, korzystając ze wszystkich jego dogodności.

– Na co dzień to ja mam taki *all inclusive* w domu. Ale teraz to i żona sobie odpocznie, chociaż na początku naczynia odnosić chciała, a przecież tu sprzątają tak sprawnie, że człowiek się nawet nie obejrzy, a stolik już czysty – chwalił z uznaniem.

Ostatniego dnia ich pobytu, około południa, dostałam wiadomość, że muszę natychmiast przyjechać do hotelu, bo pogotowie zabrało do szpitala jednego z turystów z mojej grupy. Nie pytałam o nazwisko, bo próba jego

wymówienia przez Egipcjanina mogłaby zająć za dużo czasu, tylko natychmiast ruszyłam w drogę.

Kiedyjechałam do hotelu, przeszło mi przez myśl, że może chodzić o mojego ulubionego staruszka, dlatego gdy tylko zobaczyłam go pośród zebranych w hotelowej kawiarni Polaków, odetchnęłam z ulgą. Nie na długo jednak. Jak się wkrótce okazało, pogotowie zabrało jego żonę. Szybko się zorientowałam, że zebrani dookoła Polacy go pocieszają. Mężczyzna siedział w fotelu, wpatrzony w jakiś punkt na podłodze, ale gdy tylko się zorientował, że jestem, podniósł wzrok i spróbował się uśmiechnąć.

Podeszłam i kucnęłam przy nim, ujmując jego dłonie.

– Jak ja teraz będę żył bez mojej Jasi... – powiedział cicho.

– Proszę tak nie mówić. Wróćcie razem do Polski. W szpitalu na pewno jej pomogą.

– Nie. Ja wiem, że jej już nie ma. Kiedy kocha się kogoś od tylu lat, serce czuje stratę. – Po jego policzkach spłynęły łzy.

Faktycznie, kwadrans później dotarła do nas wiadomość, że kobieta zmarła. Było mi nieprawdopodobnie przykro na widok tego biednego, zagubionego, osieroconego przez miłość swojego życia człowieka.

Zadzwoiłam do jego syna, by przekazać smutną wiadomość. Przyleciał do Hurghady wraz z kolejnym turnusem już następnego dnia. Mimo że był szczyt sezonu, udało mi się załatwić dla niego i jego ojca pokój w tym samym hotelu, a później przeszłam z nimi wszystkie rozdzierające serce formalności związane ze sprowadzeniem do Polski zwłok ukochanej żony i mamy.

– Tak mi przykro, że stało się to w takich okolicznościach – powiedziałam, gdy przyszedł czas naszego pożegnania.

– Och, zupełnie niepotrzebnie – odparł staruszek, przytulając mnie serdecznie. – To najpiękniejsze okoliczności, jakie można sobie wymarzyć. Moja żona odeszła szczęśliwa, choć niestety zabrała ze sobą całe to szczęście.

ROZDZIAŁ 4

Dubaj

Pani Kalina jeździła do Egiptu co roku, od kiedy tylko przeszła na emeryturę wypracowaną w urzędzie miejskim pewnej podkrakowskiej miejscowości. Zadbane sześćdziesięcioparolatka, dzięki zabiegom kosmetycznym, nienagannej fryzurze i figurze, a także gustownym strojom nie wyglądała na więcej niż pięćdziesiąt lat. I chyba miała tego świadomość. Miała też ogromny apetyt na życie i plan znalezienia bogatego męża. Mierzyła wysoko, bo swoje sidła zastawiła na szejka.

Spotkałyśmy się kilka razy. Za pierwszym nawet nie rozmawiałyśmy, ale w kolejnym roku, kiedy pani Kalina rozpoznała mnie z poprzedniej wycieczki, natychmiast postanowiła mi się przypomnieć. Udawałam, że ją pamiętam, żeby jej nie urazić. Rozmawiałyśmy chwilę, ale już chwila wystarczyła, żebym zrozumiała, jak niebanalne podejście do życia ma ta kobieta. Była w wieku mojej mamy, więc siłą rzeczy porównywałam ją do niej. Różniło je praktycznie wszystko. Jedna z głową pełną marzeń, druga wyłącznie kulinarnych przepisów i rad, o które nikt nie prosił. Wiem, że to niezbyt ładnie z mojej strony, ale pragnęłam, żeby moja mama była choć trochę jak pani Kalina – może odrealniona, nieco naiwna, ale nieustannie szczerze uśmiechnięta.

– Zobaczysz pani, ja kiedyś będę żoną szejka – zapewniła mnie już na wstępie. – W końcu go poznam. Kiedyś jeździłam do Sharm El Sheikh, ale czułam się oszukana, bo tam żadnego szejka nie poznałam. Słyszałam, że w Hurghadzie bywają, dlatego jeżdżę i się rozglądam.

– No to życzę szczęścia. Tak piękna kobieta na pewno zwróci uwagę szejka, jak tylko jakiś pojawi się w pani zasięgu – powiedziałam, nie chcąc niszczyć jej marzeń.

– Dziękuję bardzo – krygowała się. – Dbam o siebie, bo wie pani, jak same o siebie nie zadbamy, to nikt o nas nie zadba.

– Tym bardziej mam nadzieję, że wkrótce znajdzie się ktoś, kto o panią zadba.

– A to ja może spytam przy okazji, bo pani tu jest na co dzień. Nie wie pani, gdzie tu można ich spotkać? Widziałam mężczyzn w długich białych szatach, jak w filmach, ale przecież nie podejść i nie spytać takiego, czy jest szejkiem. Kiedyś myślałam, że to każdy w białej szacie, ale już teraz wiem, że tylko niektórzy...

Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby się nad tym zastanawiać, ale wiedziałam jedno: w Egipcie nie ma szejków. Przynajmniej nie takich, o jakich chodziło pani Kalinie. Tam „szejk” to tytuł używany wobec osób zasłużonych, często duchownych, i nie ma nic wspólnego z bogactwem czy przynależnością do rodziny królewskiej, zwłaszcza że ta nie rządzi tym krajem od wielu dekad.

– Bo wie pani, ja to romansuję, na odległość oczywiście, z jednym takim szejkiem z Dubaju – wyjawiała mi w końcu pani Kalina, lekko pąsowiejąc. – Dla niego się uczę angielskiego. Czasami rozmawiamy przez tłumacza, ale tak normalnie też już mi całkiem nieźle wychodzi.

– A to trzeba do Dubaju polecieć...

– No właśnie mam w planach i nawet pieniądze odkładam, a on mnie zaprasza.

– Jak zaprasza, to niech za bilet zapłaci – zasugerowałam z przymrużeniem oka.

– O nie, nie... Ja mam swoją godność. Nie będę czyjąś utrzymanką. Jak polecę, to za swoje.

Jak na kobietę polującą na szejka, pani Kalina miała swoje zasady. Nie wiedziałam tylko, jak jej powiedzieć, że człowiek, który do niej pisze, prawdopodobnie nie jest żadnym szejkiem, a oszustem. Ostatecznie zdecydowałam, że nie będę wstrząsać jej wyobrażonym światem. Dzięki swoim fantazjom się uśmiechała, dbała o siebie, uczyła się języka obcego i podróżowała. Nawet jeśli miało się okazać, że nie prowadzą do żadnej spektakularnej zmiany w jej życiu, w tamtym momencie było ono naprawdę barwne i ciekawe.

Nie wiem, czy pani Kalina kiedykolwiek dopięła swego, czy poleciała do Dubaju i jak potoczył się jej internetowy romans z rzekomym szejkiem, ale

rozmowa z nią sprawiła, że w mojej głowie pojawiła się nowa idea. Może czas najwyższy, by po latach spędzonych w Egipcie ponownie ruszyć w świat.

Jak pewnie można się spodziewać, moje myśli skierowały się właśnie ku Zjednoczonym Emiratom Arabskim, które z roku na rok przyciągały coraz więcej podróżnych. Wielu z tych, którzy co roku przylatywali do Egiptu, po odkryciu Dubaju, Abu Dhabi czy Fujairah upodobali sobie właśnie te miejsca. Ja też zapragnęłam tam wyruszyć. Moje dobre notowania w firmie i wysokie oceny wystawiane przez klientów mimo dużej konkurencji zdecydowanie mi to ułatwiły. Na transfer nie musiałam długo czekać. Trzy miesiące po tym, jak zgłosiłam chęć przeniesienia się do Dubaju, dostałam informację, że mogę objąć posadę rezydenta turystycznego, choć uprzedzono mnie, że wiąże się to z dużo większą liczbą formalności i trudności niż w Egipcie. Byłam jednak na nie gotowa.

Historia mojej przeprowadzki do Dubaju nie jest w żaden sposób interesująca. To miejsce, które doskonale łączy świat islamski z niewiernym Zachodem, a ja dobrze czułam się w obu. Przez kilka lat żyłam w kraju islamskim, dlatego nie przeżyłam szoku kulturowego, a dzięki wszechobecnym w Dubaju nawiązaniom do kultury Zachodu z łatwością odnalazłam tu swoje miejsce. Nie znaczy to jednak, że nie był to pamiętny moment, bo w Emiratach wylądowałam w styczniu, w środku olbrzymiej powodzi i dwa tygodnie przed końcem ramadanu.

Wiele osób się dziwi, gdy mówię o powodziach w Dubaju, trudno je sobie wyobrazić na pustyni, a jednak występują tu dość regularnie i są naprawdę uciążliwe. Kiedy przyleciałam, utknęłam na lotnisku na kilkanaście godzin. Ponieważ Emirates Road zmieniła się w rwącą rzekę, a Sheikh Zayed Road stanęła w korkach większych niż zwykle, musiałam się uzbroić w cierpliwość.

Moje kłopoty nie były jednak największe. Prawdziwy koszmar przeżywali pracownicy biur turystycznych, którzy nie byli w stanie odwieźć na czas na lotnisko swoich podopiecznych ani odebrać tych, którzy właśnie przylecieli. I to właśnie spowodowało, że swoją pracę zaczęłam wcześniej, niż się tego spodziewałam.

Wkrótce po wylądowaniu dostałam telefon z biura w Polsce. Opisano mi pokrótce, jak wygląda sytuacja, i poproszono, bym odnalazła grupę Polaków, którzy przylecieli do Dubaju tym samym samolotem co ja. Mieli

zostać odebrani na lotnisku przez rezydenta, jednak ten w obecnych warunkach nie miał szans się tu dostać.

Znalezienie grupy mocno poruszonych okolicznościami turystów nie było trudne. Niektórzy za wszelką cenę próbowali się czegoś dowiedzieć, inni żartowali, że popłyną do hotelu wpław, jeszcze inni (co oczywiście było do przewidzenia) rozważali, w jaki sposób pociągnąć biuro do odpowiedzialności – mimo wszystko jednak byli nieco mniej nerwowi niż niektórzy moi podopieczni w Egipcie.

Podeszłam i się przedstawiłam. Wtedy jedna z kobiet zauważyła:

– A pani to chyba leciała z nami?

– I tyle czasu pani czekała, żeby się ujawnić? – dorzuciła druga z uśmiechem.

Wyjaśniłam, że dopiero zaczynam pracę i jestem w tak samo trudnej sytuacji jak oni, a potem obiecałam, że będę ich łącznikiem z biurem i postaram się zminimalizować wszelkie niedogodności.

– No ale przecież sama pani tego nie rozwiąże, to takie gadanie, żeby nas uspokoić – zauważył mężczyzna, który do tej pory najgłośniejszy wyrażał swoje niezadowolenie.

– Oczywiście, że nie jestem w stanie usunąć skutków powodzi, ale przy odrobinie dobrej woli możemy spróbować się porozumieć i wspólnymi siłami przetrwać trudne chwile – powiedziałam z szerokim uśmiechem, dość stanowczo i głównie do niego. Później zwróciłam się do reszty: – Czy słyszeli państwo wcześniej o powodziach w Dubaju?

Nikt nie słyszał.

– Uwierzcie, że to nie zdarza się często – dodałam zachęcająco. – Na pewno więc będziecie mieli co opowiadać po powrocie.

Większość kupiła ten argument, ale oczywiście znalazł się jeden nieprzekonany.

– Nikt się na to nie pisał! – rzucił największy dyskutant, na szczęście szybko się zorientował, że pozostał sam na polu walki. Jego towarzysze bowiem uznali powódź za swego rodzaju atrakcję turystyczną. I to unikatową!

Spędziliśmy razem w sumie kilkanaście godzin. W końcu przyszła długo wyczekiwana wiadomość – bus, który miał odebrać turystów, podjechał na lotniskowy parking. Miałam pojechać do hotelu razem z nimi. Rezydentka, która stacjonowała do tej pory w Dubaju, a którą wkrótce miałam zastąpić,

musiała zostać z grupą, która miała wylatywać. Miała na głowie nie tylko ich narzekania, ale też mnóstwo formalności związanych ze zmianą rezerwacji i swego rodzaju strajkiem, bo turyści odmówili opuszczenia pokoi, dopóki nie poznają konkretów wyjazdu.

Wśród tych, którzy zostali uwięzieni w hotelu, istniał wyraźny podział na zadowolonych z przedłużenia urlopu i tych wściekłych. A że kolejna grupa podróżnych wkrótce miała przybyć do hotelu, trzeba było przygotować dla nich miejsce. Zapadła decyzja o konieczności opuszczenia pokoi hotelowych, co wywołało prawdziwe wrzenie, zwłaszcza że wciąż nie było wiadomo, co z lotem powrotnym. Niektórzy zastrajkowali, mówiąc, że nie zwolnią pokoi, dopóki biuro nie zagwarantuje im, że wkrótce wylecą do Polski.

– Nie będziemy koczować jak jacyś beduini! – wściekał się starszy mężczyzna, który był wyrazicielem opinii większości.

Nikt nie miał w tej sytuacji łatwo. Znalezienie miejsc dla dwudziestoosobowej grupy w samolocie rejsowym, i to w kryzysowych momentach, graniczy z cudem i jest pełnoetatowym zajęciem. Oczywiście nad zmianami rezerwacji pracowało biuro w Polsce, ale to wcale nie zwalnia rezydenta z odpowiedzialności za pasażerów. Musi ich informować na bieżąco i bezpiecznie dostarczyć na lotnisko, co w chwilach, gdy jazda po mieście przypomina czołganie, jest naprawdę trudne.

Kiedy dotarłam do hotelu z grupą turystów, dotychczasowa rezydentka, jak się okazało, również Kasia, czekała już na nas przy wejściu. Była wyraźnie wykończona, a do tego, na moje oko, w czwartym, może nawet piątym miesiącu ciąży.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę – powiedziała, przytulając mnie, jakbyśmy znały się od lat.

– Chyba masz tu sądny dzień. Mów, w czym ci pomóc. Jestem do twojej dyspozycji – odparłam, gotowa do działania.

Kasia się nie krygowała. Faktycznie potrzebowała pomocy i natychmiast powiedziała mi, czego potrzebuje.

– Jeśli możesz, zajmij się meldunkami nowej grupy, ja postaram się okiełznać tych, którzy powinni już dawno wyjechać. Mam ich dwudziestkę, zaś miejsca w samolocie zaledwie dla piątki. Są wściekli, a ja już nie wiem, jak się tłumaczyć – wyjaśniła załamana.

– Nie chcę ci burzyć planów, ale jeśli są wściekli na ciebie, to może ja się nimi zajmę, a ty przywitaj tych nowych?

Kasia z lekkim niedowierzaniem, ale i wyraźną radością przyjęła moją propozycję. Przekazała mi szczegóły i natychmiast zabrałyśmy się do gaszenia pożaru.

Podeszłam do naszych „beduinów” okupujących część kawiarni znajdującej się tuż przy hotelowym holu i przerwałam ożywioną dyskusję, żeby się przedstawić. W tamtym momencie cała grupa była już mocno niezadowolona, nawet ci, których przedłużenie pobytu początkowo cieszyło, stracili powody do radości wraz z utratą kluczy do swoich pokoi.

– Bardzo państwu współczuję, ale właśnie szukamy rozwiązania tej trudnej sytuacji – przekonywałam. – Ta powódź zaskoczyła nas nie mniej niż państwa.

– Wy powinniście być na to przygotowani – rzucił samozwańczy lider grupy.

Postanowiłam nie reagować na prowokację i kontynuowałam:

– Mamy w tej chwili zapewnione pięć miejsc na najbliższy samolot i musimy ustalić, kto z państwa nim poleci. Dobrze byłoby podjąć tę decyzję jak najszybciej, tak żeby mogli państwo czym prędzej wyruszyć na lotnisko.

– A niby jak mamy ją podjąć? Losować czy może w ramach kolejnych atrakcji zorganizują nam tu państwo konkurs piosenki i polecą tylko zwycięzcy?

Pomysł zorganizowania konkursu rozbawił mnie na tyle, że byłam w stanie zwalczyć zdenerwowanie jego kąśliwymi uwagami. W sumie mogłabym posłuchać, jak śpiewa, oby tylko zajął się czymś innym niż wygłaszaniem swoich mądrości.

– Możemy tak, ale możemy też zachować się jak dorośli ludzie i przeanalizować, komu z państwa to opóźnienie najbardziej komplikuje sytuację – powiedziałam, wpatrując się w twarz piniacza, by dać mu do zrozumienia, że mógłby choć przez chwilę wykazać się rozsądkiem.

Każdy pragnie, by jego wakacje przebiegały bez zakłóceń, ale czasami los chce inaczej, a znacznie szybciej znajduje się rozwiązanie, gdy ludzie są skłonni do współpracy, zamiast tracić czas na wylewanie frustracji. Na moje szczęście większość podróżnych wybrała konstruktywne podejście.

Okazało się, że siedmiu turystów z tej grupy jest w najtrudniejszym położeniu i po prostu musi jak najszybciej wrócić do kraju. Zdecydowałam, że wszyscy oni pojadą na lotnisko, a o dwa dodatkowe miejsca będziemy walczyć już na miejscu. Niestety samozwańczy rzecznik grupy, komentujący każde moje słowo i każdą decyzję, musiał pozostać w Dubaju, choć bardzo liczyłam na to, że będzie chciał się załapać na wcześniejszy lot. Wyraźnie chodziło mu tylko o to, by sobie pokrzyknąć.

Kasia, która zdążyła już zająć się grupą nowo przybyłych i rozlokować ich w pokojach, dołączyła do nas. Na jej głowie pozostała trzynastka tych, którzy nie jechali ze mną na lotnisko.

– Mamy dla państwa miejsca w hotelu nieopodal stacji metra Al Qusais. Stamtąd bez problemu zdążycie na lot, jak tylko dostaniemy potwierdzenia wszystkich brakujących rezerwacji. Za chwilę przyjedzie po nas bus. Bardzo przepraszamy za komplikacje i mimo wszystko mamy nadzieję, że jeszcze jedna noc w Dubaju, oczywiście na koszt naszego biura, państwa ucieszy.

Niedługo potem obie grupy – z dwiema Kaškami na czele – w dwóch osobnych busach ruszyły tą samą drogą w kierunku lotniska. Byłam dobrej myśli i opłacało się, bo jeszcze zanim dotarliśmy na lotnisko, okazało się, że ostatecznie w samolocie znajdą się miejsca dla wszystkich siedmiu pasażerów. To rozwiązywało problemy, na jakie byłam gotowa tego dnia. Reszta musiała poczekać.

Do hotelu, w którym miałam się zatrzymać, dotarłam tuż przed północą. W recepcji czekała na mnie Kasia. Przyjechała niedługo przede mną.

– Takiego początku to nie miał chyba nikt. Prawdziwy chrzest bojowy – powiedziała z uśmiechem. – Masz ochotę na drinka czy wolisz iść do pokoju i udawać, że cała ludzkość wyginęła w jakiejś masowej katastrofie?

Obie opcje brzmiały kusząco, jednak wybrałam tę pierwszą. Byłam zmęczona, ale emocje całego dnia i tak nie pozwoliłyby mi zasnąć. A poza tym bardzo chciałam poznać swoją imienniczkę i dowiedzieć się wszystkiego, co wiedzieć warto.

Szybko się okazało, że miałam rację – Kasia była w ciąży. I właśnie z tego powodu musiała wrócić do Polski. Była rezydentką turystyczną, ale w Dubaju słowo „rezydent” ma jeszcze jedno, znacznie częściej używane znaczenie. Każdy, kto chce tu pracować i mieszkać na stałe, musi być rezydentem Zjednoczonych Emiratów Arabskich. W przypadku rezydentów

turystycznych sprawa rozwiązywana jest z reguły za pomocą wiz turystycznych. Te pozwalają na pobyt do dziewięćdziesięciu dni. Wystarczy zatem, że co trzy miesiące taka osoba wyjedzie z Dubaju, co nie było trudne i opłacało się zdecydowanie bardziej niż stała rezydentura. W przypadku tej drugiej biura podróży musiałyby być zarejestrowane w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, a co za tym idzie, zawiązać spółkę z firmą należącą do obywatela tego kraju.

– Nie miałabym nic przeciwko urodzeniu dziecka w Dubaju, mają tu świetne szpitale, profesjonalną opiekę medyczną, ale mogłoby to być ryzykowne, a już na pewno bardzo kosztowne – wyjaśniła Kasia. – Mój chłopak większość czasu jest tu ze mną, bo pracuje zdalnie, ale musi też sporo podróżować. Jeśli poród zacząłby się wtedy, gdy akurat nie byłoby go w Dubaju, mogłoby być różnie...

Nie byłam pewna, co ma na myśli, i chyba wyczytała to z mojej miny, bo zaraz wyjaśniła:

– Nie jesteśmy małżeństwem. Udajemy je na co dzień, bo wiesz, jakie jest tu podejście do niezamężnych ciężarnych kobiet. Znam historię dziewczyny, która urodziła dziecko w Sharjah. Jej mąż był wtedy za granicą, ale nikt nie chciał jej uwierzyć, że jest mężatką. Zaraz po porodzie trafiła do aresztu. Aż cztery miesiące trwało załatwianie formalności i wyjaśnianie sprawy, zanim w końcu udowodniła, że nie urodziła nieślubnego dziecka. Okazało się, że nie urodziła dziecka poza związkiem małżeńskim.

– Czyli oni byli po ślubie... – powiedziałam coś, co w oczywisty sposób wynikało z tej historii.

– Tak, w Sharjah są pod tym względem nieprzejednani. Tam jest jak w Arabii Saudyjskiej, ale w Dubaju też bywa jak na loterii. Jak trafisz na islamską konserwę, to nie wygrasz. Lepiej nie ryzykować, zwłaszcza że my tam się do ślubu nie spieszymy. Poza tym moi rodzice nie mogą się doczekać wnuczka. Będzie ich pierwszym...

– Chłopak?

– Tak mówią.

– To kiedy wyjeżdżasz?

– Za tydzień.

– I już za tydzień zostawisz mnie tu samą? – jęknęłam rozczarowana. – Nie wiem, czy tak krótkie szkolenie mi wystarczy.

– Kochana, po tym, co dzisiaj widziałam, jestem pewna, że nie potrzebujesz żadnego szkolenia. Nigdy nie spotkałam rezydenta, który miałby takie jaja. To dobrze, przydadzą ci się tutaj...

Już w pierwszym miesiącu pracy w Dubaju przekonałam się, że pozorne podobieństwa do Egiptu nie wytrzymują próby czasu. Dubaju nie da się porównać z żadnym innym miejscem na ziemi. Co więcej, ewidentne są różnice pomiędzy podróżującymi w te dwa miejsca Polakami. I nie chodzi tu wcale o to, że jedna grupa jest w jakiś sposób lepsza od drugiej. Są po prostu bardzo różni, przy czym wszyscy mają swoje za uszami. Nikt jednak nie namówiłby mnie na powiedzenie, których wolę, choć wielu już próbowało.

Czym charakteryzują się ci, którzy odwiedzają Dubaj? Zasadniczo czują się nieco lepsi, wyróżnieni – i oczywiście nie ma w tym nic złego. Wydają na wyjazd swoje ciężko zarobione pieniądze i mają prawo do tego, by czuć się dobrze. Ale przyznam, że gdy wchodziliśmy na temat Egiptu, czasami robiło mi się przykro.

– My kiedyś to do Egiptu lataliśmy – słyszałam wiele razy. – Ale taki syf się tam zrobił, że już nie latamy. To dla takich, co pieniędzy nie mają i tylko na okazje polują.

Trudno było mi się z tym zgodzić. Po pierwsze Egipt nieustannie pracuje nad swoją bazą hotelową, remontuje, upiększa, poprawia. Fakt, jest ona generalnie gorsza od tej w Dubaju, ale jest też dużo bogatsza w ulubioną przez Polaków ofertę *all inclusive*, która w Emiratach nie jest tak popularna, a jeszcze kilka lat temu praktycznie w ogóle nie była dostępna. Po drugie nie ma niczego złego w polowaniu na okazje, bo przecież każdy z nas je lubi. A po trzecie żadną hańbą nie jest mniej zasobny portfel, o czym wizytujący Dubaj często zdają się zapominać. Jest wśród nich sporo faktycznie majątnych ludzi, ale to nie tak, że wszyscy śpią na pieniądzach. Co więcej, próbując zaoszczędzić, turyści często zachowują się zdecydowanie bardziej żenująco niż ktokolwiek, kto pojechał do Egiptu na tanie wczasy. Kiedy wykupuje się wycieczkę za grube tysiące i mieszka w naprawdę luksusowym hotelu, warto bowiem powstrzymać się od przemykania do niego kupionych wałówek i wnoszenia ich

w przetartych reklamówkach z Biedronki – a takie sceny i w Dubaju mają miejsce.

Generalizowanie nigdy nie jest jednak sprawiedliwe, a znakomita większość ludzi, z którymi miałam okazję spotkać się zarówno w Hurghadzie, jak i w Dubaju, zasługuje na pochwałę. Ci, którzy pozostają w mniejszości... cóż, znajdują się na kartach tej książki. Ku przestrodze.

Od chwili naszego pierwszego spotkania pan Henryk miał zdanie na każdy temat i doskonale czuł się w każdej dziedzinie. Ten nieco rubaszny, korpulentny mężczyzna z czupryną siwych włosów i srebrnym wąsem zabierał głos w każdej kwestii. Swoją szeroką wiedzą o świecie, panujących w nim zasadach, o miejscu kobiet w społeczeństwie i wielu innych sprawach, zdobytą prawdopodobnie podczas prowadzenia trzech znakomicie prosperujących warsztatów samochodowych, dzielił się ochoczo i ze wszystkimi. Niezależnie od tego, czy jego mimowolni słuchacze mieli na te wykłady ochotę, czy też woleli pozostać niedouczeni. Swoje teorie, jak każdy uczony, popierał z reguły bibliografią w postaci znalezionych na mało znanych portalach artykułów lub jeszcze bardziej wiarygodną znajomością z kolegą, którego kuzyn wie, bo pracuje w ministerstwie.

Już na wstępie, na lotnisku, oświadczył wszystkim, że są idiotami, skoro korzystają z kart kredytowych lub próbują wypłacić gotówkę za pomocą kart płatniczych. Podobno pozwala to na dotarcie do takich osób arabskim terrorystom, a ci, zgodnie z nową strategią, wykańczają po cichu wszystkich, których mają na swojej tajemniczej liście. Jak się dostać na tę listę? Ano właśnie korzystając z elektronicznych form płatności.

– Jak wam potem łby poobcinają, to się nie dziwcie! – argumentował. – Jak kto mądry, to płaci z rolki...

Dla podkreślenia swoich słów prezentował spiętą gumką recepturką, zwiniętą w rulon przywiezioną z Polski gotówkę. Towarzysząca mu kobieta co jakiś czas próbowała go uciszać, zwłaszcza gdy widziała zniecierpliwiony wzrok pozostałych uczestników wycieczki, ale pan Henryk oczywiście nie zamierzał jej słuchać, bo słuchanie generalnie nie leżało w jego naturze.

– Halina, ty to uważaj, bo my jesteśmy u Arabów, a tu się z babami nie patyczkują. Jak będziesz pyskować, to ci taki czarny worek załatwię i będziesz chodziła trzy metry za mną bez słowa – rechotał, uznając swoje ostrzeżenia za doskonały żart.

Pan Henryk nie był w stanie wysłuchać dwóch zdań bez wtrącenia choćby jednego komentarza, co znacznie utrudniało mi pracę. Staralam się jednak traktować to jak dialog i wykorzystywałam go do obalania stereotypów, których mężczyzna był chodzącą encyklopedią.

W trakcie wycieczki fakultatywnej do Abu Dhabi próbowałam opowiadać o historii poszczególnych emiratów i o tym, jak doszło do ich połączenia w jeden kraj, ale okazało się, że pan Henryk zna fakty znacznie lepiej. Oczywiście wyłącznie w swoim mniemaniu.

– Abu Dhabi jest stolicą Zjednoczonych Emiratów Arabskich... – zaczęłam i już to obudziło w nim pragnienie skorygowania mnie.

Kolejny kwadrans spędziliśmy na przepychankach, podczas których się dowiedziałam, że jestem niedouczone, bo wszyscy „douczeni” wiedzą, że stolicą jest Dubaj. I tak pan Henryk korygował mnie na każdym kroku, a gdy inni próbowali go uciszać, wchodził z nimi w otwarty konflikt.

Początkowo mężczyzna był tylko lekko denerwujący, z czasem jednak stawał się coraz bardziej agresywny i natarczywy. Zaczynałam się trochę obawiać. Nie o siebie, a o to, że wpadnie w jakieś tarapaty, gdy rozpoczniemy naszą objazdówkę po Abu Dhabi. Byliśmy w kraju, w którym wyjątkowo surowo podchodzi się do wszelkich form agresji, a pan Henryk wyglądał na takiego, który w razie kłopotów raczej nie obierze drogi dyplomacji.

Moje obawy na nieszczęście nas wszystkich okazały się zasadne. Następnym punktem naszego planu po zwiedzaniu pałacu Qasr Al Watan był Wielki Meczet – najbardziej znana atrakcja stolicy i obowiązkowy punkt na tej trasie. To jedna z nielicznych świątyń muzułmańskich, która pozwala na wstęp wyznawcom innych religii i ateistom. W Dubaju zezwala na to meczet Jumeirah, ale on nie może się równać z tym w Abu Dhabi.

Zbudowany na przełomie wieków meczet jest prawdziwym cudem architektury. Wyniesiony na dziewięć metrów na sztucznie usypanym wzgórzu, okazały i absolutnie zachwycający, jest trzykrotnym rekordzistą Guinnessa.

Ma największą na świecie kopułę o zewnętrznej średnicy aż osiemdziesięciu pięciu metrów.

W środku znajduje się największy na świecie żyrandol. Ma on piętnaście metrów wysokości i waży dwanaście ton. Złożony czterdziestoma kilogramami dwudziestoczyterokaratowego złota, wysadzany kryształami Swarovskiego, kosztował w przeliczeniu blisko trzydzieści pięć milionów złotych.

Trzecim rekordzistą również jest element wystroju wnętrz. Przepiękny zielony, kwiecisty, ręcznie tkany dywan, którego powierzchnia to ponad pięć i pół kilometra. Tysiąc dwustu tkaczy tworzyło to dzieło ponad dwa lata. Składa się z dwóch miliardów splotów i waży prawie pięćdziesiąt ton.

Oprócz tych zachwycających elementów warto zwrócić uwagę na przepiękny *mihrab*, czyli półokrągłą niszę wskazującą modlącym się kierunek Mekki. Na jej ścianach starodawną kaligrafią arabską wypisano dziewięćdziesiąt dziewięć cech Allaha, które powinien znać każdy muzułmanin.

W meczecie znajduje się również mauzoleum ojca narodu i pierwszego prezydenta Zjednoczonych Emiratów Arabskich szejka Zayed bin Sultana Al Nahyana, którego imię nosi też sama świątynia.

Wstęp do meczetu jest darmowy, ale nie bezwarunkowy. Wszyscy, którzy go odwiedzają, muszą poddać się pewnym rygorom. Pierwszym jest konieczność przejścia przez skaner – i już to wywołało u pana Henryka ostry sprzeciw. Powiedział, że na lotnisku to jeszcze może się zgodzić, ale nikt nie będzie go skanował przy wejściu „do jakiegoś kościoła dla muslimów”. Gdy tylko usłyszałam te słowa, zamarłam. Ale pan Henryk dopiero się rozkręcał.

– Sami latają z bombami na pasku, a mnie będą sprawdzać, Arabusy jebane! – wściekał się, głośno komentując.

Wtedy już musiałam zareagować. Na szczęście raczej nikt go nie rozumiał, ale już po tonie jego głosu można było wnioskować, że wyraża swoje niezadowolenie.

– Panie Henryku, nie wolno tak mówić – upomniałam go.

– Co nie wolno, co nie wolno...? Wolność słowa jest!

– Nie tutaj.

– Przecież te tępaki i tak polskiego nie rozumieją.

– Ale mogą zareagować na pana uniesiony głos. Proszę, żeby chociaż tu powstrzymał się pan od komentarzy.

Wszyscy inni uczestnicy wycieczki starali się dystansować od krewkiego mężczyzny, a ten, tracąc widownię, w końcu faktycznie zamilknął. Niestety nie na długo. Gdy okazało się, że przed wejściem do meczetu należy zdjąć obuwie, pan Henryk znowu stanowczo zaprotestował.

– Nie jestem islamistą, żeby tu na bosaka chodzić! – wrzeszczał, zwracając uwagę wielu osób, na nasze nieszczęście również obsługi. – Do swojego kościoła mogę w butach, a tu mam zdejmować?!

Kątem oka dostrzegłam, jak w naszym kierunku ruszyli funkcjonariusze niemal niewidocznej w normalnych warunkach ochrony. Choć miałam na sobie *abaję* i zasłoniłam włosy, było jasne, że to ja jestem opiekunką grupy. Na mojej szyi widniał identyfikator, który ułatwia przewodnikom i rezydentom turystycznym oprowadzającym wycieczki kontakty z obsługą obiektów.

– Czy jest jakiś problem? – spytał grzecznie jeden z mężczyzn.

– Już się mendi przywlekły! – rzucił na ich widok pan Henryk.

– Proszę się natychmiast zamknąć – warknęłam stanowczo, choć bez podnoszenia głosu, tak by nie utwierdzać ochroniarzy w przekonaniu, że ich interwencja jest konieczna. Zaraz potem zwróciłam się do nich: – Nie, nie, wszystko jest w porządku. Po prostu tłumaczyłam panujące w meczecie zasady i jeden z moich podopiecznych ich nie zrozumiał.

Uśmiechnęłam się i tym razem to wystarczyło, by zbyć mężczyzn. Pan Henryk jednak nie wyciągnął z tej sytuacji żadnych wniosków, a ja pomału traciłam cierpliwość. Był wyraźnie zdenerwowany faktem, że kobieta wydała mu polecenie, a do tego nadal odmawiał zdjęcia butów.

– Nie wejdzie pan w obuwie – rzuciłam kategorycznie.

– Nie będzie mi pani rozkazywać! – wrzasnął, po czym dodał moją ulubioną formułkę: – Chyba pani zapomina o tym, że jest tu pani za moje pieniądze!

Wtedy postanowiłam odpuścić. Poszłam za swoją grupą, zostawiając fukającego mężczyznę z tyłu. Jeśli miał zamiar się pograżyć, to na własne życzenie. Wiedziałam, że gdy wpakuje się w tarapaty, cały ciężar sprawy spadnie na mnie, ale na tym etapie było mi już wszystko jedno.

Nie minęły dwie minuty, a pan Henryk, wchodząc w obuwie do meczetu, został zatrzymany przez ochronę. A że zachowywał się agresywnie, mężczyźni odciągnęli go na bok i wezwali policję.

Akty agresji w Emiratach traktowane są niezwykle poważnie, ale podobne zachowanie w miejscu tak ważnym dla muzułmanów, a w szczególności dla Emiratczyków, jak Wielki Meczet to grzech, który trudno z siebie zmyć. Było jasne, że pan Henryk surowo za niego zapłaci. Test alkomatem wykazał, że mężczyzna jest pod wpływem alkoholu, co ostatecznie przesądziło sprawę.

Obserwująca jego aresztowanie pani Halina nie mogła powstrzymać się od płaczu.

– Co ja mam teraz zrobić? – łkała.

– Cóż, trzeba przyznać, że pan Henryk poważnie narozrabiał i łatwo go z tego wypłatać nie będzie – powiedziałam nie bez satysfakcji. Przygotowywałam się już psychicznie na przeprawę związaną z formalnościami. – Lepiej niech się pani nie przyznaje, że jest pani mężem. Może uda nam się załatwić wszystko bez wciągania pani w sprawę.

– Heniek nie jest moim mężem. On ma żonę w Polsce, ale mnie obiecał, że się z nią rozwiedzie. I obiecał mi, że mnie do Dubaju zabierze. To ja tu chciałam przyjechać. On to dla mnie zrobił, bo sam do Arabów nie chciał – wyznała pani Halinka, co tylko dodało pikanterii całej historii. – Nie wiem, co mam teraz zrobić, bo ja nie mam pieniędzy, on za wszystko płacił...

Było niemal pewne, że pan Henryk trafi do aresztu, a przy odrobinie szczęścia zostanie deportowany. W takich sytuacjach zawsze jest kłopot z pozostałymi członkami rodziny. Ale tu problem zdawał się rozwiązać sam.

– Spokojnie, pani Halinko, tym zajmiemy się później, przy nas pani nie zginie. Proszę dołączyć do reszty grupy i zwiedzić meczet, a ja spróbuję się dowiedzieć czegoś w sprawie pani... partnera.

Nie mogłam pozwolić, by przez jednego pana Henryka wszyscy zostali pozbawieni możliwości zwiedzenia atrakcji, za którą zapłacili, choć pozostałe punkty wycieczki stanęły pod poważnym znakiem zapytania.

Udałam się do obsługi meczetu, a ta skierowała mnie do szefa ochrony, który powiedział mi, gdzie został zabrany nasz delikwent.

– Już go nie wypuszczą – rzucił mężczyzna.

– Dokąd go zawieźli? – spytałam.

– W najlepszym wypadku wyślą go do deportacyjnego. Najlepiej pojechać na komisariat Al Rowdah, to niedaleko. Tam dowie się pani

szczegółów. Jak ma pani identyfikator, to powinni pani wszystko powiedzieć...

Postanowiłam poczekać do momentu, aż wszyscy moi podopieczni, łącznie z wciąż zapłakaną panią Halinką, skończą zwiedzanie, i nakreśliłam im zaistniałe okoliczności.

– Niestety będę musiała liczyć, że dadzą sobie państwo radę sami podczas wizyty w Louvre Abu Dhabi. Zostaniecie tam zawiezieni przez kierowcę, potrzebuję tylko ochotnika, który zajmie się biletami. Najlepiej kogoś, kto swobodnie porozumiewa się po angielsku.

Natychmiast zgłosił się młody chłopak, który byłby jednym z moich faworytów, gdybym sama miała szukać zastępstwa.

– Spotkamy się w miejscu, w którym zostawi was kierowca za cztery godziny. Jesteście fantastyczną grupą i wiem, że dacie sobie radę. Zresztą po muzeum i tak każdy chodziłby we własnym tempie. Bardzo państwa przepraszam, ale naprawdę muszę zażegnać ten nieoczekiwany kryzys.

Wszyscy byli pełni zrozumienia, w ich oczach widziałam nawet współczucie. Byłam o nich spokojna. Zdecydowanie bardziej bałam się o to, co stanie się teraz z panem Henrykiem i jakie konsekwencje przyniesie jego zachowanie.

Pan Henryk wbrew swojej własnej opinii o sobie nie należał do osób najbardziej inteligentnych. Miał zdecydowanie mniej rozumu niż szczęścia, bo policjanci w Abu Dhabi obeszli się z nim naprawdę łagodnie. Mimo że jego zachowanie bez wątpienia kwalifikowało się do sprawy karnej, która mogła go zatrzymać w Emiratach na długie miesiące, a nawet lata, skończyło się na zapłaceniu grzywny, a podejrzewam też, że i łapówki.

Ja osobiście na komisariacie musiałam złożyć zeznania i okazało się, że moja rola w tej sprawie się skończyła.

Dwa dni później pan Henryk został bezzwłocznie deportowany, nie pozwolono mu nawet zabrać swoich rzeczy. Jego bagaż zawiozła do Polski pani Halinka. Szczęśliwie znalazła w nim rolkę z gotówką przygotowaną na wakacyjne wydatki. Zrobiła z niej użytek i podjęła decyzję, że po powrocie do Polski deportuje pana Henryka po raz kolejny. Tym razem ze swojego życia.

ROZDZIAŁ 5

Khobez

Mimo że niemal co tydzień poznawałam nowych ludzi, niektórzy z nich stawali się mi bliscy bardziej, niż można było się spodziewać po tak krótkim czasie. Jak już wspominałam, od kiedy zaczęłam pracować jako rezydentka turystyczna, moje serce z reguły kradli starsi ludzie, którzy swoje podróże traktowali ze zdecydowanie większym namaszczeniem i przejęciem niż ci młodzi. W Dubaju spotykałam takich znacznie rzadziej niż w Egipcie, choć też się zdarzali. Wielu z nich pamiętam do dziś.

Chociażby emerytowanego nauczyciela plastyki, który po wygranej walce z rakiem sprzedał swój ogródek działkowy, a za zdobyte w ten sposób pieniądze przyjechał do Dubaju. Ciągłe rysował. Wszędzie nosił ze sobą blok i węgiel, a powstające w błyskawicznym tempie szkice naprawdę zachwycały. Podarował mi jeden z nich na pożegnanie – narysował mnie w drodze z lotniska. Nigdy nie robił wokół siebie szumu, słuchał uważnie, uśmiechał się szczerze. Niedługo po powrocie do Polski umarł z powodu nagłego nawrotu choroby. Gdy się o tym dowiedziałam, ciężko to przeżyłam. Zupełnie jakbym straciła kogoś bliskiego, choć widziałam go zaledwie kilka razy w życiu.

Pamiętam też panią Misię. Miała na imię Michalina, ale Misia pasowało do niej znacznie bardziej. Bynajmniej nie ze względu na posturę – była drobna i szczuplutka, ale cała reszta była w niej jak u misia, przytulna i ciepła. Pani Misia w swojej rodzinie i wśród znajomych słynęła jako wyborna kucharka, dokarmiała wszystkich, dogadzając im wymyślnymi przysmakami. Do Dubaju przyleciała z zamiarem poznania arabskiej kuchni, ale jak się jej nauczyć, gdy wszystko podają ci pod nos? Dla niej każdy posiłek był eksperymentem, podczas którego starała się rozpisać przepisy na najlepsze jej zdaniem potrawy, aż w końcu postanowiła wziąć

sprawy w swoje ręce. Do dziś nie wiem, jak to zrobiła, bo nie znała angielskiego ani tym bardziej arabskiego, ale udowodniła, że życzliwi ludzie zawsze są w stanie się porozumieć. Załatwiła sobie trochę na migi swego rodzaju staż w kuchni. Zaskoczeni zainteresowaniem turystki kucharze chętnie uczyli ją, jak przygotowywać ich potrawy. Dla niemal wszystkich gości hotelu byli do tej pory przezroczyści. Nikt nigdy z nimi nie rozmawiał, nikt się nimi nie interesował, jakby półmiski z jedzeniem zapełniały jakieś niewidoczne istoty. Pani Misia interesowała się bardzo. Z Dubaju wróciła z zeszytem pełnym przepisów; do dziś od czasu do czasu wysyła mi SMS-a z zaproszeniem na jakieś popisowe danie, a ja zawsze odpisuję, że kiedyś ją odwiedzę. I w końcu to zrobię.

Wiedziałam, że nie mogę się przywiązywać do ludzi i ich historii, ale pewnych cech po prostu nie da się zmienić. Czasami zazdrościłam innym rezydentom chłodnego profesjonalizmu, który pozwalał im na odhaczanie turnusów tydzień za tygodniem. Skupiali się na tym, żeby tych ludzi położyć spać, nakarmić, czasami wysłuchać, niekiedy im pomóc, ale najczęściej umiejętnie i z uśmiechem spuścić na drzewo. Ja miewałam momenty obojętności, ale z reguły angażowałam się bardziej, wręcz za bardzo.

Państwa Bochenków też nigdy nie zapomnę. Nie dość, że mieli bardzo charakterystyczne nazwisko, to jeszcze doskonale pasowało ono do ich fizjonomii, a jakby tego było mało – prowadzili sieć popularnych piekarni na Mazurach. Poza tym okazali się tak barwną parą, że o ich przygodach można by nakręcić całkiem emocjonujący serial. Byli jak ogień i woda (jedno i drugie potrzebne do wypieku chleba). Ona żywiołowa, energiczna i porywcza, on spokojny, opanowany i lekko wycofany. Od pierwszej chwili próbowali się ze mną zaprzyjaźnić, a ja wcale nie oponowałam.

– Musi nam pani wszystko opowiedzieć – rzuciła pani Bochenek tuż po przywitaniu.

Taka była moja rola, więc oczywiście nie miałam nic przeciwko temu, ale kobieta nie zamierzała czekać na moją agendę.

– Czy tu jest niebezpiecznie? – rzuciła z miejsca. – Bo pani wie, co mówią o tych Arabach...

Tego pytania nie mogłam zostawić bez odpowiedzi. Pada na każdej wycieczce, a ja zawsze staram się na nie odpowiadać najbardziej szczegółowo, jak to możliwe.

– Dubaj jest bardzo bezpiecznym miejscem, ale jak wszędzie na tej planecie mogą się tu zdarzyć niebezpieczne sytuacje. Ważne, by wiedzieć, czego się wystrzegać. Przede wszystkim warto się zapoznać z podstawami obowiązującego tu prawa, zwłaszcza z zakazami. Nie ma powodów do strachu, ale trzeba respektować zasady. W Polsce, łamiąc prawo, też można wpaść w tarapaty – wyjaśniłam, tak jak wiele razy wcześniej i wiele razy później.

I nadal w to wierzę!

Choć moja historia dowodzi, że w kraju rządzonym autorytarnie – a do takich zdecydowanie należą Zjednoczone Emiraty Arabskie – jednostka czasami nie jest w stanie wygrać z aparatem władzy, nawet jeśli nie popełniła żadnego przestępstwa, wciąż uważam, że nie można skreślać tego miejsca. Dubaj jest spokojny i bezpieczny, ale to tygiel kulturowy i kuszący los, można trafić na kogoś, kto nas skrzywdzi. Nie zdarza się to często, wręcz znacznie rzadziej niż tam, gdzie z założenia czujemy się bezpiecznie. Z pewnością jest zdecydowanie bezpieczniejszy niż Rzym, Paryż, Londyn czy Barcelona, choć w tych miastach turyści pewnie nie pytają przewodników i rezydentów o to, czy mogą sami wyjść na spacer...

Pani Bochenek jednak nie miała zamiaru zatrzymać się w swoich dociekaniach. Już po chwili, nie zważając na siedzącego obok męża, wypaliła z grubej rury:

– A ci Arabowie to faktycznie są tacy dobrzy w łóżku?

To pytanie rozbawiło cały autokar, ale i wzbudziło wielkie zainteresowanie, zupełnie jakby seksturystyka była głównym celem tej podróży.

Nie wiedziałam, jak na nie odpowiedzieć. Nie miałam żadnego doświadczenia w tej kwestii. Owszem, przez lata spędzone w krajach arabskich poznałam wielu przystojnych, uroczych i bardzo uprzejmych mężczyzn, ale z żadnym z nich nie łączyło mnie nic poza znajomością, zaledwie w kilku przypadkach przyjaźnią.

– Nie mam pojęcia, droga pani – odparłam więc, lekko się rumieniąc. – Ale jak pani wie, każdy stereotyp ma w sobie sporo przesady. Choć jednocześnie w każdej plotce tkwi ziarnko prawdy.

Uff, wybrnęłam...

Tak mi się przynajmniej wydawało, ale pani Bochenek nie miała zamiaru odpuścić tematu. W jej pytaniu krył się bowiem sekretny plan, z którym

przyleciała do Dubaju. Poczekała na moment, gdy będzie mogła zwierzyć mi się bez większej widowni, i wróciła do krępujących zagadnień.

– Bo wie pani, ja to jestem w takim wieku, że postanowiłam wreszcie zacząć spełniać marzenia. Dzieci dorosłe, każde na swoim, ja jeszcze jakoś się trzymam, to trzeba się skupić na sobie, prawda? – zagadnęła mnie następnego dnia, gdy spotkałyśmy się w hotelu, w którym zatrzymała się z mężem. Zdecydowanie najbardziej luksusowym z oferowanych przez nasze biuro, położonym na The Palm Jumeirah, słynnej sztucznej wyspie w kształcie palmy.

– Bardzo to popieram – odparłam. – Mamy jedno życie i trzeba je przeżyć pełną piersią.

– No właśnie, wiedziałam, że mnie pani zrozumie – rzuciła z uśmiechem. – À propos piersi, to zrobiłam rok temu i jestem zachwycona! – Pani Bochenek wypięła z dumą swój kształtny biust, a ja go pochwaliłam, bo wyraźnie tego oczekiwała. – Sama pani widzi, to się nie może zmarnować... Dlatego pomyślałam, że może pani mogłaby mi pomóc...

– Oczywiście, od tego tu jestem – zapewniłam, choć z wahaniem, bo nie wiedziałam, jaki związek ma moja rola tutaj z tym chirurgicznym dziełem sztuki.

Turystka szybko rozwiązała moje wątpliwości.

– Ja zawsze marzyłam o płomiennym romansie z Arabem. Zna pani może jakiegoś arabskiego amanta... – wystrzeliła jak z armaty.

Czy ona przypadkiem nie przyjechała tutaj z mężem? – pomyślałam zdumiona i natychmiast wykorzystałam ten argument.

– A nie boi się pani, że dowie się o tym pani mąż?

– Bardzo bym się zdziwiła, gdyby się dowiedział. On niczego nie zauważa. Nie zauważył nawet, że zrobiłam sobie tę operację! Pani sobie wyobraża? Kobieta robi nowe cycki, a po mężu to spływa. Jak dochodziłam do siebie, nie raczył choćby spytać, co mi jest...

Nagle zrobiło mi się jej trochę żal. Owszem, być może chciała zrealizować swoje fantazje o arabskim kochanku, ale zdecydowanie bardziej wyglądało mi to na krzyk rozpaczyci kobiety, która stała się przezroczysta dla swojego męża.

– To przykre, ale przecież przylecieli tu państwo razem. Może więc nie jest aż tak źle. Może mąż po prostu nie wie, jak okazać pani zainteresowanie. Zauważyłam, że jest dość skryty.

– Zawsze był nieśmiały. Niech mi pani wierzy, nie wiem, czy mielibyśmy choć jedno dziecko, gdyby nie moja inicjatywa. A mamy trójkę...

– No widzi pani, chyba jednak musi panią kochać...

– Kiedyś czułam, że mnie kocha, ale już dawno wszystko zniknęło – powiedziała pani Bochenek, sięgając po drinka. – To co, pomoże mi pani znaleźć jakiegoś gorącego Araba? – Nie dawała za wygraną.

– Naprawdę nie wiem, jak miałabym to zrobić – przyznałam szczerze. – Ale jest pani bardzo atrakcyjną kobietą. Jestem przekonana, że zwróci pani uwagę niejednego mężczyzny. Z tego, co wiem, oni tutaj uwielbiają blondynki z Polski.

– A pani jak się uchowała? – spytała, jak zawsze bezpośrednio. – Pani też jest bardzo atrakcyjna.

– Dziękuję... – Speszyłam się. – Jak dotąd po prostu nie pojawił się nikt, kto byłby w stanie podbić moje serce.

Wypowiedziałam te słowa w momencie, w którym faktycznie coraz częściej docierało do mnie, że doskwiera mi samotność. Być może przez podejście mojej mamy, która wartość kobiety wyceniała wyłącznie w obiadach ugotowanych mężowi, podświadomie unikałam tego tematu. Nie wiedziałam jednak, że los szykuje mi w tej kwestii niespodziankę, zwłaszcza że w recepcji hotelu, w którym rozmawiałyśmy z panią Bochenek, pracował pewien zabójczo przystojny i bardzo miły Egipcjanin. Lubił ze mną rozmawiać, a i ja nie musiałam się zmuszać do tych pogawędek.

– Na pewno ktoś się znajdzie – kontynuowała pani Bochenek. – Musi pani tylko otworzyć się na świat. A jak będzie pani potrzebowała pomocy chirurga, chętnie polecę swojego. To cudotwórca! – Nigdy nie pomyślałam o tym, że moje ciało wymaga interwencji skalpela, choć miałam o połowę mniejszy biust niż ona. – Dobrze, posłucham pani i spróbuję sama kogoś upolować. Ale w razie czego się do pani zgłoszę. – Puściła oczko.

Odetchnęłam z ulgą, bo przez chwilę byłam lekko zaniepokojona, że dotychczasową listę najdziwniejszych prośb od turystów będę musiała rozszerzyć o sutenerstwo, a co najmniej o swatanie (choć nie wiem, czy może ono dotyczyć mężatek). Ten serial na tym się jednak nie skończył.

Niedługo po spotkaniu z panią Bochenek w swoim telefonie odkryłam wiadomość od jej męża. Pan Bochenek pytał, czy mogłabym się z nim spotkać, tylko tak, żeby nie dowiedziała się o tym jego połowica.

Jeśli poprosi mnie o znalezienie mu kochanki, chyba nie wytrzymam, pomyślałam, trochę już skonfundowana. Ale musiałam zachować się profesjonalnie. Nie mogłam przecież odmówić rozmowy ze swoim podopiecznym.

Spotkaliśmy się następnego dnia zaraz po śniadaniu. Zaprosiłam go do sali konferencyjnej udostępnianej przez hotel biurom podróży. Nie ukrywam, byłam lekko zaniepokojona tym, co mnie czeka. Pan Bochenek, kiedy się pojawił, chyba czuł się podobnie.

– Przepraszam, że zawracam pani głowę, ale chodzi o moją żonę...

Wiedziałam! – zakrzyknęłam w duchu. Ja naprawdę nie chcę się w to mieszać!

– Czy coś się stało? – spytałam, udając zupełnie niewtajemniczoną.

– Nie. To znaczy... Ja wiem, że ona nie jest ze mną szczęśliwa...

Ja też to wiem.

Pytanie, co jeszcze wie pan Bochenek. Czyżby usłyszał o seksualnych planach swojej żony? Chce mnie odwieść od pomagania jej? A może zwerbować mnie na szpiega, by dostać do ręki niezbite dowody zdrady i przygotować się do wygrania sprawy rozwodowej?

– Ale przecież przyjechali państwo na wspólne wakacje – powtórzyłam argument z poprzedniego dnia. – Musicie mieć dobrą relację.

– Nawet za bardzo ze sobą nie rozmawiamy. Ona zawsze była taka kontaktowa, a ja to ciszę wolę...

On zaraz mi się tu rozpłacze!

– Jak mogę panu pomóc? – spytałam, bo przecież nie mogłam do tego dopuścić.

– Bo widzi pani, my zaraz po powrocie do Polski mamy rocznicę. Trzydziestą. I ja tak specjalnie tę wycieczkę zarezerwowałam. Chciałem zrobić dla niej coś specjalnego, co zapamięta na zawsze. No i może zrozumie, że kocham ją najbardziej na świecie, tylko nie zawsze umiem to pokazać.

Z mojego serca nie spadł jeden kamień – zleciała ich cała lawina. Byłam szczerze wzruszona, ale postanowiłam nie przerywać panu Bochenkowi. Zdawałam sobie sprawę, że niezbyt często zdobywa się na takie wyznania.

– Pani wie... tylko proszę tego żonie nie mówić, że ona nawet poszła zoperować sobie biust, żeby mi się bardziej podobać, a ja, idiota, tego nie zauważyłem. Wypomniała mi to później z płaczem, ale co ja poradzę, że

taki jestem... Nigdy nie powiem tego, co wypada. Nie zauważę tego, co widać gołym okiem... – Zamilkł na chwilę, po czym wrócił do sedna: – To co, pomoże mi pani? Ja za wszystko zapłacę, ile będzie trzeba...

– Oczywiście, że panu pomogę. A czy ma pan już jakiś pomysł na tę niespodziankę?

– No właśnie nie. Sama pani widzi, taki ze mnie mąż, że nawet nie wie, jak sprawić radość własnej żonie. Myślałem, żeby zorganizować jakąś atrakcję. Ona bardzo interesuje się kulturą arabską, czyta książki o tych szejkach, ogląda seriale, ale nie mam pojęcia, co jeszcze poza zabraniem jej do Dubaju mógłbym zrobić.

– Dobrze, coś wymyślimy – obiecałam. – Pomyślę i dam panu znać, jakie mamy możliwości. Wyślę wiadomość na pański numer, tylko proszę sobie mnie zapisać jakoś inaczej niż „rezydentka Dubaj”. Zgadłam, że tak właśnie mnie pan zapisał?

– „Kasia, rezydentka Dubaj” – poprawił mnie od razu.

Zaśmiałam się szczerze.

– Blisko, za blisko, żeby obyło się bez podejrzeń, jeśli żona zobaczy wiadomość.

– Ma pani rację, zaraz to zmienię. Czuję się, jakbym robił coś zakazanego, jakbym miał ją zdradzić... – powiedział pan Bochenek z wypiekami na twarzy. – Ja nigdy takich ciągot nie miałem. Ona jest dla mnie najpiękniejszą kobietą, tylko ja jakiś taki głupi jestem i za rzadko jej o tym mówię. Czasami w nocy się obudzę i sobie przypomnę, że muszę jej to wyznać, ale ona wtedy śpi, to przecież nie będę jej budził. A potem rano człowiek znów pędzi i zapomina...

Było w jego zwierzeniach coś uroczego. Wyraźnie nie był typem mężczyzny skłonnego do zdrady, a ja zaczynałam nabierać podejrzeń, że jego żona tak naprawdę też wcale jej nie pragnie. Bo czy wtedy poleciałaby na wycieczkę z mężem? Była wystarczająco bogata, żeby wybrać się w samotną podróż i zrobić to bez świadków. Wszystko wskazywało na to, że potencjalna zdrada ma na celu coś zupełnie innego, niż mogłoby się wydawać.

Reszta dnia upłynęła mi na kursowaniu pomiędzy hotelami i załatwianiu zaległych spraw, ale cały czas się zastanawiałam, co mogłabym zorganizować dla państwa Bochenków, by w niezapomniany sposób uczcili

swoją rocznicę, a może nawet wskrzesili żar, który dawno już między nimi wygasł.

Od czasu do czasu podsyłałam panu Bochenkowi propozycje. Początkowo głównie te standardowe – od kolacji w Burj Khalifa poprzez lot nad Dubajem po skoki ze spadochronem, ale stateczny mężczyzna raczej nie był amatorem tak wyszukanych wrażeń. Pragnął zrobić wrażenie na swojej żonie, ale nie chciał, by przyćmiły je oklepane turystyczne atrakcje. Sporo było w nim strachu i niepewności, bo kompletnie nie wiedział, co tak naprawdę myśli o nim żona i czy w ich małżeństwie jest jeszcze przestrzeń na spontaniczność.

Wieczorem pani Bochenek napisała do mnie z pytaniem, czy mam dla niej jakiegoś kandydata, bo jest już pewna, że chce to zrobić.

– Nie mam skrupułów. Po tym, co dziś widziałam, mam zamiar przeżyć płomienny romans, a po powrocie do kraju natychmiast wystąpię o rozwód – poskarżyła mi się roztrzęsiona, gdy spotkałyśmy się ponownie.

Przyjechałam do hotelu wprawdzie nie dla niej, chciałam porozmawiać z recepcjonistami o pomysłach na nietuzinkową rocznicową celebrację, ale żeby dramatyczna sytuacja nie eskalowała, musiałam za wszelką cenę uspokoić zdesperowaną żonę. Użyczenie pani Bochenek ucha, by mogła się w nie wygadać, zdecydowanie w tym pomagało.

– Ten gnojek mnie zdradza! – wypaliła. – Cały dzień pisał dziś z jakąś Leilą! Chciałam poderwać Araba, ale nie sądziłam, że on przygrucha sobie jakąś Arabkę. Myślałam, że one takie nie są... że nie umawiają się z obcymi mężczyznami!

Dobrze wiedziałam, kim jest Leila. Nie sądziłam jednak, że pani Bochenek tak szybko odkryje, iż jej mąż prowadzi tajną konwersację. Musiałam się upewnić, że nie zna żadnych jej szczegółów poza imieniem swojej „konkurentki”.

– A czy udało się pani przeczytać te wiadomości?

– No właśnie nie! Kryje się z tym gnojek całkiem dobrze, ale ja już swoje wiem. Zdradzę go, choćbym miała sama wyruszyć na poszukiwania amanta!

Kobieta była zdeterminowana do tego stopnia, że zaczęłam się o nią bać. Musiałam za wszelką cenę powstrzymać ją od zrobienia jakiegoś głupstwa, bo takie otwarte proponowanie mężczyznom arabskiego pochodzenia romansu mogłoby się skończyć randką ze strażnikiem więziennym. Ale ta

rozmowa podsunęła mi pewien pomysł, który uznałam za bardzo oryginalny sposób na uczczenie ich rocznicy i naprawienie stosunków między małżonkami. Przy odrobinie szczęścia uda mi się upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Mam dla pani pewnego kandydata, ale to bardzo tajemnicza postać. Kiedy pokazałam mu pani zdjęcia, był zachwycony. Ogromnie chce panią poznać – powiedziałam konspiracyjnie jej jeszcze tego samego wieczoru.

Pani Bochenek była tak podekscytowana, że nie zapytała nawet, skąd niby miałam jej zdjęcia. Chciała się za to dowiedzieć jak najwięcej o zainteresowanym nią arabskim kochanku.

– Czy jest szejkiem?

– To prawdziwy arystokrata.

– Ojej! – Dosłownie piszcziała z ekscytacji. – A jak się nazywa? No proszę mnie nie trzymać w takiej niepewności!

– Na razie nie mogę powiedzieć nic więcej. Musi się pani uzbroić w cierpliwość. Jutro przedstawię pani szczegóły.

– Bardzo się cieszę! Choć muszę przyznać, że to spory stres. Nigdy nie sądziłam, że będę skłonna do zdrady, ale mój mąż sam jest sobie winny. Niech się umawia z tą swoją Leilą... Zobaczymy, kto na tym więcej straci!

Była wyraźnie zazdrosna. To dawało mi nadzieję, że mój niecny plan może się powieść. Teraz musiałam tylko przekonać do niego pana Bochenka. Spodziewałam się, że nie będzie łatwo, ale ku mojemu zaskoczeniu mężczyzna od razu się zgodził. Miał mnóstwo pytań, jednak był gotowy podjąć wyzwanie.

Następnego dnia dograłam szczegóły, a dwa dni później prowadzona przez pracującego w hotelu Ziada (tego ślicznego Egipcjanina) limuzyna odebrała elegancko ubraną kobietę przed wejścia. Kierowca miał ją zabrać do Mall of the Emirates, a tam osobiście odprowadzić do butik Chanel – ulubionej marki pani Bochenek.

– Mój pracodawca, szejek Khobez, chciałby pani podarować prezent. Może pani sobie go sama wybrać. Szejek Khobez wie, że bardzo lubi pani Chanel – zapowiedział Ziad z prawdziwym namaszczeniem.

Pani Bochenek była zachwycona, choć nie kryła zaskoczenia.

– Ale skąd szejek wie o tym, że tak lubię Chanel?

– Szejkowie wiedzą wszystko – odpowiedział Ziad bez chwili namysłu, jakby nie pierwszy raz brał udział w takiej intrydze. – Poza tym nietrudno

się tego domyślić. Kobieta z taką klasą na pewno wybiera to, co najlepsze.

Bochenkowa pławiła się w komplementach. Była tak szczęśliwa, że niemal unosiła się nad ziemią.

– Czy szejek dołączy do nas podczas zakupów?

– Będzie czekał na panią w hotelu Kempinski.

– W hotelu? Tak od razu? A czy to na pewno bezpieczne? – zaniepokoiła się.

– Proszę się nie obawiać. Szejek Khobez to bardzo porządny człowiek, a spotkanie będzie miało miejsce w restauracji.

Odetchnęła z ulgą, ale i zmieszała się nieco.

– Przepraszam... Nie chciałam niczego sugerować.

– Nie ma sprawy. Wiem, co mówią o szejkach, ale zapewniam panią, że szejek Khobez nie jest kobieciarzem. Jest koneserem kobiecego piękna i potrafi je docenić.

Dotarli do butiku. Wybór torebki nie był dla pani Bochenek trudny. Od dawna planowała, że właśnie ten model kupi sobie przy najbliższej okazji, ale nigdy przez myśl by jej nie przeszło, że będzie to prezent od samego szejka.

Nie mogła się doczekać chwili, gdy go pozna, a jednak w drodze do hotelu zaczęło ją dręczyć sumienie. Była mężatką. Ostatnie trzydzieści lat spędziła z mężczyzną, który nawet jeśli nie spełniał wszystkich jej pragnień, to na pewno ją kochał. Ona jego też.

Ale teraz ma tę swoją Leilę, a ja będę miała szejka, pomyślała, otrząsając się z wyrzutów.

*Maître d'*¹ powitał ją zaraz przy wejściu do restauracji Olea, a Ziad poinformował go w języku arabskim, czym gościem jest pani Bochenek. Wtedy poprowadzono ją do stolika w głębi sali.

– Szejek Khobez wkrótce do pani dołączy. Obsługa restauracji przyjmie panią po królewsku – powiedział chłopak i oddalił się, zanim kobieta zdążyła odpowiedzieć.

Była oszołomiona i coraz bardziej zestresowana. Umówiła się na randkę z najprawdziwszym szejkiem! Po tym spotkaniu jej życie mogło się diametralnie zmienić. Nie była pewna, czy jest na tę zmianę gotowa, ale bardzo jej chciała.

Obserwowała każdego, kto wchodził do restauracji. Gdyby czekała na jakiegokolwiek innego mężczyznę, byłaby już zła. Gdyby czekała na

swojego męża, prawdopodobnie byłaby wściekła, choć on akurat nigdy się nie spóźniał i zawsze na nią czekał. Świat arystokracji rządzi się jednak swoimi prawami.

Niespełna pół godziny później w drzwiach pojawił się mężczyzna w *dishdashy*, z nisko osuniętą *ghutrą* i dużymi ciemnymi okularami na twarzy. Pani Bochenek poczuła nagłe uderzenie gorąca. Szejk szedł dwa kroki za prowadzącym go do jej stolika *maître d'*.

Napięcie rosło. Kobieta wysłuchiwała prezentacji dokonanej przez gospodarza restauracji, który jednocześnie odsunął krzesło, by ułatwić szejkowi dołączenie do niej przy stole. Spuściła głowę, chcąc ukryć zdenerwowanie, i nie podniosła jej aż do chwili, gdy mężczyzna się odezwał.

– Wyglądasz pięknie... Zawsze wyglądasz pięknie, ale dziś wprost olśniewasz – powiedział po polsku, choć pani Bochenek wyraźnie tego szczegółu nie zauważyła, bo natychmiast odpowiedziała na komplement po angielsku:

– *Thank you, your highness!*²

Przygotowywała tę formułkę na podobną okoliczność i teraz wypadła ona z jej ust niemal automatycznie.

Książe zaczął się śmiać. Zdjął okulary, a zaraz potem zsunął z głowy *ghutrę*.

Dopiero wtedy do pani Bochenek zaczęło docierać, że w rolę szejka Khobeza wcielił się nie kto inny jak jej własny mąż. Była oszołomiona do tego stopnia, że nawet patrząc na niego, nie od razu zrozumiała, co tak naprawdę się wydarzyło.

– To ty?! – rzuciła w końcu, wciąż nie dowierzając.

– No oczywiście, kochanie. Jesteś zawiedziona? – odpowiedział pan Bochenek ze śmiechem.

– Raczej zaskoczona... – odpowiedziała z lekkim zażenowaniem. W końcu mąż przyłapał ją na planowanej zdradzie z szejkiem.

On jednak doskonale wiedział, jak się w tej sytuacji zachować.

– Posłuchaj mnie, kochanie... Nie mam ci za złe, że chciałaś umówić się z kimś, kto zwróciłby na ciebie uwagę, na jaką zasługujesz...

– No raczej nie powinieneś mieć, skoro sam romansowałeś! – rzuciła, nagle odzyskując rezon. – Z Leilą! – zaakcentowała oburzona.

Pan Bochenek znowu się zaśmiał.

– Nie ma żadnej Leili. Korespondowałem z Kasią, naszą rezydentką. To ona pomogła mi przygotować całą tę akcję. Chciałem cię jakoś zaskoczyć. Zapisałem jej numer pod hasłem „Leila”, żebyś się niczego nie domyśliła. Jakbyś zobaczyła, że pisze do mnie rezydentka, na pewno spytałabyś, o co chodzi. I co ja bym wtedy powiedział? Przecież wiesz, że jestem beznadziejny w wymyślaniu wymówek. Zwłaszcza na poczekaniu...

– A ja w tym samym czasie opowiadałam Kasi o tym, że chcę przeżyć romans z szejkiem... Ależ jestem głupia!

– Nie jesteś... To wszystko moja wina. Miałaś prawo się tak czuć. Dzięki Kasi robimy teraz coś, czego nie robiliśmy od dawna. Rozmawiamy o nas. Do tej pory wyjeżdżaliśmy razem tylko po to, żeby nie dawać ludziom powodów do plotek. Wszędzie tak naprawdę byliśmy osobno. Ale ja chcę to zmienić. Kiedy usłyszałem, że marzysz o innym mężczyźnie...

– Nie marzę... Marzę o tym, żebyś ty był inny – powiedziała szeptem.

– Będę. Obiecuję ci to. Będę! To będzie mój prezent dla ciebie na trzydziestą rocznicę. To były wspaniałe lata i chcę kolejnych trzydziestu, a może uda się więcej. Jesteś kobietą mojego życia i nie chcę cię stracić.

To mówiąc, pan Bochenek podszedł do z trudem powstrzymującej łzy żony i pocałował ją czule. Odwzajemniła pocałunek, ale szybko się zreflektowała.

– Nie możemy... Nie możemy tutaj. Pamiętasz, co mówili o okazywaniu sobie uczuć w miejscach publicznych.

– To niech nas aresztują. Jesteś moją żoną i kocham cię nad życie. Mogę iść za to nawet do więzienia! – rzucił z uśmiechem rozanielony mężczyzna.

– Wolałabym, żebyś został na wolności.

– Jakby mnie zamknęli, mogłabyś poszukać sobie jakiegoś arabskiego zastępstwa.

– Po pierwsze mnie wtedy też by zamknęli, a po drugie szukałam zastępstwa, bo mój mąż się mną nie interesował. Ale coś mi się zdaje, że go tu naprawili – powiedziała pieszczotliwie.

– Kasia nas naprawiła. Ta dziewczyna naprawdę ma powołanie do swojej pracy – powiedział pan Bochenek.

– Wiesz, wątpię, żeby wcześniej trafiła na podobny przypadek. Ale faktycznie sprawiła, że odzyskaliśmy siebie. Szejk Khobez! Już zawsze będę cię tak nazywała.

– W sumie niewielka różnica, bo to podobno znaczy „bochenek chleba”, tylko tego arabskiego. Tak mi powiedział Ziad. Sam też mocno się zaangażował w tę sprawę, ale on to chyba dla tej Kasi robi, wiesz? Zwierzył mi się, że wpadła mu w oko.

– A ona o tym wie? – spytała pani Bochenek.

– Podobno nie reaguje na jego zaloty.

– To może teraz my powinniśmy się pobawić w swatów?

Nie miałam pojęcia, że ten drobny podstęp przyniesie takie efekty. Obawiałam się nawet, że wszystko skończy się karczemną awanturą – i pewnie tak by było, gdyby pani Bochenek faktycznie chciała zdradzić męża z arabskim kochankiem. Tak naprawdę jednak, zgodnie z moimi przypuszczeniami, było to desperackie wołanie niezauważonej, samotnej w małżeństwie kobiety, która powoli przestawała o nie walczyć. Na szczęście jej mąż nie zamierzał przestać.

Sprawa z Bochenkami miała też ogromny wpływ na moją przyszłość, bo faktycznie zabrali się do swatania mnie i Ziada. Nigdy bym nie pomyślała, że ten Egipcjanin żywi do mnie głębsze uczucia. Zawsze bardzo mi się podobał i zawsze był dla mnie bardzo miły, ale wszyscy mężczyźni w hotelach tacy byli. I choć on zdawał się gotowy do wszelkich poświęceń, byle tylko spełnić moje potrzeby, nie sądziłam, że kryje się za tym coś więcej. Na moje szczęście kryło się naprawdę wiele.

Przed wyjazdem państwa Bochenków musiałam im obiecać, że dam się zaprosić Ziadowi na randkę. Ta wyraźnie była już wcześniej umówiona, bo gdy tylko złożyłam tę obietnicę, zostałam na nią zaproszona. Od drugiego roku studiów nie byłam na randce. Nie byłam nawet pewna, czy jeszcze wiem, jak się na niej zachować, ale Ziad sprawił, że moje obawy okazały się kompletnie bezzasadne. Zwłaszcza że nie można mu było odmówić oryginalności.

Na hasło „randka w Dubaju” wyobraźnia natychmiast podsuwa zdjęcia tarasów ekskluzywnych restauracji, wykwintnych potraw, szampana w wiaderku z lodem... W mieście, w którym na zrobienie wrażenia na partnerce mężczyźni są gotowi wydać krocie, naprawdę trudno osiągnąć efekt wow. Udawanie szejka nie wchodziło już w grę, zwłaszcza że w moim przypadku raczej nie przyniosłoby to skutku. Ziad wpadł na znacznie lepszy

pomysł i w perfekcyjny sposób skradł moje serce, od razu rezerwując je na swoją wyłączność.

Co jakiś czas odzywała się we mnie tęsknota za Polską. Oczywiście z powodów wizowych nadal latałam do niej regularnie cztery razy w roku, ale pomiędzy wizytami miewałam gorsze chwile, zwłaszcza gdy wysyłałam do kraju kolejne grupy podróżnych po wakacjach.

Ziad trafił ze swoją randką właśnie na taki moment – i była ona doskonałą terapią. Zabrał mnie do miejsca zwanego Festival City, trochę na wyrost, bo w rzeczywistości to mało festiwalowa sceneria. Mieszkańcom Dubaju z reguły kojarzy się ono z Ikeą, która ma tam swój sklep. Większość ludzi jeździ tam oczywiście po meble i drobiazgi do domu, jak wszędzie, ale w Dubaju Ikea spełnia jeszcze jedną, bardzo sentymentalną funkcję.

Wielu ekspatów tęskniących za domem przyjeżdża tam po to, by poczuć się jak u siebie. Ikea wszędzie jest taka sama. Poza drobnymi szczegółami jej układ i atmosfera są identyczne w Warszawie, Nowym Jorku, Londynie czy właśnie w Dubaju. Przechadzając się wśród aranżacji wnętrz, kupując świeczki i pakując je do kultowej niebieskiej torby, można w chwilach dużej tęsknoty przenieść się do miejsc oddalonych nawet o tysiące kilometrów.

Tak, to właśnie do Ikei Ziad zabrał mnie na naszą pierwszą randkę.

– Zaskoczona? – spytał, gdy stało się już jasne, gdzie ją spędzimy.

– Trochę – przyznałam.

– Przepraszam, że to nie jest kolacja przy świecach, ale chciałem cię zabrać do miejsca, w którym lubię marzyć. Czasami, kiedy jest mi źle, przyjeżdżam tu i chodzę pomiędzy tymi zaaranżowanymi pokojami, wyobrażając sobie siebie z rodziną.

Dla niego Ikea nie była miejscem, które leczy tęsknotę za domem pozostawionym w ojczystym kraju – pozwalała mu snuć wizje przyszłości, w której chciał zbudować dom dla swojej jeszcze nieistniejącej rodziny. To wyznanie szczerze mnie rozczuliło. Ale kolejne poruszyło mnie do głębi.

– Ostatnio w tych marzeniach ciągle widzę ciebie...

Takie słowa na pierwszej randce mogłyby wystraszyć niejedną dziewczynę. Mnie na pewno, ale to była zupełnie inna sytuacja. Zarówno ja, jak i Ziad codziennie zagłuszaliśmy tęsknotę, udając, że niczego nam nie brakuje. Wizja posiadania prawdziwego domu była niezwykle kusząca,

nawet jeśli najpierw musielibyśmy go stworzyć. Dałam się jej ponieść już tego pierwszego, wspólnie spędzonego dnia.

Ziad miał gotową narrację dla każdego pokoju w Ikei. Opowiadał w nich, co wydarzyło się w naszym życiu tego dnia. Tu pakowaliśmy się na wakacje. Tu leżeliśmy, czytając książki, aż oboje zasnęliśmy przytuleni. Tu gotujemy spaghetti, a tam, w przepastnej szafie, wybieram sukienkę na naszą rocznicową randkę.

Podobały mi się te wizje. Ziad też mi się podobał. Szczupły, ale ładnie zbudowany, wyższy ode mnie o głowę. Jego śniada cera była idealna. Pasowała do męskich, ale wciąż łagodnych rysów. Szeroki uśmiech prezentował równe białe zęby, a wszystko to skrywało naprawdę ciekawą duszę.

Kilka dni później zdecydowaliśmy, że spróbujemy zbudować wspólną przyszłość. Choć Ziad był Egipcjaninem i wyznawcą islamu, nie miał nic przeciwko randkowaniu w zachodnim stylu. Żadnych rozmów o ślubie, żadnej presji... Żyliśmy chwilą w nadziei, że mamy ich przed sobą jeszcze wiele i że wszystkie będą szczęśliwe. Ułuda, której daje się ponieść wiele osób odkrywających miłość.

¹ Skrót od *maître d'hôtel* – główny kelner w restauracji, często zarządzający salą, lub kierownik hotelu.

² Z ang. Dziękuję, Wasza Wysokość!
[zapraszam na... \(P\)](#)

CZEŚĆ II

ROZDZIAŁ 6

Marhaba

Moje życie nabrało zupełnie nowych barw. Przez kilka lat myślałam, że pracą jestem w stanie zastąpić potrzebę bliskości. Panicznie się bałam, że jeśli w moim życiu pojawi się ktoś ważny, zacznę realizować scenariusz nakreślony przez moją mamę i zaprzepaszczę wszystko, o czym marzę. Widziałam, jak to było w przypadku mojej siostry, i naprawdę bardzo nie chciałam pójść tą drogą. To było jak niezdrowa obsesja. Uwierzyłam, że realizacja marzeń zawodowych wyklucza szczęście w miłości i myślenie o rodzinie.

Moja siostra jeszcze w czasach liceum miała ogromny apetyt na życie, ale potem nagle wszystko się zmieniło. Zamknęła jeden rozdział i rozpoczęła drugi jako zupełnie inna osoba. Gdy w jej życiu pojawiły się dzieci, stały się one dla niej jedynym tematem do rozmów, jedynym powodem do istnienia, sensem wszystkiego. Dla niej ciąża była jedynym momentem, w którym jej dzieci zależały od niej – potem już tylko ona zależała od nich.

Nie wykluczałam macierzyństwa, ale nie chciałam być jedną z tych kobiet, które z chwilą porodu zapominają, że im też należy się coś od życia. Chociaż niektórym wystarczy już sam związek, by na dobre zatraciły się w potrzebach swojego partnera.

Z Ziadem było zupełnie inaczej. Uczciwie, równo. Nie miał cech toksycznego macho, nie próbował ustawiać nas w jakichś rolach. Nie rozmawialiśmy o małżeństwie ani o dzieciach. Było nam dobrze ze sobą i żadne nie chciało tego zmieniać. Była tylko jedna rzecz, której Ziadowi bardzo brakowało. Czasu spędzonego ze mną.

Nasze służbowe grafiki często wchodziły ze sobą w konflikt i choć spotykaliśmy się codziennie, większość z tych spotkań była służbowa i jedynie w przelocie. Wpadałam do hotelu na dyżur rezydencki, spotkanie

organizacyjne albo żeby rozwiązać jakiś problem, ale on często był wtedy zajęty. Czasami udawało się nam ukraść chwilę, by spędzić wspólnie przerwę, ale to wszystko było za mało. Przynajmniej dla ludzi, którzy właśnie odkryli swoje uczucia.

W przypadku Ziada nastąpiło to nieco wcześniej. Ja byłam na nie zamknięta jeszcze długo, ale gdy w końcu do mnie dotarły, zakochałam się po same uszy.

– Powinnaś zmienić pracę – powiedział któregoś dnia, kompletnie mnie zaskakując.

To był pierwszy raz, kiedy oznajmił, że coś powinnam zrobić. Przestraszyłam się, że oto wszystkie przestrogi mojej mamy na temat Arabów zaczynają się materializować. Jej słowa wróciły do mnie jak bumerang, gdy Ziad wyskoczył ze swoim postulatem. Być może zareagowałam z przesadną wrażliwością, bo poza tym, że bardzo nie chciałam, by moja mama miała rację, sprawa dotyczyła pracy, którą wciąż bardzo kochałam.

– Nie mam zamiaru zmieniać pracy. To nie jest rzecz, o której możesz decydować! – wyskoczyłam na niego w złości, która zaskoczyła nawet mnie samą.

– *Habibti*, nie denerwuj się. Nie mam nic złego na myśli. Chciałbym po prostu, żebyś zmieniła pracę na taką, która pozwoliłaby nam spędzać więcej czasu razem. Nie musisz rezygnować z turystyki – powiedział łagodnie i natychmiast przegonił ciemne chmury. – W naszym hotelu jest wakat specjalisty od obsługi gości VIP z Europy. Myślę, że powinnaś aplikować.

– Co to za praca? – spytałam zaintrygowana.

– W zasadzie robiłabyś to samo co teraz, tyle że opiekowałabyś się wyłącznie gośćmi naszego hotelu i byłaby to obsługa na znacznie wyższym poziomie. To ktoś pomiędzy konsjerżem a specjalistą od spraw promocji. Nie musiałabyś kursować między hotelami i widywalibyśmy się znacznie częściej, moglibyśmy nawet razem jeździć do pracy...

– Brzmi kusząco – przyznałam. – Tylko że tacy goście VIP są chyba zdecydowanie bardziej wymagający.

– Pewnie, że są. Ale po pierwsze nie byłabyś z tym sama, a po drugie w Dubaju ich prośby są znacznie łatwiejsze do zrealizowania. W kurorcie pracują już dwie takie osoby i teraz szukają trzeciej... Mark na pewno

przypadnie ci do gustu, z Reina możesz mieć lekkie problemy, ale jest zupełnie niegroźna.

– A co, jeśli Mark przypadnie mi do gustu za bardzo? – spytałam, drocząc się z Ziadem i chyba podświadomie próbując zmienić temat.

– Nie martwiłbym się o to zbyt – zaśmiał się Ziad tajemniczo.

Miał rację – znacznie większym powodem do zmartwień okazała się Reina. Ziad w swej oszczędnej recenzji zdecydowanie jej nie docenił.

Pomysł mojego ukochanego szybko zaczął dojrzewać w mojej głowie i z godziny na godzinę podobał mi się coraz bardziej. Tego samego dnia wieczorem wróciliśmy do tej rozmowy.

– Jest jeszcze jeden ważny argument przemawiający za tym, żebyś zmieniła pracę – powiedział tajemniczo Ziad.

– Tak? A mianowicie jaki? – zaciekawiałam się.

– Może wtedy przestałabyś być rezydentką turystyczną, a zostałabyś rezydentką w Dubaju. Mogłabyś zalegalizować swój pobyt, zamiast ciągle udawać turystkę. Mielibyśmy szansę wynająć razem mieszkanie, zacząć normalne życie, pojechać do Ikei i kupić nasze wspólne meble...

Wizja, którą przede mną roztoczył, ostatecznie mnie przekonała i już następnego dnia złożyłam swoją aplikację. I dostałam tę pracę. Nie chcę brzmieć zuchwale, ale okazało się, że od lat znam ludzi, którzy decydowali o zatrudnieniu. Moja kandydatura bardzo ich ucieszyła. Dobrze wiedzieli, co potrafię i jak jestem oceniana, widzieli mnie już w wielu trudnych do rozwiązania sytuacjach. Nic nie ryzykowali.

Dwa miesiące później wyjechałam z Dubaju na wizie turystycznej po raz ostatni. Wróciłam już jako kandydatka na rezydentkę. Po koniecznych badaniach oddałam paszport działowi kadr, by załatwiono formalności związane z moją wizą rezydencką, i wkrótce potem mogłam się cieszyć naklejką, która dla wielu mieszkańców Dubaju jest sporą nobilitacją. Potwierdza, że są tu u siebie – choć tak naprawdę, jak wiele rzeczy w tym miejscu, to tylko mrzonka. Ja jednak faktycznie poczułam się u siebie. Zakończyłam swoją wieloletnią pracę jako rezydentka w biurze podróży, a w zamian zostałam pełnoprawną rezydentką Dubaju.

Postanowiliśmy z Ziadem zamieszkać razem. Oboje byliśmy mocno podekscytowani naszą kolejną randką w Ikei, podczas której tym razem naprawdę urządzaliśmy swoje, choć tylko wynajęte, mieszkanie. Zanim jednak to nastąpiło, czekały nas formalności związane z jego wynajęciem.

I tu Dubaj zaskoczył mnie po raz kolejny, udowadniając, że nie jest niczym więcej jak tylko kolosem na glinianych, choć w tym przypadku może raczej piaskowych nogach.

Ziad znalazł dla nas idealne miejsce w Greens, ale jak się okazało, nie mógł wynająć mieszkania na siebie, bo miał inny kontrakt, który wiązał go jeszcze przez kolejne trzy miesiące. Ja do tej pory przez cały czas mieszkałam w hotelach. Nie miałam pojęcia, jak wygląda rynek nieruchomości w Dubaju ani jakimi prawami się rządzi.

Konieczność podpisania umowy i wpłacenia dwumiesięcznej kaucji wraz z miesięczną opłatą z góry nie zaskoczyła mnie, ale fakt, że oprócz tego muszę wręczyć reprezentowanemu przez energiczną agentkę właścicielowi jedenaście czeków, które ten będzie realizował co miesiąc w ustalonym dniu, był dla mnie kompletną nowością.

Nigdy wcześniej nie spotkałam się z czekami. Miałam świadomość, że kiedyś funkcjonowały w Polsce, ale dla mnie była to historia niemal z czasów Kazimierza Wielkiego. Wiedziałam, że wciąż płaci się nimi w Stanach Zjednoczonych, jednak moim zdaniem to kraj Trzeciego Świata, któremu ktoś wmówił, że jest fajny i nowoczesny, więc w sumie mnie to nie dziwi. Ale Dubaj? Ten nowatorski i wyznaczający trendy arabski cud?

– Skąd mam wziąć чеки? Przecież nawet nie mam tu jeszcze konta – rzuciłam do Ziada zrezygnowana. – Nie mam też aż tylu pieniędzy na kaucję. To wszystko się nie uda.

– *Habibti*, pieniądze mamy, od dawna odkładam. Jedynym problemem są чеки, ale to w sumie też tylko drobna przeszkoda. Musisz tylko pójść do banku, założyć konto i złożyć wniosek o książeczkę czekową – wyjaśnił Ziad.

– Tak po prostu?

– Tak, jesteś już przecież pełnoprawną rezydentką Dubaju – powiedział z uśmiechem.

– Ale nie mam paszportu. Oddałam go działowi HR.

– To musisz tam jutro pójść i go zabrać.

– Tak po prostu?

Ziad się zaśmiał, przytulił mnie i pocałował w czoło.

– Uwielbiam, gdy dziwisz się światu jak mała dziewczynka. Masz w sobie tyle niewinności.

– To nie niewinność, to zaskoczenie. Dziewczyny mówiły, że formalności trochę potrują i że same dadzą mi znać, gdy paszport nie będzie już potrzebny.

– Nazywaj to, jak chcesz, ale i tak uwielbiam to w tobie. Po prostu idź do HR-ów i powiedz, jak się mają sprawy.

Nie mieliśmy chwili do stracenia. Agencja zarezerwowała dla nas mieszkanie na zaledwie dobę. Tyle czasu dostaliśmy na załatwienie wszystkich formalności. Następnego ranka poszłam do działu Human Resources, w Polsce wciąż jeszcze często zwanego działem kadr. Pracowały w nim trzy przemiłe dziewczyny: Ioana z Mołdawii, Tala z Filipin i Alma z Libanu. Stanowiły bardzo egzotyczną mieszankę, ale wydawały się zgrane.

Gdy tylko pojawiłam się w ich biurze, od razu mnie obsiadły i zainicjowały rozmowę, jakbyśmy znały się od dawna.

– A więc to ty usidliłaś naszego Ziada – rzuciła Ioana z uśmiechem.

– Uważaj, bo niejedna dziewczyna będzie ci tu za to chciała wydrapać oczy – dodała Tala.

– Nie strasz jej. Ziad jest wymarzonym chłopakiem, ale bardzo się cieszymy, że jesteście razem – zakończyła Alma.

Miałam wrażenie, że w ich słowach pobrzmiwa sarkazm. Nie usidlałam Ziada, a tym bardziej nie miałam świadomości, że nasz związek jest na świeczniku, ale w sumie całkiem mi to imponowało. Fajnie być tą, której udało się coś, co nie udało się wielu innym.

– W czym możemy ci pomóc? – usłyszałam w końcu.

– Planujemy z Ziadem wynająć mieszkanie, ale bez mojego paszportu nie będziemy w stanie tego zrobić – powiedziałam, ciesząc się, że rozmowa zeszła na inny temat.

– Świetnie. Dokąd się przeprowadzacie? – Alma przejęła inicjatywę.

– Znaleźliśmy mieszkanie w Greens, ale musimy podpisać umowę dziś do końca dnia, w przeciwnym razie lokal przepadnie – próbowałam nakreślić powagę sytuacji.

– Musimy zatem działać szybko. Tala, wyjmij teczkę Kasi, a ty, Ioana, wystaw jej zaświadczenie o zatrudnieniu do banku. Na który bank się zdecydowałaś?

– Nie wiem. Który jest najlepszy?

– Jest kilka opcji, ale w twoim przypadku dobry będzie HSBC. Oni lubią obsługiwać klientów z Unii Europejskiej.

– Dobrze, zatem niech będzie HSBC – rzuciłam nieco zdezorientowana, wiedząc, że niewiele na tym etapie zależy ode mnie.

Dziewczyny zajęły się pracą nad dokumentami. Już po chwili Alma zebrała dla mnie teczkę, wyjaśniając, co mam zrobić dalej:

– To jest zaświadczenie, o które na pewno cię poproszą. Nasza firma ma takie notowania, że nie będziesz miała najmniejszych problemów. A to ksero twojego paszportu, podstemplowane i potwierdzone podpisem.

– I to wystarczy? Mam założyć konto i wyrobić książeczkę czekową na ksero paszportu?

– Oczywiście, że wystarczy. – Alma zdawała się urażona tym pytaniem, jakby było zupełnie nieuzasadnione, ale szybko zmieniła ton. – Wierz mi, kochana, załatwisz to w kilka chwil, a już jutro będziecie urządzać z Ziadem swoje gniazdko.

Wciąż nie byłam pewna, czy są to szczerze słowa, czy jednak podszyte ironią, ale ponieważ zdawało się, że dziewczyny zaopiekowały się mną kompleksowo i dostałam od nich wszystko, czego potrzebowałam, postanowiłam być dobrej myśli.

Ku mojemu zdziwieniu faktycznie ksero paszportu wystarczyło, żeby założyć mi konto w banku, wyrobić książeczkę czekową, a nawet wręczyć kartę kredytową z limitem sześciu tysięcy dirhamów. To było nie do pomyślenia – raj dla oszustów! – ale w tamtym momencie nie mogłam narzekać. Dzięki czekom mogliśmy z Ziadem podpisać umowę najmu i zrobić pierwszy poważny krok w naszym związku.

Greens to jedna ze sztucznie utworzonych nowych dzielnic Dubaju, która w czasie, gdy się tam przeprowadzaliśmy, była jednym wielkim placem budowy. Dla nas jednak miała doskonałe położenie, bo łatwo było z niej wyjechać na główną arterię emiratu, czyli Sheik Zayed Road, a jednocześnie znajdowała się w linii prostej od wyspy The Palm, na której znajdował się nasz hotel.

I tak ziściły się wizje o meblowaniu mieszkania z naszej pierwszej randki w Ikei. A do tego jeszcze razem dojeżdżaliśmy do pracy. Mieliśmy tak wiele wspólnego, że momentami aż się bałam, a jednak wciąż było nam mało. Pierwszy poważny związek na chwilę przed trzydziestką ma swoje

plusy. Masz poczucie, że budujesz coś stałego. I że naprawdę robisz to dla siebie. Dla was.

Moja nowa praca również zapowiadała się fantastycznie. Męczące kursowanie pomiędzy hotelami, przez które często traciłam pół dnia, stojąc w korkach, podgrzewanych słońcem i irytacją innych kierowców, przestało być już moją codziennością. Większość czasu spędzałam teraz w przepięknych wnętrzach luksusowego resortu, który do tej pory tylko wizytowałam w biegu.

Moje dotychczasowe miejsce na stanowisku rezydenta turystycznego zajęła Magda, młoda dziewczyna z Wrocławia, w której dostrzegałam swoją własną pasję z początków pracy. Dopiero z tego miejsca zobaczyłam, jaką orką jest ta praca. Wszystkie nieprzyjemne sprawy związane z turystami należały do Magdy. Do mnie goście mogli się zgłaszać tylko z problemami dotyczącymi samego hotelu. I choć było mi jej trochę szkoda, czułam, że ciężko zapracowałam na ten awans.

Byłam jedną z trójki specjalistów od obsługi gości VIP. Byliśmy podzieleni geograficznie – według kontynentów. Do mnie należała Europa. Mark, Brytyjczyk, syn pary, która wyemigrowała do Hiszpanii, zajmował się gośćmi z obu Ameryk i Australii. Reina, Libanka z brytyjską babcią (co uwielbiała podkreślać), miała pod swoimi skrzydłami podróżnych z Azji.

Reina wyraźnie nie paliła się do tego, żeby mnie poznać. Kiedy się spotkałyśmy, rzuciła na przywitanie:

– Jest i ona. Laska, której chłopak musi załatwiać pracę.

W pierwszej chwili nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Zanim uformowało mi się w głowie wystarczająco złośliwe zdanie, odezwał się Mark:

– Daj jej spokój. Twój facet w ogóle nie pozwoli ci pracować. O ile znajdzie się desperat, który z tobą wytrzyma.

Szybko się przekonałam, że ta dwójka jest ze sobą na tyle zaprzyjaźniona, że podobne złośliwości należą do stałego repertuaru ich codziennej komunikacji. Ale ja nie mogłam i nie zamierzałam pozostawić aluzji Reiny bez odpowiedzi. Dlatego gdy tylko przywitałam się z Markiem, zwróciłam się do niej:

– Ziad nie załatwił mi tej pracy, ale faktycznie to był jego pomysł, żebym aplikowała. Mówił, że będę mogła pracować w najfajniejszym zespole w całym hotelu.

– Ziad tak o nas powiedział! – Mark położył rękę na piersi, przewracając oczami i udając, że omdlewa z wrażenia.

Od razu zrozumiałam, dlaczego Ziad prezentował mi go z takim spokojem.

– Uspokój się – rzuciła Reina. – Przecież już wiesz, że nie jest gejem.

– Wiem, nie ma ideałów. Choć Ziadowi do ideału brakuje tylko tego – stwierdził Mark, po czym natychmiast się odgryzł: – Ale ty też nie masz u niego szans.

Było jasne, że mój chłopak wzbudza w Marku i Reinie sporo emocji, co z miejsca stawiało mnie na pozycji intruza. A tak liczyłam na to, że dzięki nim będę w stanie szybko zgłębić tajniki nowego stanowiska.

– Okej, dosyć tego – zakomenderował Mark. – Poza tym, że trochę nienawidzimy cię za to, że wyrwałaś najprzystojniejszego i najmilszego singla w całym hotelu, to *marhaba!* – wykrzyczał powitanie po arabsku, a potem wyściskał mnie, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi, którzy spotkali się po latach.

Mark okazał się przesłodkim i nieprawdopodobnie zabawnym chłopakiem, który żartował ze wszystkiego i wszystkich. Bardzo szybko znaleźliśmy wspólny język.

Reina początkowo zachowywała się jak królowa lodu i choć z czasem zdawała się zmieniać swoje nastawienie do mnie, zawsze stała nieco z boku i trzymała mnie na dystans. Niekiedy komentowała moją zażyłość z Markiem, żartując, że jeszcze trochę, a ten doczeka się upragnionego kontaktu fizycznego z Ziadem za to romansowanie ze mną. Oczywiście nie było mowy o żadnym romansie. Mark był gejem pierwszej próby. Gdyby było inaczej, pewnie miałyby spore wzięcie u płci przeciwnej. Był ładnie zbudowany, brytyjsko blady (co bardzo się podoba w tej części świata) i miał słodkie loki, codziennie wyglądające tak perfekcyjnie, jakby dopiero co zszedł z fotela fryzjerskiego.

Mark opowiedział mi, że zaraz po tym, jak Ziad zaczął pracę w kurorcie, on i Reina założyli się, które z nich pierwsze go uwiedzie. To naprawdę niesamowite, że mój słodki, naiwny Ziad wziął te zaloty za przejaw sympatii i nadal uznawał ich za „najfajniejszy zespół w całym hotelu”. Gdy spytałam go o to, powiedział, że nie miał pojęcia, jaki był cel tej zabawy, uznałam więc, że albo Reina i Mark są beznadziejni w uwodzeniu, albo

Ziad kompletnie nie reaguje na umizgi ludzi, którymi nie jest zainteresowany.

– No dobra, a teraz mów, jak ty to w ogóle zrobiłaś. Przecież ten chłopak to szczere złoto. Jaki jest twój sekret? – zapytał mnie Mark.

– Nie wiem, nie mam żadnego. – Wzruszyłam ramionami. – Nie podrywałam Ziada...

– Chcesz mi powiedzieć, że w ogóle nie zwróciłaś na niego uwagi? *Hello!* Czy ty przypadkiem nie powinnaś zbadać swojego wzroku?

– Nie no, lubiliśmy się, ale to zawsze była tylko znajomość, może trochę przyjaźń. Nie myślałam o nim w tych kategoriach – tłumaczyłam się, lekko zawstydzona jego bezpośredniością.

– Dziewczyno! Jak można się kolegować albo nawet przyjaźnić z kimś, kto ma takie ciało?! W głowie każdego normalnego człowieka na sam widok Ziada roi się od sprośnych myśli.

– Widocznie jestem nienormalna.

– No to na pewno... Przecież nawet przez koszulę widać, że na jego brzuchu można szatkować kolendrę.

– Ha, ha, ha! Tego nie próbowałam, ale to w sumie niezły pomysł!

– *Bitch!* Będziesz się teraz nade mną znęcać – rzucił Mark, udając obrażonego. – A tak serio, jak faktycznie spróbujesz z tą kolendrą, zamawiam porcję. Może być z dressingiem.

Wolałam sobie nie wyobrażać, co ma na myśli, mówiąc o dressingu.

Mark nie ukrywał swojej orientacji ani fascynacji mężczyznami, co wydawało mi się zachowaniem dość ryzykownym, zważywszy na miejsce, w jakim mieszkaliśmy. Ale był w tym wszystkim bardzo zabawny, a ja osobiście nie miałam nic przeciwko temu, że podoba mu się Ziad. Wiedziałam, że nie ma takiej ilości alkoholu, którą musiałby wypić mój ukochany, by dać się uwieść facetowi – oczywiście gdyby w ogóle pił alkohol, bo nie tykał go nawet okazjonalnie.

Mark wiedział, że ma zerowe szanse u Ziada, więc jego żarty, nawet najbardziej dosadne, pozostawały niewinne. Zupełnie inaczej miały się sprawy z Reina, która zdaniem Marka naprawdę zadurzyła się w moim chłopaku.

– Wiesz, ja to bym ci tego twojego Ziada szybko zwrócił. Trochę zabawy i po sprawie – powiedział mi kiedyś. – Ale Reina nie spoczęłaby, dopóki nie zostałaby jego żoną i matką piątki jego dzieci... Ona kompletnie

ześwirowała na jego punkcie. Raz powiedział, że lubi blondynki, to przez kilka miesięcy chodziła w blond peruce. Twierdziła, że to nie ma nic wspólnego z Ziadem, ale wszyscy doskonale wiedzieli, o co chodzi. Do dzisiaj ma gdzieś w biurze to okropieństwo, pewnie na wszelki wypadek, jakby znowu pojawiła się szansa na złowienie naszego złotego chłopca z Egiptu.

– Naprawdę nadal go kocha?

– Wie, że sprawa jest przegrana, ale dopóki kłamka nie zapadła, chyba ciągle ma nadzieję. W związkach różnie bywa, a w razie kłopotów przydają się osoby, które są gotowe do pocieszania.

– Kłamka? – zapytałam.

– No wiesz... zaręczyny, ślub, wpadka. Do tego czasu raczej nie odpuści.

To brzmiało jak przestroga, ale trudno było mi ją potraktować serio. Niedawno odkryłam w sobie potrzebę bycia w związku, zakochałam się po raz pierwszy w życiu. Zazdrość była wciąż jeszcze obcym mi uczuciem, być może nigdy jej w sobie nie miałam, ale czułam, że Ziad chce być tylko ze mną i nie ma powodów, bym martwiła się resztą świata, choćby ta padała mu do stóp.

Reina mieszkała w Dubaju od blisko dekady. Z Libanu wyjechała, bo jej rodzina była w trudnej sytuacji finansowej, co w jej przypadku było błogosławieństwem – i pretekstem do swego rodzaju ucieczki. Jej bardzo religijny ojciec nie chciał, by wyjeżdżała, ale ostatecznie pragmatyzm wziął górę. On sam był ofiarą fanatycznego konserwatyzmu własnego ojca, który w latach sześćdziesiątych uciekł do Londynu i poślubił tam Brytyjkę. Miał z nią dwóch synów. Nie wiadomo, czy ożenił się z miłości, czy tylko po to, by móc zalegalizować pobyt w Wielkiej Brytanii, bo o babci Reiny generalnie niewiele się dowiedziałam. Wszelkie pytania o nią były zbywane, stała się pilnie strzeżoną i wciąż nieodkrytą rodzinną tajemnicą.

Wiadomo tyle, że kiedy chłopcy byli jeszcze mali, dziadek Reiny wywiózł ich z kraju i zamieszkał z nimi w rodzinnej wsi pod Bejrutem. Wychowywał ich surową ręką w religijnym reżimie i skrajnej ksenofobii. Przez wiele lat chłopcy byli przekonani, że świat poza Libanem przestał istnieć z powodu zła. Został zniszczony przez Allaha za karę, a w swym miłosierdziu Bóg pozostawił tylko ten skrawek ziemi, na którym mieszkali. Zrobił to tylko dlatego, że potrafili się żarliwie modlić i mieli czyste serca. Ta historia pozwoliła dziadkowi Reiny przez lata szantażować swoich

synów, by żyli tak, jak to sobie wyobrażał. Musieli się modlić i wypełniać wszystkie polecenia ojca, bo święcie wierzyli, że jeśli mu się sprzeciwią, Allah zniszczy ich mały świat, tak jak zrobił to z resztą ziemi.

Wychowanie w strachu i niechęci do świata musiało odcisnąć piętno na ojcu Reiny. Złagodniał po tym, jak poznał swoją żonę, która potrafiła przekonać go do nieco większej otwartości, ale na zawsze pozostał bardzo konserwatywny. Dlatego gdy jego jedyna spośród czwórki dzieci córka wpadła na pomysł wyjazdu, postawił kategoryczne weto. Dopiero interwencja żony i obietnica mieszkających już wtedy w Dubaju synów, że będą się opiekować siostrą, przekonały go do wydania zgody, jednak nie bezwarunkowej. Wymusił na córce obietnicę, że gdy tylko pojawi się kandydat na jej męża, ta wróci i poślubi go bez słowa sprzeciwu.

Kiedy Reina wyjechała do Dubaju, była zaledwie siedemnastolatką. Była przekonana, że poszukiwania męża dla niej zajmą ojcu co najwyżej trzy lata, a tymczasem mijała już prawie dekada, od kiedy opuściła dom rodzinny. Czuła, że czas jej wolności się kończy, i być może właśnie dlatego z taką determinacją zastawiła sidła na Ziadzie. Miała nadzieję, że jeśli przedstawi go ojcu jako kandydata na zięcia, będzie mogła go poślubić, a tym samym uniknie małżeństwa z kimś obcym. Ziad był dobrym muzułmaninem, był pracowity, uprzejmy, władał czterema językami i był bardzo przystojny, co może miało najmniejsze znaczenie dla jej ojca, ale Reinie nie pozostawało obojętne.

Kiedy Mark opowiedział mi tę historię, zrobiło mi się jej szkoda. Oczywiście nie na tyle, by zaproponować jej przejęcie mojego chłopaka, nawet jeśli byłoby to możliwe. Odtąd jednak zupełnie inaczej patrzyłam na jej zachowanie. Zdecydowanie lepiej zrozumiałam, dlaczego nie zapalała do mnie miłością.

Postanowiłam, że spróbuję się zbliżyć do Reiny. Poczułam, że tak właśnie powinnam zrobić. Zbawianie świata miałam we krwi. Jej nieszczęśliwą miłość potraktowałam jak projekt, a moja naiwność nie pozwalała mi zauważyć, że od początku był on skazany na niepowodzenie.

Wymyśliłam, że pokażę Reinie, iż nie będąc z Ziadem, naprawdę niczego nie straciła. Któregoś dnia, kiedy siedzieliśmy razem, celowo zaczęłam na niego narzekać, wymyślając zupełnie idiotyczne zarzuty. Udawałam, że potrzebuję rady. Początkowo moje skargi skierowane były do Marka, ale zgodnie z moimi przypuszczeniami Reina szybko dołączyła do rozmowy.

Zgrywała zatroskaną, chcąc wyciągnąć ode mnie jak najwięcej informacji na temat tego, jaki okropny człowiek kryje się pod maską złotego chłopca. O to właśnie mi chodziło. Reina miała zrozumieć, że moje pozorne szczęście z jej wielką miłością tak naprawdę uchroniło ją przed wyjątkowo smutnym losem.

– Ziad zrobił się bardzo agresywny – rzuciłam łakomy kąsek. – Nigdy nie sądziłam, że będzie mnie traktował w tak straszny sposób...

– Ojej, kochanie, co się stało? – strapił się Mark. – Zawsze widziałem w nim brutala, ale w mojej głowie to były tylko fantazje. Uderzył cię?

– Nie, ale mam wrażenie, że jest na krawędzi. Zaczęłam się go bać. Najgorsze jest to, że nie wiem, co mam z tym zrobić. Był takim wymarzoną facetem, a okazało się, że jest totalnym dupkiem. Wczoraj...

– Dramatycznie zawiesiłam głos.

– Co się stało wczoraj? – dociekał Mark.

– Musiałam uciekać z domu. Gdybym tego nie zrobiła, nie wiem, jak by się to skończyło.

Czułam się fatalnie, oczerniając swojego ukochanego, ale miałam na uwadze, że pomagam w ten sposób osobie, która bardzo cierpi. Szlachetny cel uświęcał tu bardzo mało szlachetne środki.

– Mężczyźni nie mają prawa traktować tak kobiet – dołączyła Reina. – Strasznie mi przykro, że to ty musiałaś się przekonać o tym, jaki jest naprawdę. Nie mogę uwierzyć, że sama kochałam się w tym gnojku.

Wydawało się, że mój plan zadziałał. Przynęta połknięta. Reina przestanie lubić Ziada. Ja za kilka dni wyznam, że się z nim pogodziłam i postanowiliśmy popracować nad naszym związkiem, choć robię to bardzo niechętnie. Potem wszystko rozejdzie się po kościach. Reina będzie szczęśliwa, że oszczędziłam jej tych wszystkich trosk, i będziemy mogły zacząć od początku. Kto wie, może nawet się zaprzyjaźnimy.

Ziad miał tego dnia nocną zmianę. Wykorzystałam samotny wieczór i poszłam wcześniej spać. Obudziłam się, zanim wrócił do domu nad ranem. Już od wejścia widziałam, że jest nie w sosie. Był zmęczony, ale też przeraźliwie smutny. Ziad zawsze miał serce na dłoni. Z reguły w tym pozytywnym sensie – dzielił się ze światem hojnie swoją radością i życzliwością. Ale tym razem było inaczej.

– Jak mogłaś opowiedzieć ludziom w hotelu takie straszne rzeczy o mnie?

– zapytał łamiącym się głosem. – Przecież ja cię nigdy nie uderzyłam.

Nigdy bym tego nie zrobił. Nie musiałaś przede mną uciekać z domu. Naprawdę się mnie boisz?

Patrzył na mnie przez łzy, czekając na odpowiedź, ja jednak nie byłam w stanie powiedzieć ani słowa.

– Jesteś miłością mojego życia. Dlaczego mi to robisz? Czy ty chcesz ode mnie odejść? Co zrobiłem nie tak...?

W mig dotarło do mnie, co się wydarzyło. Jak na osobę, która zawodowo zajmuje się planowaniem, w planowaniu intryg okazałam się kompletnie beznadziejna. Mogłam uprzedzić Ziada, co mam zamiar zrobić i dlaczego. Mogłam też przewidzieć, że Reina nie zachowa tej informacji dla siebie i albo wszystkim o tym opowie, albo pójdzie pocieszać Ziada i zaproponuje mu, że chętnie zastąpi jego wymagającą fizycznego dyscyplinowania dziewczynę. Wyraźnie postanowiła zrobić jedno i drugie, z tym że sprzedała ludziom swoją wersję wydarzeń.

Był późny wieczór, kilka godzin po tym, jak Reina skończyła pracę. Jej obecność w recepcji zdziwiła Ziada, który właśnie zwalczył pierwszy kryzys senności i dopijał kawę. Ta swoją mocą u niejednego wywołałaby atak serca, a ilością cukru natychmiastową cukrzycę.

– Co ty tu robisz, piękna? – rzucił Ziad na widok Reiny.

– Miałam trochę więcej pracy, ale zbieram się właśnie do domu. Wszystko u ciebie okej?

– Tak, jest cudownie.

– Ziad... – powiedziała Reina, kładąc chłodną dłoń na jego przedramieniu i nachylając się nad ladą recepcji. – Na pewno? Wiesz, że możesz mi powiedzieć. Słyszałam, że nie dzieje się u was ostatnio najlepiej.

Na te słowa Ziad zareagował gwałtownie.

– Jak to? Co jest nie tak...? O czym ty mówisz?

Opowiadając mi o tym później, wspomniał, że był w tamtym momencie kompletnie przerażony. Wiedział, że pracujemy z Reimą blisko i być może wie ona o czymś, o czym on nie ma pojęcia. Może zwierzyła się jej z tego, że zamierzam go zostawić... To był dla niego największy koszmar.

– Słyszałam, że Kasia fatalnie cię traktuje – ciągnęła intrygantka. – Ona oczywiście zwała całą winę na ciebie, ale przede mną nie musisz się wstydzić tego, że puszcza ci nerwy. Wcale się temu nie dziwię. Ta

dziewczyna potrafi być naprawdę irytująca. Powiedziała nam dzisiaj, że ma cię dosyć i chce odejść, ale jej na to nie pozwalasz. Nie uwierzyłam w ani jedno jej słowo, jednak pomyślałam, że powinieneś wiedzieć o tym, że cię szkaluje.

Ziad słuchał tego z niedowierzaniem.

– Jeśli będziesz chciał porozmawiać, pamiętaj, że jestem – kontynuowała Reina, widząc, że jest bliska osiągnięcia swojego celu.

– Nie, Kasia na pewno nie powiedziała by takich rzeczy. A już na pewno nie tobie. Wymyśliłaś to wszystko. Nie chcę o tym rozmawiać – stwierdził kategorycznie.

– Mów, co chcesz, ale to prawda, niezależnie od tego, czy chcesz w nią wierzyć. Ja po prostu się o ciebie martwię – dodała Reina cierpiętniczym głosem.

Mówiąc to, włączyła nagranie ze swojej komórki z fragmentem mojego zmyślnego wyznania na temat naszego związku. Nie miałam pojęcia, że mnie nagrywa. Byłam tak zestresowana całą tą intrygą, że kompletnie nie zwracałam na to uwagi. Nie tak to miało wyjść. Chciałam załatwić sprawę z Reina, a niechcący wepchnęłam jej w ręce oręż, które natychmiast wykorzystwała przeciwko mnie. W sumie dlaczego miałyby postąpić inaczej? Nie znosiła mnie, a teraz ja czułam do siebie dokładnie to samo.

Reina dopięła swego. Ziad miał ochotę natychmiast pojechać do domu, chciał do mnie zadzwonić, ale powstrzymywał go strach przed tym, co mogą oznaczać moje słowa. Ich echo wciąż dźwięczało mu w uszach. Do końca dyżuru był podenerwowany i bliski płaczu. Nie mógł się doczekać, kiedy dotrze do domu i skonfrontuje się ze mną.

Reina na tym jednym sukcesie nie poprzestała. Nieco urażona reakcją Ziada, w obawie, że ten jej nie uwierzył, a w konsekwencji wyda się fakt, że do moich kłamstw dorzuciła swoje manipulacje, napisała do kilku najbliższych współpracowników, rozpuszczając plotki o kłopotach w raj. Niektórzy z nich podjęli wątek, a następnego dnia mocno przeinaczoną wersję Reiny znał już cały hotel.

– Kochanie... *Habibi*... – powiedziałam cicho. – Nie chciałam, żebyś cierpiał... To wszystko moja wina.

– Czyli to, co powiedziała Reina, jest prawdą! – uniósł się Ziad. – Przez cały ten czas miałem nadzieję, że jednak zaprzeczysz.

– I tak, i nie... – odparłam, szukając słów, które pozwolą mi najlepiej to wyjaśnić.

– Albo tak, albo nie! – wrzasnął mój ukochany. – Słyszałem na nagraniu, co mówisz! – Po raz pierwszy podniósł na mnie głos.

– Nie wiem, co słyszałeś, ale znając Reinę, było to najgorsze, co powiedziałam. I tak, powiedziałam to, ale proszę cię, pozwól mi wyjaśnić. Później możesz zrobić, co zechcesz...

Ziad zamilkł i z opuszczoną głową, wpatrzony w podłogę wysłuchał, jak próbowałam obrzydzić go Reinie, by ta nie czuła się zazdrosna.

– Widziałam, że cierpi, patrząc na nasze szczęście, ale nie sądziłam, że zechce to wykorzystać przeciwko nam – skończyłam.

– I dlatego postanowiłaś mnie oczernić? Nie pomyślałaś, że to ja będę cierpieć? – spytał z niekłamanym smutkiem.

– No właśnie w tym rzecz... Nie pomyślałam. Nigdy w życiu świadomie bym cię nie skrzywdziła. Reina od samego początku była dla mnie nieprzyjemna. Kiedy zrozumiałam, dlaczego tak jest, zapragnęłam to zmienić.

Po tych słowach zapadła cisza, długa i świdrująca. A potem Ziad wstał, podszedł do mnie od tyłu i przytulił się, kładąc głowę na moim ramieniu.

– Wiem, że chciałaś dobrze, ale to nie jest najlepsza metoda na Reinę. Jeśli jest jakakolwiek, to na pewno nie taka po dobroci.

Poczułam ogromną ulgę. Wyglądało na to, że nasz pierwszy poważny kryzys został zażegnany. A jednak z lekkim niedowierzaniem przyjąłam to, co powiedział na koniec. Ziad zawsze wydawał mi się człowiekiem, który wszystko załatwia po dobroci.

– Jutro w pracy pokażemy, że nie ma na nas mocnych – oznajmił. – A w czwartek wybierzemy się do klubu. Ty się upewnij, że Reina pójdzie z nami, a ja sprawię, że już nigdy więcej nie przyjdzie jej do głowy, by spróbować nas poróżnić.

Nie miałam pojęcia, co planuje, ale byłam gotowa zrobić wszystko, byle tylko odkupić swoją winę. Wiedziałam też, że nic, co planuje, nawet w jednym procencie nie będzie tak głupie jak to, co zrobiłam ja.

Dwa dni później faktycznie poszliśmy do klubu. Przetańczyliśmy kilka godzin. Reina co jakiś czas próbowała porwać Ziada do tańca, ale ten

natychmiast odwracał się w moim kierunku, dając jej wyraźnie do zrozumienia, że przyszedł tam ze mną i tylko ja się dla niego liczę. W końcu odpuściła. Od tej pory nasze stosunki przyjęły formę poprawnych. Wyglądało na to, że Reina ostatecznie zdała sobie sprawę z tego, iż nie ma u Ziada szans. Zupełnie jakby potrzebowała zobaczyć nas jako nierozłączną i zachwyconą sobą parę. Najbardziej zadziwiające było jednak to, że odtąd zupełnie zmieniła do mnie stosunek. Z obcesowej i złośliwej stała się miłą, czasami wręcz przyjacielską.

Oboje z Ziadem w swojej naiwności uwierzyliśmy, że odpuściła nie tylko w tańcu – ale bardziej nie mogliśmy się pomylić. Nigdy nie wymyślilibyśmy, jak tragiczne konsekwencje będzie miało tak dosadne odrzucenie jej uczuć.

ROZDZIAŁ 7

Influenza

Do moich nowych obowiązków należało planowanie i koordynowanie specjalnych wydarzeń w hotelu oraz promowanie go w niestandardowy sposób w przypisanych mi krajach. Było na to kilka skutecznych metod, ale jedną z przynoszących najlepsze rezultaty okazało się ściąganie do hotelu influencerów z dużymi zasięgami. W tym przodował Mark, który doskonale balansował pomiędzy niekłamaną nienawiścią i pragmatyczną miłością wobec tego typu gości.

– Nadciąga influenza – mawiał zawsze, gdy spodziewał się wizyty jakiejś internetowej gwiazdy. I nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby w języku angielskim słowo *influenza* nie oznaczało grypy. W jego słowniku było to dla influencerów określenie wprost idealne, zupełnie jakby ktoś nazwał ich tak właśnie przez skojarzenie. Byli upierdliwi, natrętni, przyprawiali o gorączkę i zawroty głowy, a do tego byli ekspansywni jak zaraza.

Zanim sama zdecydowałam się zaprosić do hotelu swoich pierwszych influencerów, miałam okazję przyjrzeć się wielu takim wizytom. Była choćby Flo, jedna z amerykańskich gwiazd, która zrobiła w internecie karierę na recenzowaniu luksusowych hoteli i linii lotniczych. Jej kanały na wszystkich platformach społecznościowych stały się wyrocznią dla całkiem sporej części przemysłu hotelarskiego. W ciągu kilku lat zdołała zbudować imperium, które pozwalało jej na podróżowanie dosłownie po całym świecie za darmo, spanie w najdroższych resortach i latanie w iście królewskich warunkach. Kilka hoteli w Dubaju i Abu Dhabi doczekało się już jej recenzji, nagrała też obszerne materiały o tym, jak podróżują pasażerowie pierwszej klasy linii Emirates i Etihad.

Mark starał się o wizytę Flo od dawna, bo jest na tyle rozpieszczona zaproszeniami, że może w nich przebierać, zwłaszcza że nasz resort,

choć bardzo luksusowy, nie znalazłby się zapewne w pierwszej dziesiątce wśród tych w Dubaju. Zaproszenie Flo okazało się dla Marka tak trudne, że potraktował je jak wyzwanie – i w końcu dopiął swego. Nigdy nie zdradził jak, ale jestem pewna, że szybko pożałował tego sukcesu.

Flo przyjechała z trzyosobową ekipą i chyba dziesięcioma walizkami. Nie było to nic niezwykłego, bo miewaliśmy już gości, którzy podróżowali z połową swojej garderoby, ale ci z reguły spędzali w hotelu minimum tydzień. Flo przyleciała zaledwie na dwie doby. Mark przywitał ją osobiście – tego pokroju goście nie meldują się przy recepcji – i z uśmiechem, który mógłby świadczyć o jego niekłamanym zachwycie, odprowadził do jej apartamentu. Oczywiście zakwaterowano ją w jednym z najlepszych, ale mimo to nie przypadł jej zbytnio do gustu.

– Kto wam to projektował? – prychnęła od progu.

Mark był na takie pytania przygotowany. Wiedział, że Flo lubi się snobować na nazwiskach znanych projektantów i pyta o nich zawsze, jak reporterzy na oscarowym dywanie. Dlatego rzucił bez chwili namysłu:

– Diane von Furstenberg.

– Naprawdę? Musiała mieć gorszy dzień albo coś królewsko schrzaniłście. Mogę zobaczyć te projekty?

Na taką inspekcję Mark nie był przygotowany.

– Nie jestem pewien, czy uda mi się do nich dotrzeć, ale postaram się je zdobyć.

– Zrób to. A tymczasem przyślij mi jakichś dwóch fizycznych, przemeblujemy tu trochę, bo nie jestem w stanie się skupić w takich warunkach. Dam ci znać, jak będę gotowa, to omówimy szczegóły.

Mark nie sądził, że Flo tak szybko doprowadzi go do wrzenia, ale wiedział, że nie może dać się sprowokować, dlatego dzielnie wykonał polecenia. Pół godziny później z apartamentu wyniesiono kilka mebli, a te, które zostały, zmieniły swoje położenie, tak by zadowolić chwilową lokatorkę.

Trzy godziny później Mark, który zdążył już nieco się uspokoić i uzbroić w nowe pokłady cierpliwości, został wezwany na rozmowę o szczegółach promocji na kanałach Flo. Wszedł do apartamentu, który wyglądał teraz zupełnie inaczej. Flo była złośliwa i roszczeniowa, ale trzeba przyznać, że znała się na aranżacji wnętrz. Nie dało się ukryć, że wszystko wyglądało tu znacznie lepiej.

– Wow, uwielbiam to, co zrobiłaś z tym wnętrzem – pochwalił Mark i tym razem nawet nie musiał się zmuszać do zachwytu.

– Udało ci się znaleźć te projekty Diane?

Nawet nie próbował.

– Niestety nie, przepadły bez wieści. Jestem przekonany, że ktoś je ma, bo takiej dokumentacji się nie wyrzuca, ale musiałbym mieć więcej czasu, żeby je wyszperać. Jeśli nie uda mi się tego zrobić do twojego wyjazdu, postaram się przysłać ci skany – zapewnił.

– Zrób to. – Flo, w zwiewnej drukowanej cętkami pantery sukience, usiadła na sofie, po czym zmieniła temat: – Co chcesz pokazać? Na czym ci najbardziej zależy?

– Jesteśmy dumni z całego obiektu... – zaczął Mark.

– Naprawdę? – rzuciła na to, zbijając go z tropu. – Okej, sorry, kontynuuj...

– Chcielibyśmy, byś spojrzała na ten hotel swoimi oczami i pokazała go ludziom, którzy się nim zachwyca.

Flo wyraźnie nie miała ochoty na oglądanie hotelu „swoimi oczami”, czemu dała wyraz, ostentacyjnie nimi przewracając.

– To ryzykowne. Ludzie spodziewają się po Dubaju luksusów, a tu u was bieda. Gdybym miała to zrobić po swojemu, wyszłoby słabo...

– Przecież jesteśmy pięciogwiazdkowym, luksusowym resortem, odwiedzają nas milionerzy, gwiazdy...

– Zdefiniuj „gwiazda”? – rzuciła Flo, czym spowodowała, że Mark całkowicie zaniemówił. Natychmiast wykorzystała to przeciwko niemu. – Tak myślałam. Okej, łatwo nie będzie, ale coś z tego wystrugamy – orzekła w końcu. – Zrobimy dziś wieczorną sesję na basenie, dlatego upewnij się, że nikt nie będzie się tam pałętał. A jutro podziałamy trochę w restauracji i lobby.

To wszystko nie brzmiało obiecująco, zwłaszcza że miało kosztować prawie dwieście tysięcy dolarów – nie licząc oczywiście kosztów pobytu Flo w hotelu – ale Mark musiał wierzyć, że influencerka okaże się warta tych pieniędzy.

– Aha. I ma cię nigdzie nie być – rzuciła na koniec. – Wiem, że wy, ludzie od promocji, lubicie kontrolować, a ja kontroli nienawidzę. Jeśli cię gdzieś zobaczę, z miejsca przerywam pracę. Wyznacz jakiegoś hotelowego

minionka, by był w pogotowiu, jeśli będziemy czegoś potrzebowali, ale ty masz się do niczego nie wtrącać.

Mark, chcąc nie chcąc, musiał się na to zgodzić.

– Nie mogę się doczekać, aż zobaczę rezultaty twojej pracy – powiedział z mocno wymuszonym uśmiechem.

– To, czy je zobaczysz, dopiero się okaże – usłyszał w odpowiedzi.

Chciał wspomnieć coś o koniecznej autoryzacji, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Flo jednak zdawała się czytać w jego myślach.

– I żadnej autoryzacji – dodała. – Nie pozwolę się cenzurować. Mam swoje zasady.

Kiedy Mark wrócił ze spotkania z Flo, wyglądał, jakby przejechał go walec. Był wysokim, szczupłym chłopakiem, który nie miał już z czego chudnąć, a wtedy wydawało się, jakby zrzucił połowę swojej dotychczasowej wagi.

– Zwolnią mnie... – rzucił zrezygnowany. – Walczyłem o przyjazd tej suki prawie rok, a teraz okaże się ona moją zgubą. Jej nie da się zadowolić. Traktuje nas jak podrzędny motel i nie ma mowy, by zareklamowała nas tak, by zwiększyć liczbę podróżnych ze Stanów. Korporacja wyznaczyła mi cel, chce, żebym ściągał więcej przyjezdnych z Ameryki, a teraz przez Flo pies z kulawą nogą tu nie zawita. Miałem dostać premię, a dostanę deportację!

– Nie histeryzuj – próbowała pocieszyć go Reina. – Na pewno nie będzie tak źle. To nie pierwsza rozkapryszona laska z kilkoma milionami wpatrzonych w nią ameb w tym hotelu.

– Ale pierwsza, która tak otwarcie tryska jadem.

Flo zniknęła z orbity Marka, a on zgodnie z jej życzeniem nie pokazywał się jej przez kolejne dwa dni. Słyszał tylko, że wymuszona zmiana rezerwacji w restauracji dotknęła kilku gości, z którymi Flo nie chciała obcować w czasie posiłków i sesji fotograficznych. Żądała, by jej stolik był oddalony od pozostałych zajętych o minimum czterdzieści metrów. Życzenia Beyoncé w porównaniu z jej wymaganiami zdają się skromne i całkiem uzasadnione.

O wyjeździe Flo Mark też dowiedział się od pracowników recepcji. W pierwszym odruchu przyjął tę wiadomość z ulgą, ale szybko zastąpiła ją panika. Teraz nie miał już kontroli zupełnie nad niczym. Gdyby wierzył w jakiegoś boga, mógłby się pomodlić. Przez chwilę nawet to rozważał, ale

nie był pewien, do którego powinien adresować swoje prośby. Do tego anglikańskiego, do którego prowadzano go w dzieciństwie, czy do tego, który miał zwierzchnictwo nad Zatoką Perską. Starał się tymi niedorzecznymi myślami odciągnąć swoją uwagę od realnego problemu, ale tak naprawdę nie pozostało mu nic innego, jak tylko czekać cierpliwie na materiał, który Flo wyprodukowała na jego zlecenie.

Pierwszy pojawił się już kilka godzin później, tuż przed wieczorem. Flo wrzuciła na Instagram rolkę pokazującą jej przygotowania do wylotu z Dubaju, zapowiadając, że następnego dnia, gdy tylko doleci do Los Angeles, pokaże swoim obserwującym, co wydarzyło się w pustynnej stolicy przepychu i rozpusty.

– Ile czasu trwa lot z Dubaju do LA? – zapytał w panice Mark.

– Nie wiem, jakieś szesnaście, może siedemnaście godzin... – odpowiedziała Reina.

– *Fuck!* Nie wytrzymam tyle!

– Oczywiście, że wytrzymasz. Zaraz pójdziesz na masaż, potem umówisz się z którymś ze swoich latających chłopców z Emirates i spędzicie miłe chwile. Zanim się obejrzyysz, Flo doleci do domu i zacznie bombardować fanów efektami swojej ciężkiej pracy. – Reina brzmiała na niemal tak zblazowaną jak sama Flo, ale Mark kupił jej plan i szybko przystąpił do jego realizacji.

Reina nie powiedziała mu tego, ale skrycie mu współczuła. Ona zapraszała do hotelu influencerki z Korei, Japonii, Chin i Singapuru – żadna z nich nigdy nie wysunęła wobec niej żądań większych niż zamówiony do apartamentu szampan. Gdyby to ona trafiła na Flo, nasz hotel na pewno zdobyłby sławę po tym, jak jedna drugą wyrzuciłaby z tarasu na dachu albo utopiła w basenie. To, która pozostałaby przy życiu, jest niewiadomą, choć mam przypuszczenia, że w starciu z Reimą Flo okazałaby się potulną owieczką. Moje opinie w tej kwestii mogą być jednak mocno stronnicze.

Jeszcze w czasie, gdy Flo leciała do Stanów, na jej kanałach zaczęły pojawiać się zaplanowane wcześniej zdjęcia z opóźnioną datą publikacji. Jest na nich uśmiechnięta i zadowolona, ale kadry nie miały ani podpisu, ani hashtagów, ani lokalizacji.

– *Fuck, fuck, fuck...* – przeżywał Mark, gdy tylko zauważył te publikacje.

Kilkanaście godzin później na Instagramie, a następnie na pozostałych kanałach Flo opublikowała rolkę, w której już w pierwszych słowach mówi:

„Byłam w Dubaju milion razy. Zawsze zatrzymywałam się w świetnych hotelach, ale za każdym razem były to te najbardziej znane. A Dubaj ma zdecydowanie więcej ukrytych pereł. I tym razem właśnie taką odkryłam...”. Następnie przy energicznej muzyce nastąpił pokaz wszystkiego, co w naszym hotelu najlepsze.

Mark zapadł się w sobie ze zmieszanego ze wzruszeniem zachwytu. Flo opowiedziała o zaletach resortu, o zachwycających projektach wnętrz wykonanych przez Diane von Furstenberg, które są idealnie w punkt – nic dodać, nic ująć. Na YouTubie przedstawiła wszystko z jeszcze większymi szczegółami, a jej zdjęcia na Instagramie, publikowane przez kolejnych kilka dni, były tagowane przez nasz hotel.

Poza tym, że ryzyko zawału u Marka oddaliło się o dobrych parę lat, dział sprzedaży hotelu podpisał kontrakty z trzema dużymi biurami podróży ze Stanów i dwoma z Kanady. Do Dubaju nadciągała potężna fala amerykańskich turystów, a na konto Marka równie potężna premia.

– Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana – rzucił Mark, gdy rozmawialiśmy o tym kilka dni później.

– O, jak na człowieka, który jeszcze nie tak dawno był przerażony deportacją z powodu jakiejś influencerki z mocno przerośniętym ego, wydajesz się bardzo pewny siebie – podsumowała go Reina.

– Zawsze taki byłem! – oburzył się.

– No, no... Chyba że znowu pojawi się u nas jakaś Flo.

Wiedziałam, że ja też prędzej czy później będę musiała zająć się tego typu promocją. Nasza praca była oceniana nie tylko na podstawie zadowolenia klientów, ale też ich liczby. Ja miałam na koncie wielu Niemców, Brytyjczyków i Francuzów, ale Europa Środkowa i Wschodnia stanowiła zaledwie promil. Wcześniej, gdy byłam rezydentką turystyczną, nie przejmowałam się liczbą gości z Polski odwiedzających ten hotel, nawet jeśli było ich niewiele. Teraz jednak, gdy musiałam się wykazać umiejętnością przyciągania klientów z konkretnych krajów, zależało mi na tym, żeby było ich jak najwięcej.

Największe oczekiwania moich przełożonych dotyczyły właśnie wzrostu liczby turystów z Polski, Rumunii i Rosji (to wszystko działo się, jeszcze zanim Federacja Rosyjska anektowała Krym, choć miłość do rosyjskich pieniędzy w Dubaju nie osłabła nawet po tym, jak Rosjanie zaczęli na szeroką skalę mordować Ukraińców). Zupełnie nie wiedziałam, jak się do

tego zabrać. Nigdy nie zajmowałam się promocją, ale zdaniem ludzi, którzy zarządzali hotelem, tego typu działania miały mało wspólnego z marketingiem, a zdecydowanie więcej z jakością obsługi gości VIP, która sprawia, że do hotelu przyjeżdża więcej turystów. Z tak postawioną tezą trudno się było nie zgodzić. Nie zmieniało to jednak faktu, że przerażała mnie myśl, iż będę musiała zachwycić kilka wziętych gwiazd internetu. A nawet nie miałam pojęcia, kogo powinnam zaprosić.

O najbardziej znane influencerki z Rumunii spytałam Ioanę z Mołdawii, bo to kraj mocno z Rumunią zżyty. Od razu zaczęła sypać nazwiskami i pseudonimami. Polskie gwiazdy internetu zaczęłam początkowo łowić na Pudelku, a później wkręciłam się w Instagram. Nie miałam pojęcia, jak podejść do tematu Rosji, ale w końcu i to się udało. Po tygodniu zaczęły spływać odpowiedzi na moje zaproszenia. Zanosilo się na to, że nasz hotel stanie się hitem we wszystkich trzech krajach.

Mimo że bardzo bałam się tej nowej roli, byłam też nią mocno podekscytowana. Miałam do czynienia z prawdziwymi gwiazdami, które same, własną pracą i pomysłowością, stworzyły swoje małe medialne imperia. Oczywiście obawiałam się tego, że któraś z nich okaże się kolejną Flo, ale wierna swojej zasadzie mówiącej, że nigdy nie można zakładać najgorszego, miałam nadzieję, że moi internetowi goście okażą się dobrą inwestycją.

Już pierwsze wizyty okazały się strzałem w dziesiątkę. Fantastyczni młodzi ludzie z Rumunii, Rosji i Polski byli zachwyceni Dubajem i naszym hotelem, co podkreślali w niezliczonych publikacjach. Pomyślałam, że albo nie taki diabeł straszny, albo po prostu mam szczęście. To niestety wyparowało za sprawą dwóch wizyt, których nigdy nie zapomnę.

Złożyły je wyglądające jak bliźniaczki instagramerki z Rosji, które z czasem okazały się tylko koleżankami korzystającymi z usług tego samego chirurga plastycznego, i pewna całkiem znana polska influencerka, którą media wykreowały na gwiazdę mimo braku choć jednego zauważalnego talentu.

Alona i Sasza zajmują się w swoich mediach społecznościowych bardzo luźno rozumianym zdrowym i naturalnym stylem życia. Ich zbotoksowane twarze, ostrzyknięte usta, doczepiane włosy i doklejone rzęsy z naturą mają niewiele wspólnego, ale dziewczyny są idolkami dla ponad półtora miliona kobiet, które codziennie obserwują je w nadziei, że kiedyś choć

w niewielkim stopniu staną się takie jak one. Alona jest ewidentnie typem bardziej sportowym. To ona doradza, jak utrzymać zgrabną sylwetkę za pomocą rozmaitych ćwiczeń, do których potrzebne są wymyślne przyrządy. Większość z nich można zamówić, klikając w linki z jej postów, często z kodem rabatowym. Sasza to kobieta kuchni – specjalistka od kulinariów i diet – ale i jej porady potrafią naciągnąć obserwujących na spore wydatki, zapewne ku uciesze sponsorów.

Musiałam pozbyć się osobistych uprzedzeń i spojrzeć na działalność dziewczyn w pragmatyczny sposób. Wyraźnie były maszynką nakręcającą sprzedaż, a w naszym hotelu szastający gotówką goście z Rosji byli bardzo mile widziani. Zaproszenie od Alony i Saszy z pewnością ściągnęłoby ich tu masy.

Influencerów z reguły zapraszaliśmy na dwie, góra trzy doby. Rosjanki zażądały jednak minimum tygodniowego pobytu, oczywiście w pełni opłaconego. Nie stanowiło to większego problemu, choć trochę mnie przerażało, że będę miała je na głowie aż tak długo. Wtedy jeszcze nie miałam pojęcia, co to tak naprawdę oznacza...

Można zaryzykować stwierdzenie, że od tego, w jakim stylu influencer przyjeżdża do hotelu, zależy cały jego pobyt. Ci, którzy pojawiają się w jego progach z wielką pompą, z reguły sprawiają najwięcej kłopotów. Alona i Sasza potwierdziły tę zasadę w stu procentach.

Nie wiem, jaki miały zamysł, przyjeżdżając osobno, ale to musiało być zaplanowane. Najpierw do lobby weszła Alona. Podeszłam, żeby się z nią przywitać i wręczyć jej klucze do apartamentu, ale nie pozwoliła mi się odezwać.

– Nie teraz, kochanie. Zamelduję się, wezmę prysznic, wtedy pogadamy.

– Ale... – próbowałam wspomnieć jej o kluczach.

– Powiedziałam: później! – warknęła i poszła zameldować się w recepcji jak każdy inny gość, co w sumie sprawiło mi pewną satysfakcję.

Do Saszy już nawet nie podeszłam. Jej przybycie obserwowałam z boku jak swego rodzaju farsę. To było niczym przejazd królowej, której nikt nie wita. W recepcji oczywiście potraktowano ją uprzejmie, ale bez żadnych specjalnych względów. Dostała kartę do apartamentu i musiała sama udać się na górę, bez niczyjej uwagi.

Byłam zaskoczona, że każda z nich przyjechała sama. Na liście ich żądań były aż dwa pokoje dla ekipy. Ta musiała przylecieć innym samolotem, bo

do hotelu dotarła dopiero kilka godzin później. Zastanawiało mnie to podróżowanie na raty. Musiał w tym być jakiś głębszy zamysł. Wkrótce się okazało, że był, choć w sumie trudno go nazwać głębokim.

Przez cały dzień czekałam na informację od dziewczyn. Poprosiłam recepcję, by zadzwonili na moją komórkę, gdy tylko influencerki zechcą się ze mną widzieć, rozważałam nawet zatrzymanie się na tę noc w hotelu, ale ponieważ był to jeden z nielicznych wieczorów, które Ziad miał wolne, postanowiłam wrócić do domu.

Było krótko po jedenastej, kiedy lekko przestraszony, zrugany wcześniej z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu przez Saszę, recepcjonista zadzwonił do mnie, mówiąc:

– Te Rosjanki chciałyby się spotkać...

– Co? To chyba żart? Przecież nie dotrę do hotelu przed północą – powiedziałam, obliczając w głowie, ile czasu potrzebuję, by dojechać na miejsce. – Powiedz im, że nie ma mnie już w pracy.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Halo, możesz im to przekazać?

– Przepraszam, ale czy możesz zrobić to sama? – spytał cicho chłopak, starając się brzmieć najuprzejmiej, jak to tylko możliwe.

– O co chodzi? W czym problem? Możesz chyba po prostu zadzwonić do ich pokoju i...

– Mogę, ale one powiedziały, żebym milczał i nigdy więcej się do nich nie odzywał – wyjaśnił łamiącym się głosem.

– Dlaczego? Powiedziałeś im coś niemiłego?

– Nie, tylko niechcący wszedłem jednej z nich w słowo i bardzo się tym zdenerwowała.

Zrobiło mi się go żal, choć przyznam, że trochę mnie ta sytuacja rozbawiła. Dwie ruskie harpie prawie złamały psychikę uprzejmego Araba, pozostawiając go w strachu przed wypowiedzeniem choćby słowa w ich kierunku.

– Okej, niczym się nie przejmuj, załatwię to. I pamiętaj, jesteś świetnym facetem i bardzo dobrym pracownikiem – rzuciłam, chcąc poprawić mu humor.

Następnie ruszyłam w kierunku torby, by wyjąć laptopa.

– Co ty robisz? – zapytał Ziad, obserwując mnie.

– Muszę znaleźć numer telefonu tych Rosjanek. Ledwie przyleciały, a już zaczynają dokazywać. Chcą się spotkać jeszcze dzisiaj...

– Odłóż to natychmiast – rozkazał stanowczo, choć wiedziałam, że to rozkaz pełen troski. – I tak nigdzie cię już dziś nie puszczę, jest noc. A jeśli do nich zadzwonisz, będziesz próbowała wyjść.

Ziad miał rację. Właśnie tak by było.

– Ale jak się do nich nie odezwę, wściekną się.

– Wściekną się tak czy inaczej. Albo z powodu tego, że się nie odezwałaś, albo dlatego, że się spóźniłaś, choć wcale nie byłyście umówione. Albo wymyślą cokolwiek innego. Ludzie z przerośniętym ego wściekają się z byle przyczyny. Jedyne, co możesz zrobić, to tego ego nie karmić.

Miał absolutną rację, ale prawda była taka, że influencerzy żyją z osób, które dokarmiają ich wiecznie nienasycone ego – a ja nie mogłam sobie pozwolić na to, by Alona i Sasza opuściły Dubaj niezadowolone. Do ich wylotu było jednak jeszcze sporo czasu, postanowiłam zatem nie marnować tego, który mam ze swoim ukochanym. Wróciłam do łóżka i wtuliłam się w niego mocno. Tak na wszelki wypadek, by nie przyszło mi do głowy jednak sięgnąć po tego laptopa.

Rano spodziewałam się, że czeka mnie przeprawa, ale po cudownej nocy z moim wspaniałym chłopakiem nie byłam w stanie się zdenerwować, zwłaszcza że tego dnia do pracy jechaliśmy razem.

Sielanka skończyła się w chwili, gdy przekroczyłam próg hotelu. Czekał na mnie Mark, który natychmiast odciągnął mnie na bok, by wtajemniczyć mnie w sytuację, jaka miała miejsce tej nocy.

– Atmosfera jest bardzo napięta. Wiesz, że mamy tu kilka saudyjskich rodzin. Niektórzy już zdążyli złożyć skargi, grozili policją...

Natychmiast zrozumiałam, że jednak nie chodzi o spotkanie, na które nie dojechałam.

– Ale co się stało?

– Nikt ci jeszcze nie powiedział?

Moja zaskoczona mina chyba wystarczyła mu za odpowiedź, bo zaraz wyjaśnił:

– Te skończone kretynki upiły się niemal do nieprzytomności i postanowiły się wykąpać w basenie. A że nie miały kostiumów, zrobiły to zupełnie nago. Wiesz, że widok na zewnętrzny basen ma wiele pokoi. Zachowywały się tak głośno, że zwróciły na siebie uwagę gości. Są pewnie

tacy, którzy uznali to za dodatkową atrakcję, ale Saudyjczycy się wściekli. Twierdzą, że zdeprawowano im dzieci...

– Dzieci powinny w nocy spać – zauważyłam odruchowo.

– Jeśli taka będzie twoja linia obrony, musisz dobrze przemyśleć strategię – zgromił mnie Mark. – Najgorsze, że to trwało naprawdę długo, bo ochrona nie chciała zareagować. Na zmianie byli sami muzułmanie i odmówili interwencji w sprawie nagich lasek. Rosjanki pływały, dopóki im się nie znudziło.

– A potem?

– Poszły do pokoju i aż do teraz się nie pojawiły. Musisz to załatwić, bo będzie afera. Najlepiej idź od razu do Baracka.

Na drżących nogach ledwo trzymałam się w pionie. Barack był menedżerem hotelu odpowiedzialnym za obsługę klientów. Od samego początku bardzo mnie lubił, jednak do tej pory nie dawałam mu powodów, by było inaczej. Jego rodzice byli pakistańskimi emigrantami, ale on sam nie mógłby być bardziej brytyjski – dumny ze swojej doskonałej edukacji, królewskiego akcentu i imienia, które predestynowało do sukcesu, ale przyjazny i otwarty. Te dwie ostatnie cechy tego dnia głęboko ukrył. Gdy się u niego pojawiłam, Barack był mocno zirytowany. Ewidentnie się mnie spodziewał.

– Rozumiem, że o wszystkim już wiesz – zaczął oschle.

– Pewnie nie o wszystkim. Wiem, co się wydarzyło w nocy – odpowiedziałam, zbierając się w sobie.

– Mamy pięć skarg od wściekłych Saudyjczyków, którzy są u nas z rodzinami, a to dopiero początek. W sumie jest tu co najmniej dwadzieścia saudyjskich rodzin. Jak zaczną ze sobą rozmawiać, pewnie wszyscy złożą skargi. Jeden z nich zapowiedział, że rano pójdzie na policję. Masz pomysł, jak to załatwić?

Musiałam działać szybko.

– Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to próba porozmawiania z nimi. Może uda mi się ich udobruchać.

– Spróbuj, tylko weź ze sobą Marka. Niektórzy z nich są bardzo konserwatywni, mogą nie chcieć rozmawiać z kobietą. Aha, załóż *abaję* i *hidżab*. Nie chcemy ich dodatkowo zdenerwować.

Miałam w biurze dyżurną *abaję* właśnie na wypadek, gdybym musiała porozmawiać z gościem o bardzo konserwatywnych poglądach, ale do tej

pory jeszcze ani razu mi się nie przydała.

– Jeszcze jedno – dorzucił Barack. – Upewnij się, że Rosjanki pozostaną w swoim pokoju, dopóki sprawa nie przycichnie. Nie możemy zaognić sytuacji.

To żądanie wydawało mi się zdecydowanie trudniejsze do spełnienia. Na razie dziewczyny prawdopodobnie ciągle odsypiały swoje nocne występy, ale gdy się obudzą, nikt nie zatrzyma ich w apartamencie. Chyba że...

Stres zawsze sprawiał, że moja kreatywność wskakiwała na wyższy poziom. Wtedy właśnie wymyśliłam epidemię, na długo zanim pandemia COVID-19 zamknęła nas wszystkich w domach. Tu chodziło o to, by zamknąć tylko Rosjanki. Poprosiłam obsługę, żeby wartowali przy drzwiach dziewczyn, a gdy tylko te będą chciały wyjść, poinformowali je o konieczności pozostania w pokojach z powodu zagrożenia epidemią.

– To dla bezpieczeństwa naszych gości – recytowała przez maseczkę miła Filipinka. – Jesteśmy do pań dyspozycji. Dostarczymy paniom wszystko, czego potrzeba. Sprawa powinna się wyjaśnić w ciągu kilku godzin, ale na razie musimy o panie zadbać w ten sposób. Prosimy o cierpliwość i dziękujemy za wyrozumiałość.

Było pewne, że influencerki wykorzystają tę okazję do zrobienia dramy w internecie, ale nie to było teraz moim największym problemem. Ku mojemu zdziwieniu nieco ponad dwie godziny później połączyły się ze swoimi obserwującymi, organizując live znad królewskiego śniadania, które dostarczono im pod drzwi. Opowiedziały o strasznym zagrożeniu i o tym, w jak fantastyczny sposób nasz hotel z nim walczy. „Możecie być pewni, że jeśli zdarzyłoby się to podczas waszego pobytu, zadbają o was i wasze bezpieczeństwo”, piałą z zachwytem.

Ten problem zdawał się rozwiązany. Liczyłam na to, że z resztą pójdzie równie sprawnie. Ale nadzieje okazały się płonne.

Każdej z rodzin, która złożyła zażalenie, jeszcze przed południem wysłaliśmy niezwykle bogaty kosz luksusowych słodkości. Z reguły znajduje się też w nich drogi alkohol, ale ten mógłby tylko pogorszyć sprawę. Do koszy dołączyliśmy drukowane na drogim papierze przeprosiny wraz z prośbą o rozmowę.

Jako pierwszy, dosłownie chwilę po otrzymaniu przesyłki, zgłosił się do nas saudyjski biznesmen Salman Noor. Mężczyzna należał do tych nielicznych w dzisiejszych czasach, którzy mają po dwie żony, a że

przyjechał z obiema, zarezerwował jednocześnie aż trzy apartamenty. Nietrudno się domyślić, jak cenni są dla każdego hotelu czy resortu tacy goście. Noor okazał się nie tylko pierwszym, który chciał rozmawiać o wydarzeniach poprzedniej nocy, ale też pierwszym, który zgłosił problem recepcji.

Zaprosiliśmy go do pokoju wynajmowanego na spotkania biznesowe. Do przytulnej sali prowadzi elegancka recepcja, a tuż za nią znajduje się przedsionek ze stołem bankietowym. Tego dnia blat uginał się od delikatesów, zupełnie jakbyśmy mieli nadzieję, że kalorie zneutralizują wściekłość naszych gości. Noor jednak nie był zainteresowany ani jedzeniem, ani piciem. Był wściekły i jedyne, na co miał ochotę, to wykrzyczenie tej złości.

– Bardzo przepraszamy za to, co zaszło – zaczął Mark, słusznie zakładając, że konserwatywny Saudyjczyk z dwiema żonami raczej nie będzie chciał omawiać tych tematów z kobietą.

– Nic, co powiesz, nie zmieni tego, że moje żony są wstrząśnięte – zastrzegł Noor. – Wiecie, ile to mnie teraz będzie kosztowało? Moje dzieci to widziały! Przecież to miał być rodzinny resort. Jakbym chciał narażać swoją rodzinę na towarzystwo dziwek, wybrałbym inne miejsce!

Nie byłam pewna, ale obstawiałam, że doskonale wiedziałyby, który hotel wybrać.

– Faktycznie, nie mamy wiele na swoje usprawiedliwienie – powiedział cicho Mark.

– Mam nadzieję, że te kurwy siedzą już w więzieniu!

– Tak, zostały aresztowane natychmiast po pana skardze – skłamał z niebywałą łatwością.

W pierwszym odruchu byłam z niego dumna, szybko jednak zdałam sobie sprawę, jak bardzo ryzykowna jest to taktyka. Zatrzymanie Rosjanek w apartamencie z powodu niewyjaśnionej epidemii było jakimś rozwiązaniem, ale przecież nie zadziała na dłuższą metę. Alona i Sasza były głośne i nieokiełznane. Potrzebny byłby cud, by ktoś z rodziny Salmana Noora – albo on sam – nie wpadł na nie przypadkiem.

– Bardzo dobrze. Takie grzesznice trzeba tępić – perorował wzburzony konserwatysta. – Gdyby to było w moim kraju, długo by z więzienia nie wyszły.

– W Dubaju pewnie je wypuszczą, ale za swoje dostaną...

– Mam nadzieję, że nie przyjmiecie ich tu więcej.

– O nie, nie! Bardzo zależy nam na komforcie takich gości jak pan i pana rodzina. Wspomniał pan o kosztach, jakie poniesie...

– Tak, moje żony już się wybierają na zakupy. Wykorzystują każdą taką okazję, by mnie naciągnąć – pożalił się Noor.

– Takie są kobiety – rzucił Mark, jakby był ekspertem w temacie. – Ale mam dla pana dobrą wiadomość. Może pan nie oszczędzać na zakupach, bo pokryjemy koszty państwa dotychczasowego pobytu w naszym kurorcie.

W oczach Salmana Noora zaświeciły się ogniki, a jego dotychczas spięta nerwami twarz rozluźniła się w uśmiechu.

– Wspaniale. Wiedziałem, że wybór waszego resortu był właściwy. Każdy popełnia błędy, ale nie każdy potrafi je tak sprawnie naprawiać – pochwalił nas, a wkrótce potem uradowany wrócił do siebie.

– No to jeszcze pięć razy to samo i kryzys mamy z głowy – westchnął z ulgą Mark.

– Jeszcze Rosjanki – zasugerowałam.

– A to już twój problem. Ja pomogę ci załatwić temat Saudyjczyków, którzy udają obrażonych.

– Udają? Przecież facet był wściekły.

– Daj spokój. Nacieszył oczy dwiema nagimi łaskami. Uwierz mi, nie doznał żadnego uszczerbku na psychice. Udają, bo wiedzą, że mogą na tym coś ugrać. Zachowują się jak ci twardzi piłkarze na boisku, którzy zwijają się z bólu po lekkim pchnięciu, by doprowadzić do osłabienia drużynę przeciwnika.

Rzeczywiście to wyglądało na całkiem przemyślaną taktykę. Mark i ja w ciągu kolejnych dwóch godzin załagodiliśmy kryzys z Saudyjczykami. Do rozwiązania został mi jeszcze tylko problem z Rosjankami. Zastanawiałam się, co mogłabym zrobić, by nie doprowadzić do ich spotkania z saudyjskimi rodzinami, ale nic nie przyszło mi do głowy. Nasz resort był naprawdę olbrzymi, ale musiałabym chyba wszczepić im wszystkim jakieś czujniki, by nie doprowadzić do ich spotkania.

Jedynym sposobem było wyprowadzenie Alony i Saszy z hotelu. Musiałam zrezygnować z promocji na ich kanale, by ratować sytuację. Byłam niepokieszona, bo w sumie to przez ich zachowanie do tego doszło, ale przecież nie mogłam im tego powiedzieć. Były przekonane, że siedzą

zamknięte w apartamencie z powodu ryzyka zakażenia się jakąś dziwną chorobą.

Wysłałam im ten sam zestaw słodczy, jaki otrzymali Saudyjczycy, tym razem wzbogacony o alkohol, choć wiedziałam, że to spore ryzyko. Choć z drugiej strony i bez tej przesyłki dziewczyny raczej nie miałyby kłopotu ze zdobyciem procentów. Zaraz po tym, jak otrzymały przesyłkę, zadzwoniłam do ich pokoju. Miałam już gotowy plan i propozycję przeniesienia ich do hotelu naszej grupy w Downtown Dubai.

– Bardzo mi przykro, że utknęłyście w apartamencie... – zaczęłam.

– To nic takiego. Miałyśmy ciężką noc, więc i tak musiałyśmy odespać.

– Ciężką noc? – udawałam zaskoczenie.

– Tak świetnie się bawiłyśmy, że nie zauważyłyśmy, kiedy się skończyła!
– zaśmiała się Sasza.

– W takim razie wszystko w porządku – odpowiedziałam z ulgą. – Mam tylko obawy, że nie jesteśmy w stanie określić źródła epidemii. Wielu naszych gości choruje...

– A co im jest? Jakie mają objawy?

– To wygląda na coś podobnego do grypy, ale tak naprawdę wciąż dokładnie nie wiadomo.

– W takim razie my zostaniemy w apartamencie, dopóki sprawa się nie wyjaśni.

– Ale to może potrwać kilka dni – zawahałam się. – Oczywiście w tym czasie dostarczymy wam wszystko, czego sobie zażyczycie...

– Doskonale, więc zostajemy. My mamy taką teorię, że z bakteriami i wirusami trzeba postępować według specjalnych reguł. To trochę tak jak z genetyką. Jeśli z kimś przebywasz zbyt często, czasami musisz się od niego odizolować, żeby przerwać krąg mutacji wewnętrznych. Dlatego z Aloną i naszą ekipą wykorzystujemy podróże do tego, by przerwać te kręgi. A w przypadku epidemii, kiedy wirusy albo bakterie tworzą imperia infekcyjne i atakują ze zdwojoną siłą, trzeba się schować, a następnie zniknąć w najmniej spodziewanym momencie, gdy atakujące zarazki śpią.

Miałam wrażenie, że Sasza w to wszystko święcie wierzy, bo mówiła z godnym podziwu przekonaniem. Przy okazji wyjaśniła się zagadka, dlaczego dziewczyny przybyły do hotelu osobno. Nie miałam pojęcia, że przyleciały innymi samolotami, ale skoro miało to pomóc „przerwać krąg mutacji”, to wszystko jasne.

Musiałam się bardzo starać, by nie wybuchnąć śmiechem. Kilka lat później, gdy podczas prawdziwej pandemii internet zalały idiotyzmy influencerek wypowiadających się na tematy naukowe bez żadnego przygotowania, wspomniałam Alonę i Saszę. Trzeba przyznać, że chyba nikomu nie udało się tak wyprzedzić trendów. Głupoty na temat bakterii i wirusów wygadywały długo przed tym, jak stało się to modne.

Tymczasem Rosjanki zrealizowały swój plan i zniknęły z hotelu dwa dni później, nikomu nie mówiąc ani słowa. Zupełnie jakby ta informacja miała obudzić śpiące w tym czasie bakterie lub wirusy. Z ich relacji w internecie wiem, że na własny koszt zostały w Dubaju jeszcze kilka dni. Relacjonowały osobno, zapewne dlatego, że po kwarantannie konieczne było natychmiastowe „przerwanie kręgów”.

Co ciekawe, nasz resort został przez nie wyniesiony pod niebiosa. Były zachwycone, chwaliły i zapraszały. Nie wspomniały ani słowem o wymyślonej epidemii, ale sądząc po liczbie rosyjskich rezerwacji, ich pobyt, choć kłopotliwy jak atak groźnych wirusów, okazał się sporym sukcesem. Zaś słowo *influenza*, którym tak chętnie posługiwał się Mark, nabrało w naszym słowniku nowego znaczenia.

ROZDZIAŁ 8

Pielgrzymi

Resort, z którym pozostawałam w Dubaju związana najdłużej, jest zdecydowanie jednym z najbardziej luksusowych oferujących opcję *all inclusive*. Położony na wyspie Palm Jumeirah, oferuje wszystko, co potrzebne do spędzenia wymarzonych wakacji. Ma prywatną plażę, odkryty basen, bezpłatny parking, centrum fitness, kilka tarasów, centrum biznesowe, klub dla dzieci, bezpłatne wi-fi. Jest gustownie urządzone, zachwyca przestronnością i zapewnia gościom niekłamane poczucie uczestniczenia w czymś absolutnie wyjątkowym. Stonowany przepych wewnątrz sprawia wrażenie, że wszystko jest tu drogie, ale jednocześnie niczego nie jest za dużo. Jakby ktoś z aptekarską precyzją odmierzał proporcje w wystroju każdego, nawet najmniejszego pomieszczenia.

Tego umiaru trudno jednak szukać w restauracjach. Tutaj nikt nigdy nie oszczędzał. W kurorcie działały trzy ogólnodostępne restauracje, choć okresowo jedna z nich była zamykana, gdy gości było mniej. Poza tym popisowe dania *à la carte* serwowane były w dwóch dodatkowych, otwieranych wieczorami przy wcześniejszej rezerwacji.

Promowanie tego zachwycającego resortu nie było trudnym zadaniem – znacznie trudniej byłoby znaleźć jego wady – ale za każdym razem, gdy w jego progach witał gość, od którego opinii sporo zależało, bałam się, że jednak nie uda mi się go zachwycić.

Przez lata mojej pracy hotel odwiedziło wielu znanych w internecie Polaków. Większość zachowywała się fantastycznie, byli przyjaźni, wiedzieli, czego od nich oczekujemy, i robili wszystko, by nas zadowolić. Zresztą z wzajemnością. Mieli powody, by pobyt u nas wspominać naprawdę dobrze – i równie dobrze mówić o nim w swoich mediach. W tej

grupie pojawiła się tylko jedna osoba, która z pewnością miała odmienne odczucia.

Nazwijmy ją Mara, sama używa dość oryginalnego pseudonimu, a ten wydaje się bliski koszmarowi, w którym przypadło jej grać główną rolę. Pech chciał, że pobyt Mary w Dubaju przypadał na czas ramadanu, ale sama wybrała ten termin, co więcej – w czasie, gdy korespondowałyśmy, była bardzo podekscytowana możliwością przyjrzenia się z bliska celebracji świętego miesiąca islamu w muzułmańskim kraju. Podekscytowana do tego stopnia, że zanim jeszcze przyleciała do Emiratów, nagrała kilka rolek o ramadanie. I choć podawała w nich raczej podstawowe, dostępne w Wikipedii informacje, z zasłoniętą głową i arabskimi dźwiękami w tle brzmiała jak prawdziwa ekspertka.

Zanosiło się na to, że Mara będzie w stanie przyciągnąć do naszego resortu sporo zainteresowanych Dubajem turystów w okresie, w którym wielu z nich rozmyślnie nas omija. Oczywiście nie jest tak, że w czasie ramadanu turyści nie odwiedzają Dubaju, ale wielu, zwłaszcza tych z krajów Zachodu, stwierdza, że na wakacjach nie chce ograniczeń, dlatego wybiera inne terminy.

Ich miejsce uzupełniają często turyści z Bliskiego Wschodu, którzy mocno naciągając koraniczne zapisy, traktują wyjazd jako sposób na uniknięcie trudnego dla wielu przestrzegania postu od świtu do zmierzchu.

Zachowanie postu w okresie ramadanu jest obowiązkiem każdego muzułmanina i jednym z pięciu filarów islamu, ale są ludzie, którzy nie muszą się do tej reguły stosować. Z poszczenia zwolnione są osoby chore, bardzo stare i niedołążne oraz kobiety w ciąży i matki karmiące. Gorzej z mężczyznami młodymi, w pełni sił, których organizm pozwala na utrzymanie głodówki, ale nie mają do niej chęci. To właśnie oni najczęściej korzystają z oferty turystycznej w czasie ramadanu, bo hadisy mówią o tym, że z utrzymywania postu mogą być zwolnieni również podróżujący.

Pielgrzymka do znajdującej się w Arabii Saudyjskiej Mekki również jest filarem islamu, ale podczas gdy miliony muzułmanów jadą do tego kraju, by wypełnić swoje religijne obowiązki, wielu z nich z Arabii wyjeżdża, by swoiście pojmowaną pielgrzymką uniknąć trudności związanych ze świętym miesiącem.

Ich zdaniem wszystko jest zgodne z prawem boskim, bo podróżni głodować nie muszą. Oczywiście w czasie, gdy powstawały hadisy mówiące o tych

wykluczeniach, podróżowało się w karawanach z wielbłędami. Wtedy już sama droga była potężnym wyzwaniem. Trudne warunki atmosferyczne, niebezpieczne tereny i kłopoty z utrzymaniem jedzenia w świeżości mocno utrudniały poszczenie w określonych godzinach.

Dziś podróżuje się komfortowo, z upałami walczy klimatyzacja, a jedzenie przechowywane jest w lodówkach. Trudno więc uznać, że podróż jest przeciwwskazaniem do utrzymania postu, zwłaszcza krótki lot z Arabii Saudyjskiej, bo stamtąd najczęściej przylatują ci, którzy chcą sobie w tym zakresie pofolgować. Ich interpretacja zapisów jest naprawdę bardzo szeroka i dla wielu pewnie dość zaskakująca. Podróżą nie nazywają bowiem samego lotu i transferów na i z lotniska. Dla nich podróż to cały pobyt poza krajem zamieszkania. Wielu muzułmanów krytykuje tę wyraźną nadinterpretację, ale ma ona też sporo obrońców.

Jeszcze dwie dekady temu celem podróży ramadanowych uciekinierów była najczęściej Europa, gdzie nie musieli się tłumaczyć z tego, dlaczego nie utrzymują postu, ale od kiedy Dubaj stał się turystyczną mekką, a z czasem mocno poluzowano tu przepisy dotyczące zachowania w czasie ramadanu, do emiratu zaczęły ściągać tysiące muzułmanów.

Mara dotarła do naszego resortu w czasie, gdy przeżywał on oblężenie pielgrzymów sceptycznych wobec umiarkowania w jedzeniu i picciu. Ale wbrew pozorom właśnie ich podejście do postu spowodowało najwięcej kłopotów.

Już wtedy w Dubaju obowiązywało prawo, które pozwalało restauracjom na obsługiwanie klientów i serwowanie posiłków w dzień pod warunkiem, że zostaną one zasłonięte grubymi kotarami lub panelami, tak żeby osoby postronne nie mogły zajrzeć do środka. Chodziło o to, by nie utrudniać życia tym, którzy poświęcają się głodówce, i nie kusić ich pełnymi talerzami czy smakowitymi zapachami. W hotelach, które oferowały opcję *all inclusive*, było to rozwiązanie zbawienne i w zasadzie jedyne możliwe. Strach pomyśleć, co by się działo, gdyby odciąć ich klientów od możliwości nielimitowanego korzystania z restauracji i barów od świtu do zmierzchu.

Mara przyjechała do hotelu ubrana w zwykły dres. Na twarzy miała ogromne okulary przeciwsłoneczne, z przedramienia zwisała jej torebka,

również spora. W dłoniach trzymała paszport, telefon i bidon z wodą. Podeszła do recepcji, zameldowała się, po czym ruszyła w kierunku windy. Wtedy została zatrzymana przez młodego chłopaka w *thobie*, który zagroził jej drogę i zażądał, by natychmiast schowała butelkę.

Mara była kompletnie zaskoczona. Przez chwilę zastanawiała się, co powinna zrobić. A potem, wbrew temu, czego przed przyjazdem nauczyła się o zasadach dotyczących ramadanu, wybrała opcję, która miała podkreślić jej niezależność. Nie tylko nie schowała butelki, ale ostentacyjnie zdjęła pokrywkę i napiła się z niej.

Mężczyzna zaczął natychmiast krzyczeć i domagać się jej aresztowania.

– *Sharmouta!* – wyzywał ją po arabsku od prostytutek.

Mara zdawała się niewzruszona. Ominęła krewkiego muzułmanina i ruszyła w kierunku windy. Ten jednak nie zamierzał dać za wygraną. Złapał ją za włosy i pociągnął tak, że zmuszona była zawrócić i znowu stanęła naprzeciwko niego. Był bliski wymierzenia jej ciosu, gdy wreszcie ochrona zareagowała i obezwładniła go, odciągając od kobiety. Saudyjczyk wciąż się przy tym rzucał i wyzywał.

– Czy wszystko w porządku? – spytał recepcjonista, który też dobiegł na miejsce zdarzenia.

Mara nie należała do kobiet, które pokazują swoją słabość, więc zapewniła, że tak, wszystko jest w porządku.

– Mam nadzieję, że zgłosicie to policji – powiedziała jednak.

Niestety odpowiedź recepcjonisty jej nie usatysfakcjonowała.

– Wzywamy policję do naszych gości tylko w poważnych przypadkach – odparł. – Ale porozmawiamy z panem Qureshim i jestem przekonany, że podobna sytuacja już się nie powtórzy.

– Poważnych przypadkach? – prychnęła Mara. – Uważa pan, że atak na kobietę to nie jest poważny przypadek?

– Ale to nie był atak. Pan Qureshi był po prostu zdenerwowany... – recepcjonista tylko się pogrązał, nie mając pojęcia, po jak kruchym stąpa lodzie.

– Jeśli nie wezwiecie policji do tego dupka, sama to zrobię!

– Odradzałbym, *ma'am*.

– Tak, twoje zdanie w tej sprawie już znam, ale nikt cię nie prosił o opinię.

Mara była wściekła. Nie zamierzała kontynuować tej rozmowy i natychmiast ruszyła do windy. Tymczasem recepcjonista zadzwonił do mnie, by opowiedzieć o całym zajściu i ostrzec, że moja podopieczna chce złożyć skargę na policję.

Sytuacja była patowa. Wiedziałam, że Mara myśli polskimi kategoriami, ale mieszkałam już w Dubaju na tyle długo, by wiedzieć, że raczej stoi na straconej pozycji. Natychmiast przejrzałam nagrania z monitoringu. Widać na nich dokładnie rozwścieczonego mężczyznę, który wyzywa i szarpie za włosy kobietę, ale widać też, jak ta kobieta pije na jego oczach wodę ze swojego bidonu. Dziś taka sytuacja nie byłaby podstawą do kłopotów z policją, choć lepiej z grzeczności ich unikać, ale wtedy, pijąc publicznie, można było wpaść w tarapaty, nawet nie będąc wyznawcą islamu.

Gdybym dopuściła do konfrontacji z policją, Mara mogłaby nawet zostać aresztowana. Wszystko zależałoby od tego, na kogo byśmy trafiły – ale jeśli policjant sam przestrzegałby postu, bezwarunkowo stanąłby po stronie Saudyjczyka.

Wchodzenie w spory z obywatelami krajów Zatoki Perskiej nigdy nie jest dobrym pomysłem, a już na pewno nie, gdy są one mocno zaognione wulgarnymi słowami i gestami. Lokalsi są z reguły bardzo spokojnymi, grzecznymi i uprzejmymi osobami, ale w konfliktach potrafią pokazać gwałtowną naturę. Jeśli dojdzie do tego typu sytuacji i zaangażuje się w nie policja, jako turyści albo rezydenci z Zachodu raczej nie mamy szans, dlatego należy unikać tego za wszelką cenę.

Przekonało się o tym już wielu przybyszów z zagranicy. Jedną z głośniejszych spraw ostatnich lat był szeroko dyskutowany w mediach społecznościowych przypadek młodej Thierry Allen, tiktokerki znanej jako Sassy Trucker. Na swoim kanale Allen dokumentuje swoje przygody, które przeżyła jako kobieta prowadząca ogromne tiry. Jej pobyt w Dubaju związany był właśnie z jej działalnością na TikToku. Kobieta postanowiła wynająć tam samochód, ale nieporozumienie podczas transakcji doprowadziło do mocno zaognionej kłótni. Na swoje nieszczęście zdenerwowana Tierra Allen głośno wyraziła swoje niezadowolenie, czym sprowokowała wezwanie policji. Niedługo potem została aresztowana i skazana na dwa lata więzienia.

Musiałam z nią natychmiast porozmawiać. Na szczęście miałam numer jej komórki; Mara była jedną z tych influencererek, które podróżowały same, same robiły zdjęcia i filmy, same też kontaktowały się z klientami.

– Cześć, Mara, tu Kasia... Słyszałam o ataku. Jestem wstrząśnięta. Czy masz może czas, żeby się ze mną spotkać? – zaczęłam, próbując dać jej do zrozumienia, że jestem po jej stronie. Prywatnie rzecz jasna byłam, bo moim zdaniem nic nie uzasadnia ataku na drugą osobę, zwłaszcza z tak błahego powodu, ale zawodowo musiałam podejść do tematu obiektywnie.

– Pewnie, wpadaj. Chętnie poznam cię osobiście – powiedziała Mara, jakby nic się nie stało.

Byłam na jej piętrze w ciągu kilku minut. Mara była już po prysznicu. Paradowała po swoim apartamencie w górze od bikini i długiej, szerokiej, lekko prześwitującej spódnicy. Wyglądała jak rasowa modelka. Budziła zachwyty i zazdrość – a to najlepsza rekomendacja dla wziętej influencerki.

– Przyniosłam szampana! – rzuciłam, prezentując butelkę limitowanej edycji Veuve Clicquot. To jeden z naszych wabików na influencerów. Podaruj takiemu butelkę darmowych bąbelków, a na pewno pochwali się tym w swoich mediach społecznościowych.

– Fantastycznie! – zapiała w zachwycie. – Powinnyśmy wznieść toast, wrzucić fotę na insta i otagować tego kretyna... Qureshi, tak? Zaraz spróbuję go znaleźć...

To mówiąc, Mara złapała za swój telefon i zaczęła przeglądać konta.

– Nie rób tego, proszę – rzuciłam w panice, choć nawet nie zrobiła jeszcze zdjęcia.

Spojrzała na mnie wzrokiem, w którym widać było poczucie zdrady.

– Myślałam, że jesteś po mojej stronie – powiedziała z wyrzutem.

– Bo jestem. Ale takie zdjęcie, zwłaszcza wrzucone w ciągu dnia, może tylko pogorszyć sprawę.

– Ale przecież nie ma żadnej sprawy. Policja powinna go aresztować za atak na kobietę. To jest przestępstwo. Wznoszenie toastów nie. W Dubaju wszyscy je wznoszą. Instagram pęka w szwach od takich zdjęć.

Mara wyraźnie była ofiarą inscenizowanego świata, w którego kreowaniu sama po części uczestniczyłam, dlatego pretensje mogłam mieć tylko do siebie.

– Owszem, jest mnóstwo takich zdjęć – przyznałam. – Ale trzeba wiedzieć, kiedy to robić. Jeśli wrzucisz fotkę w ciągu dnia, dla

wrażliwszych muzułmanów będzie to ewidentny dowód na to, że robisz sobie żarty z islamu.

– Wrażliwszych czy przewrażliwionych? – mruknęła.

– Jedno i drugie, ale to nie ma znaczenia. Qureshi ma cię na celowniku. Jeśli się dowie, kim jesteś, naprawdę może ci narobić kłopotów.

– Ja jemu też.

– Mara, będę szczerą... – westchnęłam. – Tutaj masz związane ręce. Nic mu nie zrobisz. Jest muzułmaninem, jest ramadan, on utrzymuje post, a ty piłaś w dzień w jego obecności. Zarejestrowały to kamery. Zdjęcie na Instagramie tylko przypieczętuje twoją winę.

– Ale to do niego powinna przyjechać policja. To on mnie zaatakował.

– Masz rację. Ale tutaj to tak nie działa. Możesz być mu wdzięczna, że nie wezwał jej do ciebie.

– Chyba żartujesz! – wrzasnęła rozwścieczona.

– Mara, nie żartuję. I nie ja ustalam tu prawa...

– Ale wyraźnie nie masz nic przeciwko takiemu traktowaniu kobiet.

– To nie ma nic wspólnego z tym, że jesteś kobietą. Mężczyzna zostałby potraktowany dokładnie tak samo. Policja w czasie ramadanu zawsze stanie po stronie poszczącego muzułmanina i koniec. Musisz to zaakceptować.

– Nigdy nie zaakceptuję tak jawnej niesprawiedliwości!

– Chciałabym, żebyś miło spędziła u nas czas i miała z tego pobytu jak najmiłsze wspomnienia – powiedziałam łagodnie.

– Czy raczej żebym zareklamowała ten wasz hotelik? – rzuciła z sarkazmem.

– Wiesz, że właśnie dlatego zapraszamy tu influencerów. Mam nadzieję, że gdy emocje już opadną, zrozumiesz, że nasz resort nie ma nic wspólnego z tą niefortunną sytuacją.

Niedługo potem opuściłam jej apartament. Mara jednak nie zamierzała pozwolić, by emocje opadły. Była wściekła i miała zamiar pokazać to światu. Popełniła jednak klasyczny błąd, który zdarza się wielu osobom po raz pierwszy odwiedzającym Dubaj lub inne miejsca w tym regionie. Chciała zmienić zasady, które jej się nie podobały. Problem w tym, że nikt tu nie pytał jej o opinię w tej kwestii.

Następnego dnia koło południa zeszła na lunch do jednej z restauracji. Ku swojemu zdziwieniu przy suto zastawionym stole zastała „głodującego” Saudyjczyka, który jeszcze wczoraj siłą próbował przywołać ją do

porządku. To wtedy wpadła na genialny w swej prostocie pomysł. Postanowiła z ukrycia udokumentować ucztę, jakiej z lubością oddawał się muzułmanin w czasie, gdy jego bracia w wierze umartwiali swoje ciała głodem i pragnieniem. Oczywiście w tej restauracji Qureshi nie był jedynym odzianym w *thobę* mężczyzną, który pałaszował lunch.

Mara nagrała film ukazujący biesiadników i opatrzyła go nagrany w języku angielskim sarkastycznym komentarzem mówiącym w skrócie o „trudach postu pobożnych muzułmanów w czasie ramadanu”. Dolewając oliwy do i tak buchającego już ognia, wrzuciła go do sieci, tagując nasz resort. W ten sposób rolka w błyskawicznym tempie dotarła do Mohammada Qureshiego, który natychmiast skomentował ją po arabsku, obiecując Marze kłopoty.

Policja przyjechała dwie godziny później. Ku wielkiemu zaskoczeniu influencerki, która choć sama domagała się interwencji stróżów prawa, zupełnie nie brała pod uwagę, że ich uwaga skupi się na niej. Funkcjonariusze zaskoczyli ją w apartamencie i bez słowa uprzedzenia zakuli w kajdanki. Dopiero wtedy jeden z nich poinformował ją, że zostaje zatrzymana z powodu nękania i szydzenia z islamu.

Już pierwszy zarzut brzmiał poważnie. Drugi zapowiadał prawdziwe kłopoty. Kiedy dowiedziałam się o aresztowaniu Mary, musiałam natychmiast powiadomić Baracka i błagać go o wstawiennictwo. Jeśli był ktoś, kto mógł odwrócić bieg zdarzeń, to tylko on. Nie mam pojęcia jak, ale rzeczywiście udało mu się przekonać policjantów do odstąpienia od czynności. Mara najadła się strachu, jednak odzyskała wolność, jeszcze zanim na dobre ją straciła. Została zmuszona do tego, by usunąć ze swojego telefonu cały nagrany w Dubaju kontent i wszystko, co zdaniem funkcjonariuszy naruszało dobre imię muzułmanów. Nie była oczywiście z tego powodu zadowolona i konsekwentnie próbowała bronić swoich racji.

– Karzecie mnie, a muzułmanie, którzy powinni utrzymywać post, jedzą w ciągu dnia i nic! – rzucała argumenty nie bez racji.

Nie trafiały one jednak na podatny grunt. Trudno, by jakikolwiek muzułmanin przejął się lekcjami religii od niemuzułmanki.

– Ci mężczyźni są w podróży, mogą jeść – odparł policjant. – To ty łamiesz tu prawo...

Mara nic więcej nie powiedziała. Bała się z tym dyskutować, bo sądząc po wzroku i tonie mężczyzny, istniało duże ryzyko, że jeśli nie zamilknie,

obrażki wróca na jej nadgarstki.

Nie miałam nadziei, że po tym, co się wydarzyło, jej wizyta przyniesie hotelowi jakąś pozytywną promocję, ale spotkało mnie miłe zaskoczenie. Mara wystawiła nam doskonałą opinię, a zdjęcia, które wrzuciła do sieci, sprawiały, że człowiek aż się palił do rezerwowania pobytu. Ani słowem nie wspomniała o aresztowaniu i problemach z Qureshim. Być może ktoś rozsądny ostrzegł ją, że tego typu materiały mogą jej poważnie zaszkodzić w przypadku, gdyby kiedykolwiek chciała tu wrócić. A może po prostu zrobiła to, co wszyscy – dała Dubajowi bezkrytyczne pięć gwiazdek.

Dubaj ma w sobie coś niezwykłego, co każe praktycznie wszystkim influencerom (choć nie tylko), którzy go odwiedzają, mówić o nim dobrze. Bardzo możliwe, że po prostu nic innego się nie sprzeda, może nic innego nie zostanie przyjęte przez wpatrzonych w media społecznościowe odbiorców, a może po prostu ładne obrazki na tle Burj Khalifa i na hotelowych tarasach pasują do Instagrama dużo lepiej niż prawda.

Nie od dziś wiadomo, że tej w mediach społecznościowych raczej próżno szukać.

Krytyczne publikacje na temat Zjednoczonych Emiratów Arabskich, nawet rozpowszechniane przez osoby niemające wielkich zasięgów, nie spotykają się z przychylnością władz. Przekonało się o tym już wielu przypadkowych turystów i rezydentów. Niektóre z ich historii trafiały do mediów. Inne, ze strachu przed dalszymi reperkusjami, kończyły się na karze wymierzonej przez władze Dubaju i zostawały zamiecione pod drogi perski dywan.

W 2022 roku głośna była sprawa Nigeryjki Dichi Lar, która opowiedziała, co ją spotkało, po tym, jak wyszła z dubajskiego więzienia, gdzie spędziła kilka miesięcy za opublikowanie postu na Twitterze.

Po przylocie do Dubaju Dichi znalazła się w grupie kilku osób, które zostały zatrzymane do wyjaśnienia. Bez informacji, co jest nie tak z ich wizami turystycznymi, zostali zamknięci w jednym z pomieszczeń na lotnisku. Według zeznań kobiety pilnujący ich funkcjonariusze byli bardzo niemili, krzyczeli na nich i obrażali. W tym czasie Dichi nakręciła swoim telefonem filmik pokazujący nieuzasadnione aresztowanie. Wrzuciła go do sieci, tagując w nim konta dwóch nigeryjskich polityków i znanego influencera.

Siedem godzin po przylocie, nadal bez żadnych wyjaśnień, grupa została wypuszczona i po dopełnieniu kilku formalności mogła ruszyć do Dubaju. Dichi

spotkała się z siostrą, która przyleciała do Dubaju dwa dni wcześniej na identycznej wizie bez najmniejszych problemów. W dniu wylotu kobieta została zatrzymana na lotnisku po tym, jak jej odprawę zablokowano. Tym razem próba wyjaśnienia sytuacji zakończyła się aresztowaniem. Trzy tygodnie później odbyła się rozprawa. Kobieta została skazana za „napaść na funkcjonariusza”, którą miało stanowić opublikowanie filmu dokumentującego jego zachowanie wobec turystów. Zgodnie z wyrokiem miała trafić na rok do więzienia. Po skutecznej apelacji karę skrócono do trzech miesięcy.

Nie tylko świeżo opublikowane posty mogą przysporzyć kłopotów turystom podróżującym do i przez Zjednoczone Emiraty Arabskie. Gwiazda brytyjskiej edycji programu *Love Island* Kaz Crossley została aresztowana w 2023 roku w Abu Dhabi w trakcie przesiadki, gdy czekała na lot do Bangkoku. Powodem jej kłopotów był opublikowany trzy lata wcześniej filmik z imprezy w Dubaju, na którym zdaniem władz można było dostrzec narkotyki.

W 2021 roku sąd w Dubaju skazał na wysoką grzywnę i pół roku pozbawienia wolności 34-letniego Bengalczyka, który pracował jako kelner. W wolnym czasie, dla zabawy, sfilmował jeden z parkingów w mieście, do filmu dodał dźwięki wystrzałów i krzyki ludzi. Opublikowane nagranie zdobyło w sieci sporą popularność. Niestety dotarło też do władz, które aresztowały mężczyznę.

Wakacyjne kurorty, do których na urlop przyjeżdżają ludzie z całego świata, jak w soczewce skupiają wszelkie różnice kulturowe. Widać je tu znacznie lepiej niż w hotelach, gdzie podróżni zatrzymują się z powodów często innych niż turystyczne. Goście hoteli rzadko wchodzą ze sobą w interakcje, z reguły są sobie nawzajem obojętni. W resortach widują się na co dzień, obserwują się, czasami nawiązują znajomości, nierzadko też wchodzą w konflikty.

Nawet najbardziej wyluzowani muzułmanie w czasie ramadanu stają się spięci. Trudno o większy festiwal hipokryzji niż miesiąc postu w wykonaniu kochających zabawę młodych chłopców, na chwilę przebierających się w szaty pobożnych islamistów. Obserwowałam to wielokrotnie w czasie, gdy odbywali swoje ramadanowe pielgrzymki do Dubaju, pozostając w miesięcznej podróży zwalnającej ich z trudów cnotliwości, tak jak piętnasty pogrzeb babci zwalniał z klasówki.

Sytuacja z Marą nie była jedynym przykładem konfliktu wywołanego przez okazjonalny przypływ pobożności.

Podczas gdy nikt nie oczekuje od turystów odwiedzających Zjednoczone Emiraty Arabskie, że będą pościć, wskazane jest, by powstrzymali się oni od spożywania posiłków i napojów w miejscach publicznych w ciągu dnia. W przeszłości takie zachowanie było ścigane przez policję i karane. Dziś jest jedynie uznawane za brak uprzejmości, choć bywa, że mniej łaskawy policjant może uprzykrzyć turyście życie mandatem za bliżej nieokreślone nieobyczajne zachowanie.

W hotelach generalnie nie obowiązują żadne ograniczenia, a restauracje nie są już zamykane w czasie ramadanu, jak to bywało jeszcze dekadę temu. Spożywanie alkoholu w miejscach z licencją jest dozwolone nawet w okresie świętego miesiąca, ale już za palenie papierosów w miejscu publicznym grozi wysoki mandat.

W miejscach publicznych warto przestrzegać przyjętych tu zasad, które z dużym naciskiem są egzekwowane właśnie w okresie ramadanu. Należy ubierać się skromnie, unikając obcisłych i prześwitujących ubrań, być grzecznym i przyjacielskim, unikać agresji i wulgarnej mowy, zachowywać się spokojnie, powstrzymać się od krzykliwych emocji i świętowania. To czas zadumy, więc należy zachowywać się cicho, nie puszczać głośnej muzyki i unikać tańca. Podejście do ramadanu bardzo zmieniło się w ZEA w ciągu dwóch ostatnich dekad. Jest w nim zdecydowanie mniej restrykcji, a więcej prośby o szacunek. Muzułmanie z tego kraju doskonale rozumieją, że ich reguły nie muszą być przestrzegane przez wyznawców innych religii czy ateistów, ale z ogromną radością przyjmują ich szanowanie. Tak tolerancyjne podejście nie jest jednak spotykane we wszystkich krajach Zatoki Perskiej.

Najważniejszym punktem dnia w czasie świętego miesiąca jest dla wielu muzułmanów *iftar*, czyli kolacja kończąca post o zmierzchu. Dla poszcząjących jest to moment, w którym wreszcie mogą najeść się do syta, więc to zrozumiałe, że na niego czekają. Ale *iftar* równie hucznie celebrowana „pielgrzymi w podróży”, którzy choć w ciągu dnia wcale nie powstrzymują się od spożywania pokarmów, wieczorem zachowują się tak, jakby nie jedli od tygodnia.

W hotelu, w którym pracowałam, są trzy główne restauracje. Dwie z nich w czasie ramadanu serwują wieczorne posiłki – jedna skupia się głównie na kuchni bliskowschodniej, a druga serwuje różnego rodzaju posiłki od mięs, poprzez makarony, sałatki, po pizzę, a nawet marokański *tajine*.

Nasi muzułmańscy goście wcale nie okupują wyłącznie bliskowschodniej restauracji, choć faktycznie jest ona wśród nich nieco bardziej popularna. Niemuzułmanie również chcą korzystać z szerokiej oferty, co czasami staje się źródłem konfliktów.

Prowodyrem jednego z nich był nasz gość, który regularnie odwiedzał nas w czasie ramadanu wraz z dwoma swoimi braćmi i kilkoma kuzynami. Mohammed Al Zahrani zainicjował bunt, walcząc – przynajmniej w swoim rozumieniu – o przywrócenie praw należnych muzułmanom.

Powody rebelii były kompletnie nedorzeczne, ale ponieważ Al Zahrani czuł siłę, mając za sobą grupę oddanych mu mężczyzn, postanowił zakazać wstępu do restauracji bliskowschodniej wszystkim, którzy w ewidentny sposób nie byli muzułmanami. Wielu gości, którzy tego wieczoru mieli ochotę na specjały z Bliskiego Wschodu, po prostu zrezygnowało i zdecydowało się na przejście do drugiej restauracji. Jednak Al Zahrani trafił na krewkich przeciwników, którzy nie mieli zamiaru bez walki oddać dostępu do kebaba, falafela i *tabbouleh*.

Sprawa zrobiła się niemal polityczna, bo naprzeciwko Saudyjczyka stanęło dwóch Amerykanów z południa Stanów Zjednoczonych – nie pamiętam ich imion ani nazwisk, nazwijmy ich na potrzeby tej opowieści Mike i John. Nie chcę popadać w stereotypy, ale każdy, kto choć trochę orientuje się w geopolityce, wie, że południe USA jest statystycznie znacznie bardziej skłonne do uznawania Arabii Saudyjskiej za wroga, a muzułmanów za terrorystów. Krótko mówiąc, trafiła kosa na kamień. Choć sądząc po poglądach obu stron, po prostu trafił swój na swego.

– To jest *iftar*. Wstęp tylko dla muzułmanów – powiedział jeszcze spokojnie Al Zahrani.

– A kto tak ustalił?! – zapytał zawadiacko Mike.

– Allah! *Iftar* jest dla wyznawców Allaha.

– Nie wiem, co wam naopowiadał ten wasz Allah, ale dla nas to po prostu kolacja – rzucił John i ruszył do przodu.

Drogę natychmiast zagroziło mu kilku członków rodziny Al Zahrani. Dyskusję od dłuższego czasu obserwowała obsługa bliskowschodniej restauracji, ale dopóki goście sami dobrowolnie przechodzili do tej drugiej, nikt nie reagował. Teraz jednak konieczna już była ingerencja ochrony, bo testosteron i ksenofobia lada chwila mogły doprowadzić do potężnego wybuchu.

Do akcji wkroczył szef ochrony, Jordańczyk Karim.

– Bracia, przecież *iftar* to czas, kiedy dzielimy się jedzeniem ze wszystkimi – powiedział po arabsku, by nie prowokować krewkich Amerykanów.

To na chwilę zatrzymało Saudyjczyków, jednak Al Zahrani nie miał zamiaru poddać się szantażowi emocjonalnemu. Miał zupełnie inny pogląd na tę sprawę.

– Nie będziemy się dzielić niczym z ludźmi, którzy przychodzą i sami sobie wszystko biorą siłą.

Tutaj chyba nie chodziło już o zwykły kebab, a raczej o wielką politykę. Al Zahrani nie lubił przedstawicieli Zachodu za ich interwencje w krajach islamskich, a w szczególności obwiniał o nie Amerykanów – i pozostawał w swoich poglądach nieprzejednany.

– Ci panowie są tak samo gośćmi tego hotelu jak wy. Nie możemy im niczego zakazać. Proszę, zrozumcie to – tłumaczył Karim.

– W takim razie musicie wprowadzić nowe zasady. Żądamy, by *iftar* był serwowany tylko dla muzułmanów.

W tym czasie ja i Reina dotarłyśmy na miejsce. Łagodzenie takich konfliktów również należało do naszych obowiązków. Reina, która oczywiście znała język arabski, dołączyła do mediacji prowadzonych przez Karima, a ja zaczęłam rozmawiać z Amerykanami.

– Bardzo przepraszamy za tę sytuację – powiedziałam już na wstępie. – Oczywiście mają panowie prawo korzystać z każdej restauracji na terenie hotelu. To nie powinno się zdarzyć. Proszę zrozumieć, utrzymywanie postu bywa trudne i chyba mocno podgrzało tym panom emocje.

– Wiesz, ja, jak jestem głodny, to jem, a nie pilnuję wejścia do knajpy – powiedział Mike z silnym południowoamerykańskim akcentem.

Trudno było się z nim nie zgodzić.

– Próbujemy rozwiązać problem, ale to chyba jeszcze chwilę potrwa. Jeśli nie chcą panowie czekać, możecie oczywiście skorzystać z drugiej restauracji. Mogę też zaproponować panom specjalną kolację *à la carte* ze wszystkimi daniami z oferty bliskowschodniej.

Nie zdążyłam usłyszeć ich odpowiedzi, bo naszą rozmowę przerwały głośne krzyki. Odwróciłam się. Na podłodze kilka metrów dalej leżała Reina, a do restauracji wpadło kilku ochroniarzy. W ciągu dwóch minut obezwładnili i wyprowadzili wszystkich zbuntowanych Saudyjczyków.

Problem nagle zniknął. Amerykanie nie należeli do ludzi, którzy domagaliby się jakiegoś zadośćuczynienia. Wystarczył im fakt, że mogli zabrać się do zapełniania swoich talerzy wystawionymi w bufetach specjałami.

Podeszłam pospiesznie do Reiny, która zdołała już wstać o własnych siłach. Objęłam ją i odprowadziłam do naszego biura.

– Wszystko w porządku? – spytałam. – Może zadzwonię po lekarza?

– Nie, wszystko jest okej – odpowiedziała, choć mało przekonująco.

– Co tam się właściwie stało?

– Al Zahrani najwyraźniej nie toleruje sytuacji, gdy kobieta wydaje mu polecenia.

– Groziłaś mu?

– Powiedziałam tylko, że musi się uspokoić, bo nie może blokować restauracji, a on uznał to za groźbę. W starciu z Karimem i ochroniarzami nie był już taki mocny, ale nie miał problemu, by mnie pchnąć. Kobiętę można... – powiedziała ze smutkiem, ale chwilę później wróciła do swojej naturalnej postawy. – Tylko sobie nie układaj w tej swojej europejskiej głowie, że wszyscy arabscy mężczyźni biją kobiety. Al Zahrani jest po prostu dupkiem.

– Spokojnie, Reina, ja naprawdę nie jestem twoim wrogiem. Wiem, że arabscy mężczyźni są różni, tak jak wszyscy. Nie ma jednego typu... – Zatrzymałam się w porę, choć było jasne, że myśli nas obu powędrowały ku mężczyźnie będącemu zaprzeczeniem tępego macho. Mężczyźnie, którego obie kochałyśmy.

Tego dnia nastąpił przełom w moich stosunkach z Reimą. Wciąż miała problem z okazywaniem mi sympatii, ale coraz częściej czułam, że mogę na nią liczyć, coraz częściej współpracowałyśmy. I choć nadal była surowa i powściągliwa, na swój sposób zaczynałam ją lubić.

Tymczasem banda Al Zahraniego już godzinę później była wolna. Nie znam szczegółów negocjacji z Karimem, ale podobno zagroził im wezwaniem policji. Ponieważ sprawa rozgrywała się wyłącznie pomiędzy muzułmanami, istniało duże prawdopodobieństwo, że policja aresztuje Saudyjczyków. Ci dobrze o tym wiedzieli. Przez resztę swojego pobytu nie mieli problemu z jedzeniem w tej samej restauracji z niemuzułmańskimi gośćmi. Ani w czasie *iftaru*, ani w ciągu dnia.

Nie tylko mężczyźni wywołują awantury związane ze złym pojmowaniem obowiązujących w ramadanie zasad. Kobiety też potrafią o nie walczyć – i choć nie robią tego przemocą, z reguły są bardzo głośne.

O tym, jak skuteczne potrafią być muzułmanki w obronie swoich zasad, przekonały się trzy około trzydziestoletnie Rumunki, które opalały się przy hotelowym basenie w bikini. Nie jest to zakazane nawet w czasie ramadanu i z reguły nikt nie ma z tym problemu, ale okazjonalnie zdarzają się skargi na tego typu stroje w okresie świętego miesiąca.

W przypadku Rumunek, które naraziły się przebywającym w tym samym czasie w hotelu matce i córce z Kataru, sprawa przybrała jednak znacznie poważniejszy obrót. Początkowo kobiety postanowiły wyrazić swoje niezadowolenie, po prostu krzycząc na skąpo ubrane turystki. Uznały, że skargi w recepcji nie będą tak skuteczne jak awantura, którą same urządzają „lubieżnicom”. Zaczęły je więc wyzywać i krzyczeć, że nie mają wstydu, że zostaną ukarane przez Boga, a na koniec zażądały, by te natychmiast się osłoniły, bo profanują obchody ramadanu.

– Nie jesteśmy muzułmankami – tłumaczyła jedna z zaskoczonych Rumunek.

– Ale jesteście w muzułmańskim kraju! – wrzeszczała matka. – Deprawujecie mężczyzn!

– Mężczyźni z reguły nie mają nic przeciwko widokowi kobiety w bikini – dodała druga, czym tylko podgrzała wściekłość obrończyni cnoty.

– Zaraz przyjedzie tu policja. Macie chwilę, żeby się zasłonić! – rzuciła córka.

Ta informacja wywołała w Europejkach chwilową konsternację, ale ostatecznie postanowiły pozostać na leżakach. Zaraz po przyjeździe do hotelu upewniły się, czy opalanie się w kostiumach jest przy basenie dozwolone, stąd wiedziały, że nie łamią żadnych reguł.

Muzułmanki odeszły, ale szybko się okazało, że nie złożyły broni. Wróciły po chwili z dużymi plażowymi ręcznikami i siłą zakryły nimi Rumunki. A że były w mniejszości, zdołały zniewolić tylko dwie z trzech. Ta, która uniknęła ataku krewkich muzułmanek, natychmiast pobiegła po pomoc. Ochrona szybko uwolniła jej koleżanki i pouczyła Katarci.

Konserwatystki wyjechały z resortu jeszcze tego samego dnia, wyklinając hotel na czym świat stoi.

Nagłym wyjazdem skończyła się też historia turystki z Holandii, która ubrana w obszerne kimono schowała pod nim noworodka i postanowiła go nakarmić przy basenie. Tkanina zasłaniała dziecko i pierś matki, ale to nie powstrzymało przed interwencją kobiety z Omanu, która w tym samym czasie odpoczywała na leżakach wraz z mężem i trójką bawiących się w wodzie dzieci. Kiedy kobieta się zorientowała, co robi Holenderka, natychmiast ruszyła z szarżą, a ponieważ raczej oszczędnie posługiwała się angielskim, nie było szans na porozumienie. Arabka nie zamierzała angażować nikogo z hotelu. Odeszła na kilka kroków i przez telefon natychmiast zgłosiła sprawę policji, wyolbrzymiając ją tak, jakby nad basenem ktoś kręcił film porno.

O wszystkim dowiedzieliśmy się, dopiero gdy funkcjonariusze dotarli do hotelu i poprosili o wskazanie drogi na basen. Zaskoczona była też sama Holenderka. Nie karmiła już dziecka, ale miała je przy sobie, co kobieta z Omanu uznała za dowód w sprawie.

Policjanci przesłuchali obie panie, ale nie byli w stanie dopatrzeć się niczego zdroźnego. Zapewne gdyby sami byli świadkami karmienia dziecka w miejscu publicznym, wszystko potoczyłoby się inaczej, ale przecież nie mogli aresztować matki relaksującej się nad basenem z kilkumiesięcznym niemowlakiem u boku.

I tym razem skończyło się na przedwczesnym wyjeździe niepokieszanej nieudaną interwencją omańskiej rodziny.

Ramadan to piękna tradycja i bez wątpienia hołduje szlachetnym ideałom. Niestety jak w przypadku każdej religii są tacy, którzy zamiast skupić się na sobie, próbują umoralniać innych, co niemal zawsze jest gotową receptą na awanturę.

ROZDZIAŁ 9

Teściowa

Chloe była kobietą petardą. Od kiedy ją poznałam, żartowałam, że gdy dorosnę, chcę być taka jak ona. Tak naprawdę nie musiałam zbytnio dorastać, bo Chloe była ode mnie starsza zaledwie o trzy lata. Od naszego spotkania do momentu, gdy poinformowała nas o tym, że odchodzi i wyjeżdża z Dubaju, minęło pięć lat, zatem dorosłam już na tyle, by być jak Chloe. Nie byłam tylko pewna, czy potrafię.

Chloe stała na czele departamentu sprzedaży, a do jej zadań należało podpisywanie intratnych umów z kontrahentami z całego świata. Wiązało się to z podróżami, ale znacznie częściej z przyjmowaniem przedstawicieli biur i agentur, którzy przed podpisaniem kontraktu chcieli się upewnić, że nasz resort spełnia ich standardy.

Zajęcie miejsca Chloe byłoby spektakularnym awansem – wiązałoby się nie tylko z prestiżem i gigantyczną podwyżką, ale także z możliwością obcowania z zupełnie innym typem klientów. Chloe przyjmowała w naszym kurorcie wyłącznie ludzi z branży, którzy nie mieli kaprysów i doskonale rozumieli, z jakimi wyzwaniem wiąże się prowadzenie takiego przedsięwzięcia jak potężny resort.

To wszystko brzmiało kusząco, ale gdy usłyszałam, że prowadzona jest wewnętrzna rekrutacja, nie byłam pewna dwóch rzeczy: po pierwsze, czy się nadaję, a po drugie, czy aby na pewno chcę takiej zmiany.

Ziad za to nie miał wątpliwości. On sam w międzyczasie awansował na szefa recepcji i bardzo chciał, żebym aplikowała na to stanowisko. Niestety okazało się, że podobne plany ma też Reina. Mark nawet nie chciał słyszeć o zmianie swojego dotychczasowego stylu życia. Powiedział krótko, że nie interesują go nudziarze od cyferek, i zamknął temat. Reina tymczasem oświadczyła, że nie ma zamiaru odpuścić. Swego czasu próbowała się

dostać do zespołu Chloe, jednak ta osobiście odrzuciła jej kandydaturę. Traktowała to więc jak swoistą wendetę – miała szansę udowodnić, że jest lepsza. A to powoli stawało się jej obsesją.

Byłam pomiędzy młotem a kowadłem. Z jednej strony miałam u boku zakochanego we mnie i motywującego mnie do działania chłopaka, z drugiej swoją nemezis, z którą stosunki ledwo udało mi się ucywilizować, a już miałam ponownie wyzwać ją na pojedynek.

– Nie możesz ze względu na nią rezygnować ze swojej przyszłości. Poświęciłaś tej pracy bardzo wiele i to ci się należy. Masz ogromne szanse. Barack cię ceni, a jego zdanie liczy się w zarządzie... – przekonywał Ziad.

– Jeśli wygrasz z Reina, ona eksploduje. Nigdy ci tego nie wybaczy. Urządzi tu istną rzeź. Na twoim miejscu nie wychylałbym się. I tak masz Ziada, wygrałaś wszystko, co najlepsze, reszta to tylko praca – argumentował Mark.

Najgorsze, że obaj mieli rację. Potrzebowałam zmiany, chciałam jej, ale nie miałam ochoty na kolejną wojenkę z Reina, a ta w przypadku mojego powodzenia niechybnie by się rozpętała. A gdybym przegrała? Ziad wiedziałby, że próbowałam, a Reina dostałaby to, czego chce. Ona desperacko potrzebuje sukcesu, a jeśli w drodze do celu będzie mogła dodatkowo utrzymać mi nosa, będzie on jeszcze słodszy.

Ta myśl przekonała mnie ostatecznie do złożenia aplikacji. Nie przewidziałam tylko jednego: zanim przegram, czeka mnie walka – i nawet jeśli ja stanę do niej z połamaną procą, Reina ruszy czołgiem.

– *You bitch!* Wygrałaś Ziada, nie myśl, że tym razem ci odpuszczę! – warknęła zgodnie z moimi przewidywaniami, gdy tylko usłyszała, że stoję z nią w szranki.

I w ten sposób wróciłyśmy do stanu sprzed kilku miesięcy, kiedy Reina w obcesowy sposób komentowała każdy mój ruch, a w te lepsze dni po prostu mnie ignorowała.

Rekrutacja rozpoczęła się dwa tygodnie później. Okazało się, że do etapu wewnętrznego stanęłyśmy tylko my dwie, dlatego dział HR zlecił również rekrutację zewnętrzną, co w naturalny sposób musiało przedłużyć cały proces. To jednocześnie oznaczało, że nasza walka trwała dłużej, ale nie miałam na to większego wpływu.

Kiedy przyszedł czas mojego interview, ustalonego z działem HR mailowo, byłam perfekcyjnie przygotowana i całkiem spokojna. Nie

miałam w końcu nic do stracenia, co więcej, miałam szczerą nadzieję, że nie odniosę sukcesu.

Stawiłam się w umówionym miejscu o umówionej porze, ale nikt tam na mnie nie czekał. Sprawdziłam służbową skrzynkę mailową, by upewnić się, czy czegoś nie pomyliłam, ale nie – wszystko się zgadzało. Poszłam zatem do dziewczyn z działu HR zapytać, o co chodzi.

– Byłam zdziwiona, że wczoraj nie przyszłaś. Myślałam, że zrezygnowałaś – powiedziała Alma.

– Ale w mailu jest wyraźnie napisane, że to dziś...

– Data się zmieniła, przecież wysłałam ci korektę.

– Niczego nie dostałam.

– Sprawdź, proszę, dokładnie. Może mail wpadł do spamu.

Nie wpadł.

– Oj, przepraszam, już chyba wiem, co się stało! – zawołała Alma, przeglądając swoją pocztę. – Tę drugą wiadomość wysłałam omyłkowo na twoją prywatną skrzynkę. Podczytują mi się oba adresy... To pewnie jeszcze z czasów, kiedy załatwialiśmy sprawy związane z twoim zatrudnieniem.

Faktycznie tak było. Mail ze zmianą daty był w mojej prywatnej skrzynce.

– Ale ja w tygodniu nawet jej nie sprawdzam – tłumaczyłam się. – Dostaję tyle maili służbowych, że nie mam czasu na prywatne.

– Przykro mi, wiadomość została wysłana, nic już z tym nie zrobimy – powiedziała Alma z lekkością, która kazała mi podejrzewać, że nie jest to przypadek.

– Reina kazała ci to zrobić, prawda? – spytałam.

– Czy ty próbujesz mi zarzucać manipulację? – obruszyła się.

– Tylko pytam.

– Nikt niczego mi nie każe. Przegapiłaś termin rozmowy i możesz mieć pretensje tylko do siebie. Nie jestem w stanie ci pomóc – rzuciła oschle, dając mi do zrozumienia, że nasza rozmowa dobiegła końca.

Reina nie kryła zadowolenia z takiego obrotu spraw. Fakt, że wiedziała o wszystkim, zanim jeszcze zdążyłam się poskarżyć Markowi, był dla mnie niepodważalnym dowodem na to, że maczała w tym palce. Ale w sumie wyszło dokładnie tak, jak chciałam. Reina wciąż miała szanse na awans, a ja miałam szansę pozbyć się jej z zespołu.

Niestety ostatecznie firma zdecydowała się na podkupienie kogoś z konkurencji i Reina obeszła się smakiem, co jeszcze przez kilka miesięcy wywoływało w niej irracjonalną wściekłość na mnie, której dawała upust przy każdej okazji. Miałam przeczucie, że nastąpi jakieś apogeum tych złych emocji, które ściągnie na mnie prawdziwą lawinę kłopotów, nie sądziłam jednak, że machina już ruszyła.

Starłam się unikać Reiny, jak tylko mogłam. Na szczęście zbliżał się październik, okres, w którym z reguły zaczyna się największe obłożenie, a co za tym idzie sporo pracy i zdecydowanie mniej czasu na pielęgnowanie urazy. Ludzie z wielu krajów chcą wtedy uciec przed jesienią i zimą, a że temperatury w Dubaju spadają wtedy do przyjemnych trzydziestu stopni, często wybierają właśnie to miejsce. Wśród tysięcy gości nadciągających w naszym kierunku był jeden, który sprawił, że nasz może lekko rozedrgany, ale w sumie całkiem poukładany świat czekało prawdziwe trzęsienie ziemi.

Ziad jest najmłodszym z dzieci swoich rodziców. Jego rodzeństwo jest sporo od niego starsze. Pojawił się na świecie, gdy małżonkowie uznali już swoją rodzinę za pełną. Kiedy się okazało, że jego mama jest znowu w ciąży, stwierdzili, że to absolutny cud – i tak też zawsze traktowali Ziada.

Był wychowywany w ogromnej miłości i choć można by się spodziewać, że uwaga, jaką mu poświęcano, zrobi z niego rozpieszczonego i roszczeniowego, on wyciągnął z tego zupełnie inną naukę. Nauczył się kochać. Ziad miał w sobie opiekuńczość szlachetnego rycerza, zaradność trapera, a przy tym wszystkim był bardzo wrażliwy.

Kiedy powiedział mi, że jego mama wybiera się z wizytą do Dubaju, bardzo się ucieszyłam, że w końcu będę mogła poznać kobietę, która tak wspaniale wychowała swojego syna. Ale nie ukrywam, że byłam też potwornie zestresowana.

– Moja mama cię pokocha, jestem tego pewny – zapewnił Ziad w odpowiedzi na moje obawy. – Kiedy tylko jej o tobie powiedziałem, natychmiast oznajmiła, że musi cię poznać. I że chętnie przyjmie do rodziny jeszcze jedną córkę.

Te słowa uspokoiły mnie nieco. Ale choć mój ukochany zawsze potrafił odgonić strach, nie znaczy to, że jego źródło zniknęło.

Tydzień później Ziad osobiście odebrał naszego gościa z lotniska. Miał akurat wolny dzień, a ja pracowałam. To dało im okazję do spędzenia ze sobą czasu. Zabrał mamę do wynajmowanego przez nas mieszkania, by pokazać jej, jak się urządziliśmy, choć wspólnie ustaliliśmy, że dla wygody nas wszystkich mama zamieszka w pokoju hotelowym, wynajętym dzięki naszym zniżkom za bezcen. W ten sposób będzie mogła połączyć zasłużone wakacje z czasem spędzonym z synem, a Ziad będzie mógł się cieszyć towarzystwem mamy bez konieczności marnowania urlopu, który planował spędzić w Egipcie.

Miriam była drobną, wciąż piękną i niezwykle zadbaną kobietą, której zmarszczki i siwizna wcale nie odebrały urody. Mimo wieku nie zapominała o makijażu i wyraźnie przykładała uwagę do stroju. Na powitanie rzuciła mi się na szyję i wyczuła tak, jakby tęskniła za mną równie mocno jak za swoim synem.

– Jakaś ty piękna! – pochwaliła, co trochę mnie skrepowało.

Później złapała mnie za rękę, przytknęła oczy i szeptem powiedziała po arabsku coś, co brzmiało jak modlitwa albo zaklęcie, a następnie znowu mnie przytuliła.

Tak, mama Ziada zdecydowanie była nietuzinkową osobą, jednak początki zapowiadały się całkiem nieźle. Niestety kwaterując ją w hotelu, nie spodziewaliśmy się, że będzie chciała być obsługiwana wyłącznie przez nas. Konsekwentnie przeganiała pokojówki, a do tego wymagała, żeby któreś z nas zawsze towarzyszyło jej przy posiłkach. W ciągu dwóch dni sytuacja z niegroźnej zrobiła się naprawdę poważna.

– Musisz porozmawiać z mamą, nie mogę odrywać się od pracy, by iść słać jej łóżko – powiedziałam do Ziada.

– Pewnie chce sprawdzić, czy umiesz sprzątać – zaśmiał się.

– Po pierwsze to nie jest miejsce na takie testy, po drugie to nie należy do moich obowiązków, a po trzecie nie umiem. Już mi to powiedziała. Jeśli nie chcesz, żeby powstał między nami konflikt, musisz coś z tym zrobić.

– Nie wierzę, że moje dwie najukochańsze kobiety na świecie mogłyby się nie lubić. Ale oczywiście porozmawiam z mamą – obiecał Ziad.

I porozmawiał. A wkrótce potem jego matka wezwała mnie na rozmowę.

– Allah mi świadkiem, jak bardzo mi przykro. Nie chciałam cię urazić, córeczko – powiedziała, przytulając mnie zdecydowanie za mocno. – Byłam przekonana, że nie życzysz sobie, by ktoś inny zajmował się tym,

czym powinna zająć się dobra gospodyni. To dlatego przeganiałam te pokojówki. Obiecuję, że od tej pory zdam się wyłącznie na opiekę obcych ludzi...

W jednej chwili zrozumiałam, że moja przyszła teściowa do perfekcji opanowała niełatwą sztukę przeproszania z jednoczesnym ustawianiem przeciwnika do pionu i pokazywaniem mu, gdzie jego miejsce. To był wyższy poziom pasywnej agresji. Taki, w którym każdy komplement kryje w sobie bolesną szpilę. Miriam była w tym mistrzynią, a ja nie miałam innego wyjścia, jak tylko poddać się i zostać jej ofiarą.

Wytrzymam, przekonywałam sama siebie. Do jej wylotu zostało tylko pięć dni, a czas leci naprawdę szybko. Nie sądziłam jednak, że kobiety takie jak ona potrafią wykorzystać do swoich celów nawet tak krótki czas. Zwłaszcza że wkrótce miała zyskać niespodziewanego sprzymierzeńca w swojej coraz bardziej klarownej misji przemówienia swojemu synowi do rozsądku, by nie marnował czasu z niemuzułmanką.

Tamtego dnia jednak w ramach przeprosin Miriam ofiarowała mi podarunek, którego nie mogłam się spodziewać. Tak naprawdę zresztą przeprosiny były tylko pretekstem – przyjechała z nim z Egiptu i tylko czekała na właściwy moment, by mi go wręczyć. W kolorowej torebce prezentowej znajdował się oprawiony w twardą okładkę, zdobiony farbą w złotym kolorze Koran.

– Jest po angielsku. Specjalnie dla ciebie. Nawet nie wiesz, jak trudno go dostać w Kairze. Całe miasto zjechałam. Prawdziwi muzułmanie posługują się językiem arabskim, więc wszelkie tłumaczenia nie są nam potrzebne, ale skoro chcesz do nas dołączyć, myślę, że pomoże ci w nauce. To będzie ekscytująca przygoda, a najpiękniejsze jest to, że na jej końcu czeka cię nagroda od samego Boga – mówiła z ekscytacją Miriam, podczas gdy ja coraz bardziej zapadałam się w siebie, zupełnie nie wiedząc, jak zareagować.

Za prezent wypada podziękować, ale czy ta reguła dotyczy również tych podarków, które są jednocześnie deklaracją przyjęcia religii, której wcale nie zamierzałam przyjąć?

– Dziękuję – wydusiłam w końcu.

– *Shokran* – odpowiedziała Miriam, a widząc moje zaskoczenie, natychmiast wyjaśniła: – Mówimy *shokran*. To znaczy „dziękuję”.

I tak, zupełnie bez ostrzeżenia, zaczęły się lekcje przysposabiające mnie na kandydatkę na żonę Ziada.

– Bardzo chętnie sobie poczytam. Od dawna chciałam sobie kupić Koran i przejrzeć go, żeby się zorientować w waszej religii – odparłam, zupełnie nieświadoma konsekwencji swoich słów.

– Poczytasz sobie? Przejrzysz? Dziecko, czy ty zdajesz sobie sprawę z bluźnierstw, jakie wydobywają się z twoich ust?! – wybuchła Miriam. – Koran to nie jest jakaś tam książka do poczytania czy przegładania!

Grzmiała, a ja nie miałam pomysłu, jak ją udobruchać. Nie zdawałam sobie sprawy, że próba wykazania zainteresowania islamem wyjdzie mi tak niefortunnie. Kobieta ewidentnie uważała mnie za ignorantkę i błąd, jaki popełnił jej syn, ale mimo to postanowiła okazać mi miłosierdzie. Widząc, że jestem bliska płaczu, powiedziała:

– Już dobrze, moje dziecko. Wiem, że nie miałaś na myśli nic złego. Pochodzisz ze świata, który nie zna prawdziwego Boga, dlatego nie wiesz, jak się zachować. Niczym się nie martw, wszystkiego się nauczysz...

Do tej pory związek mój i Ziada wydawał się bezproblemowy. Nie planowaliśmy przyszłości, nie mieliśmy kłopotów z różnicami kulturowymi ani z tym, że on był pobożnym muzułmaninem, a ja swój związek z religią zakończyłam na bierzmowaniu. Nigdy nie skupialiśmy się na tym, co nas dzieli, bo to, co nas łączyło, wydawało się wystarczająco silne. Pojawienie się w naszym życiu jego matki wszystko zmieniło. Przywiozła ze sobą strach – o to, że nie jesteśmy dla siebie, że Ziad jest dla mnie za dobry, że ja nie jestem wystarczająca.

Kiedyś obiecaliśmy sobie dwie rzeczy: że nigdy nie będziemy odkładać trudnych rozmów na później i nigdy nie będziemy zasypiać pokłóceni. Miałam wielką nadzieję, że rozmowa, której nie chciałam odkładać zgodnie z pierwszą zasadą, nie spowoduje, że dotrzymanie tej drugiej okaże się niemożliwe.

– Twoja mama mnie nienawidzi – zaczęłam. – My nawet jeszcze nie rozmawialiśmy o małżeństwie, a ona w zasadzie już je wykluczyła. Nigdy nie zaakceptuje mnie jako swojej synowej...

– *Habibti*, o czym ty mówisz? – zapytał Ziad, wyraźnie zdziwiony. – Rozmawiałem z nią dziś i jest tobą zachwycona. Powiedziała, że dała ci Koran. Ale chyba wiesz, że nie musisz go czytać?

Czyli Miriam gra na dwa fronty. Mnie dyscyplinuje, a swojego syna utrzymuje w słodkiej nieświadomości, zapewniając go, że jest zadowolona z jego wyboru. Sprytne! Wiedziałam już, że ta kobieta ewidentnie ma zdolność manipulacji w małym palcu. Nie mam z nią szans.

– Odniosłam wrażenie, że nie jest zbyt przychylna naszemu związkowi – powiedziałam, próbując znaleźć odpowiedni argument na potwierdzenie swojej tezy. Ale wszystko wydawało się błahe.

– Musisz zrozumieć, że moja mama, jak każda kochająca matka, po prostu się o mnie martwi. Chce mieć pewność, że nie popełnię błędu. Ale zapewniam cię, że nic, co powie, nie jest w stanie zmienić moich uczuć w stosunku do ciebie. Nic!

Potrzebowałam usłyszeć te słowa. A jednak gdzieś we mnie wciąż tliła się niepewność, że w którymś momencie Miriam znajdzie sposób, by odebrać mi Ziada. I właśnie wtedy w jej orbicie pojawił się ktoś, kto również tego pragnął.

Następnego dnia przyjechałam do hotelu nieco spóźniona. Reina i Mark rozprawiali już o jakichś sprawach, które wydawały mi się zupełnie obce, dopóki światła reflektorów nie padły na mnie.

– I jak tam wizyta *mummy dearest*? – spytał Mark z właściwym sobie sarkazmem.

– Och, to cudowna kobieta! Poznałam ją wczoraj przy kolacji – wyrzuciła z siebie Reina, zanim w ogóle zdążyłam się odezwać. – Siedziała sama. Zrobiło mi się jej trochę szkoda, więc zagadałam. Zupełnie się nie spodziewałam, że to właśnie mama Ziada. Wiedziałam, że zatrzymała się u nas, ale nie miałam pojęcia, jak wygląda.

Byłam przerażona, tym bardziej że natychmiast wyobraziłam sobie, że te dwie kobiety połączy przyjaźń. Taki sojusz mógł zniszczyć mój związek z Ziadem. Ale nie zamierzałam poddać się bez walki.

– Tak, Miriam faktycznie jest wspaniała. Wczoraj dała mi cudowny prezent – powiedziałam, wyciągając z torby Koran.

– Wow, faktycznie cudowny! Wszyscy o takim marzymy! – rzucił Mark z ironią.

– Nie kpij. Dla niektórych z nas to bardzo ważny symbol – fuknęła Reina.

– A dla niektórych to zwykła książka.

Reina nie zamierzała kontynuować tej rozmowy, bo wiedziała, że Mark nie odpuści, a lubiła go na tyle, by nie dać się sprowokować do wojny religijnej.

Tego dnia, trochę pod wpływem wyrzutów sumienia wywołanych przez Reinę, a częściowo po to, by nie pozwolić jej zająć swojego miejsca, spotkałam się z Miriam na lunch. Było naprawdę bardzo miło. Opowiadała głównie o dzieciństwie Ziada. Nie miałam wątpliwości, że z tą kobietą zawsze będę musiała konkurować o jego miłość, ale miałam nadzieję, że będzie to uczciwa konkurencja.

Po posiłku odprowadziłam ją do jej pokoju. Tuż za progiem się zachwiałam, moja stopa wykręciła się jakoś niefortunnie i przeszył mnie nagły spazm bólu.

Miriam pospieszyła mi z pomocą.

– Dziecko kochane, mam nadzieję, że nie jest skręcona... – rzuciła, biorąc mnie pod bok i prowadząc na sofę.

– To na pewno nic takiego. Zaraz zadzwonię do recepcji i chłopcy umówią mi lekarza. Mamy tu dyżurnego... – powiedziałam, jednak już w eter, bo Miriam zniknęła w sypialni, wyraźnie czegoś szukając.

– Nie ma takiej potrzeby – zakomunikowała z uśmiechem po powrocie. W ręce trzymała apteczkę. Kazała mi się położyć i zabrała do opatrywania mojej nogi. – Na pewno dojdiesz do siebie, ale musimy ci unieruchomić stopę. To przez te obcas... Wiesz, gdy moje dzieci były małe, nigdy nie chodziłam z nimi do lekarza. Zawsze leczyłam je sama i wszystkie wyrosły na silnych i zdrowych ludzi.

Nie byłam pewna, czy to taktyka godna rekomendowania, czy po prostu szczęście, ale w tamtym momencie przejmowałam się wyłącznie swoją bolącą kostką.

– Przyglądałam się tym twoim kostkom któregoś dnia. Są dość masywne. To dziwne, że ta tak szybko się poddała – skomentowała Miriam, kończąc bandażowanie.

Nie daj się sprowokować! Wcale nie masz masywnych kostek! Ta kobieta chce ci pomóc!

Musiałam stoczyć kolejną wewnętrzną walkę, żeby nie odparować jej jakimś niemiłym komentarzem. Miałam doświadczenie – moja mama była mistrzynią w prowokowaniu podobnych sytuacji.

Przez cały kolejny dzień nie wydarzyło się nic, co mogłoby zapowiadać kłopoty. Ale chyba była to typowa cisza przed burzą, bo już następnego ranka zadzwonił do mnie zdenerwowany Ziad.

– Mówiłem ci, że moja mama cię lubi, tylko potrzebuje trochę czasu, by sobie to wszystko poukładać. Musiałaś ją prowokować? Jeśli nie przypadła ci do gustu, nie mam z tym problemu. Nie wierzysz w mojego Boga, a i tak cię kocham. Nie lubisz mojej matki, a i tak cię kocham. Ale po co ta profanacja? Po co te wyzwiska? Czy ty myślisz, że ja nie wiem, co znaczy „kurwa”? Zbyt wielu Polaków odwiedza Egipt! To pierwsze, czego tam wszystkich uczą.

Był tak wściekły, że nie śmiałam mu przerwać, ale naprawdę nie miałam pojęcia, o czym on mówi. Jaka profanacja? Jakie wyzwiska? Skąd ta „kurwa”?

– Kochanie... – zaczęłam, ale Ziad natychmiast uciął:

– Nie, nie mogę z tobą teraz rozmawiać!

Po czym się rozłączył.

Wpadłam w panikę. Skoro on nie chciał ze mną rozmawiać, jedyną osobą, która mogła wyjaśnić mi, o co chodzi, była jego matka.

Znalazłam ją bez trudu. Piła herbatę w hotelowej kawiarni. Była uśmiechnięta i w najmniejszym stopniu nie wyglądała na wstrząśniętą. To się zmieniło, dopiero gdy mnie zobaczyła.

– Dzień dobry, Miriam. Czy mogę ci zająć chwilę?

Zadarła głowę i spojrzała mi w oczy z wyraźną niechęcią. A potem bez słowa odwróciła głowę.

– Miriam, proszę... Ziad jest wściekły, a ja nie mam pojęcia, o co chodzi. Powiedz mi, co się stało. Musisz wiedzieć...

– A ty nie wiesz? – rzuciła oschle. – Twoje aktorstwo naprawdę zasługuje na Oscara.

Nie czekając na zgodę, usiadłam naprzeciwko niej.

– Rozumiem, że nie chcesz, bym została twoją synową, ale mogę cię zapewnić, że Ziad nawet mi się nie oświadczył, więc na razie nie ma tematu. Kocham twojego syna i wiem, że on kocha mnie. Nie rozumiem, co tu się dzieje, ale ktoś w końcu musi zacząć mówić! – wyrzuciłam podniesionym głosem, czym ściągnęłam na nas uwagę kilku siedzących w pobliżu gości.

– Nie wiem, czy jestem w stanie zniżyć się do poziomu rynsztokowego języka, który najwyraźniej najlepiej do ciebie przemawia – powiedziała wciąż nadąsana Miriam.

– Co? Przecież w rozmowach z tobą zawsze byłam grzeczna, a jeśli czymś cię uraziłam, to bardzo przepraszam...

– W rozmowie doskonale udawałaś, ale za moimi plecami obrzucałaś mnie bluzgami. Myślisz, że nie wiem, co znaczy „kurwa”? Twój rodacy wyedukowali nas w tej kwestii w Egipcie – powtórzyła słowa, które usłyszałam już od jej syna.

Byłam kompletnie zdezorientowana. Najpierw Ziad, a teraz Miriam oskarżają mnie o coś, czego nawet nie pamiętam. Milczałam dłuższą chwilę, próbując zrozumieć, co się dzieje, przypomnieć sobie coś, co wyraźnie mi umknęło.

– Naprawdę musisz nie mieć do mnie krzty szacunku, by tak się zapierać – przerwała ciszę Miriam.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Dlatego milczałam.

– Jeśli naprawdę nie rozumiesz, to może przyniesiesz tu Koran, który ci podarowałam.

Ta prośba mnie zaskoczyła, ale skoro to miało wyjaśnić tę przedziwną sytuację, byłam gotowa natychmiast go przynieść. Poszłam do biura, wyciągnęłam Koran z torebki i natychmiast wróciłam do kawiarni, przekonana, że Miriam za chwilę udzieli mi jakiejś teologicznej lekcji, która ostatecznie pozwoli mi zrozumieć zachowanie jej i jej syna.

Bez słowa wręczyłam jej księgę, czekając na rozwój wydarzeń.

– Podziwiam twój tupet – rzuciła. – Ale masz też cywilną odwagę. Chociaż tyle.

Gdy Miriam otworzyła Koran, nagle wszystko stało się jasne. Kartki były zabazgrane czarnym flamastrem, niektóre zupełnie zamazane, inne poprzekreślane, a na wielu z nich widniało słowo „kurwa”.

– Jak mogłaś to zrobić? To był prezent dla ciebie. Czy w ogóle zdajesz sobie sprawę, jak ważna jest dla nas ta księga? Jeśli jej nie chciałaś, mogłaś powiedzieć, nie zamierzam cię zmuszać do przejścia na islam. Ale taka perfidia...? W głowie mi się to nie mieści!

Musiałam wziąć głęboki oddech. Kręciło mi się w głowie, bo z jednej strony czułam ulgę z powodu wyjaśnienia zagadki, a z drugiej nie miałam pojęcia, od czego zacząć się tłumaczyć.

– Kto ci to pokazał? – zadałam najbardziej oczywiste w tej sytuacji pytanie.

– Masz na myśli, kto cię wydał? Ktoś znacznie szlachetniejszy od ciebie. Stawiałam na tylko jedną osobę.

– Miriam, na pewno trudno będzie ci w to uwierzyć, ale nigdy nie zbezcześciłabym Koranu, bo wiem, jak jest ważny dla muzułmanów, a jednego z nich kocham nad życie. Bardzo doceniam twój prezent i mam nadzieję, że znajdziesz w sobie choć trochę dobrej woli, by mi uwierzyć.

– A dlaczego miałabym ci wierzyć?

– Choćby dlatego, że nie mogłam napisać tych okropnych słów.

– Jak to nie? Przecież są po polsku...

– No właśnie nie są. Ktoś, kto próbuje mnie zrobić, nie sprawdził pisowni. „Kurwa” nie pisze się przez „v”...

Ta informacja wywołała u Miriam sporą konsternację.

– Błąd amatora – ciągnęłam. – Ale widocznie Reina za bardzo się spieszyła, by to wygooglować. Bo to ona pokazała ci te bazgroły, prawda?

Miriam przyznała to bardzo niechętnie, ale moje tłumaczenia zaczynały ją przekonywać. Pokazałam jej w telefonie, jak Polacy zapisują przekleństwo, którym został sprofanowany jej Koran.

– To niemożliwe, by muzułmanka wypisała takie rzeczy w księdze proroka Mahometa, pokój jego duszy... – powiedziała w końcu.

Ja tymczasem zadzwoniłam do Ziada. Odebrał bez słowa.

– Kochanie, wiem, że nie chcesz ze mną rozmawiać, ale musisz coś zobaczyć. Jestem z twoją mamą w kawiarni. Przyjdź tu, proszę... – Miałam ogromną nadzieję, że zyskam w nim sprzymierzeńca.

Przyszedł w ciągu kilku minut. Unikał mojego wzroku. Usiadł obok swojej mamy, z dala ode mnie.

– Ziad, wiem, że myślisz, że sprofanowałam Koran, który dostałam od twojej mamy, ale to naprawdę nie byłam ja... – zaczęłam, po czym pokazałam błędnie zapisane słowo.

To natychmiast go przekonało. Chyba naprawdę czekał na ten dowód.

– Wiesz, kto mógł to zrobić? – zapytał, z miejsca łagodniejąc.

– Ja nawet nie miałam pojęcia, że Koran został zniszczony. Miałam go w torebce, a torebkę w biurze. Dostęp do tego pomieszczenia ma tylko Mark i Reina, a to ona powiedziała o tym twojej mamie, więc...

– *Sharmouta!* – wrzasnął Ziad, ku wyraźnemu przerażeniu swojej matki. – Nie odpuściła sobie! Byłem pewien, że jasno powiedziałem jej, że nigdy nic między nami nie będzie.

– Ale przecież to taka miła, ładna dziewczyna. I muzułmanka Boga – powiedziała Miriam.

– Mamo, Kasia może nie jest muzułmanką, ale ma ogromny szacunek dla naszej religii. Nigdy nie dała mi odczuć, że ma problem z moimi modlitwami czy z postem. Zawsze mnie w nim wspierała, a nawet utrzymywała go razem ze mną. Kogo wolisz: ją czy rzekomą muzułmankę, która dla pograżenia koleżanki jest gotowa sprofanować Koran?

Miriam chyba nie spodziewała się takiej reprimendy od ukochanego syna. Jej twarz stężała w niepewności.

– A wiemy na pewno, że to Reina?

– Na sto procent. A jeszcze pewniejsze jest to, że nie zrobiła tego Kasia. To liczy się dla mnie najbardziej. – Ziad mnie pocałował i wyszeptał: – Kocham cię. Przepraszam...

Nie mogłam się na niego gniewać. Wiedziałam, że i on nie chciał się gniewać na mnie. Był zdezorientowany i zawiedziony. Czekał na dowód, który utwierdzi go w poczuciu, że wciąż może mi ufać.

Ostatnie dwa dni pobytu Miriam upłynęły w pewnym napięciu pomiędzy nią a jej synem. Ja usunęłam się w cień, ale wiedziałam, że moja potencjalna teściowa i tak to mnie o wszystko obwinia.

Kiedy poleciała do domu, czekała nas bardzo ważna rozmowa. Oboje postanowiliśmy, że Reina nie dowie się o tym, że jej intryga wyszła na jaw.

– Ją trzeba załatwić jej własną bronią, ale nie może się tego spodziewać – powiedział Ziad. – Nigdy nie wybaczę jej tego, że próbowała nas rozdzielić, i to jeszcze w tak perfidny sposób.

– Masz pomysł, co zrobić?

– Na razie nie, ale przyjdzie we właściwym momencie. Nie pozbywaj się tego Koranu. Trzymaj go tam, gdzie zawsze, by nie wzbudzać podejrzeń.

– Ale jeśli będzie nas dalej obserwowała, domyśli się, że jej intryga się nie udała.

– I zacznie węszyć dłaczego. Będzie knuła, aż w końcu wpadnie...

– No nie wiem. Mam wrażenie, że takie osoby zawsze jakoś wychodzą z opresji. Prześlizgują się jak zmije.

– Bardzo trafne określenie! – zaśmiał się Ziad.

– A co z twoją mamą? Nie chciałabym, żeby z mojego powodu wasze stosunki się popsuły.

– Nie popsują się. Mama mnie kocha i będzie musiała zaakceptować mój wybór. Wiem, że przyjechała tu z planem wybicia mi z głowy wiązania się z niemuzułmanką, a gdy usłyszała, że jej się to nie uda, zaczęła kombinować. Moja mama kocha mnie bezwarunkowo i tego też mnie nauczyła, więc ani ja nie będę stawiał warunków tobie, ani ona mnie.

– I naprawdę nie przeszkadza ci, że nie przyjmę dla ciebie islamu?

– Islam przyjmuje się dla siebie. To wiara, a wiary nie można wzbudzić w sobie tylko dlatego, że ktoś tego od nas oczekuje. Ona musi płynąć z serca. Nie obchodzi mnie, w co wierzysz, dopóki wierzysz w nas...

Za każdym razem, gdy myślałam, że mocniej nie mogę już go kochać, zakochiwałam się w nim jeszcze bardziej. Czy po takich słowach można powstrzymać serce?

Ale nie tylko słowa nas łączyły. Dwa dni później, w nasz wolny wieczór, poszliśmy razem na zakupy. To było w Zarze w Dubai Mall. Przymierzałam kilka rzeczy, a Ziad mi asystował. Poprosiłam, by wymienił mi jedną z sukienek na rozmiar mniejszą. Gdy wrócił i włożył rękę za zasłonę, zamiast sukienki trzymał w niej pierścionek.

Zdumiona odsunęłam powoli kotarę, a on od razu uklęknął.

– Czy zostaniesz moją żoną? – spytał, uroczo się uśmiechając.

– A czy wszystkie przełomowe momenty w naszym związku będziemy przeżywać w sklepach znanych sieci handlowych?

– Możemy. Byle było ich jak najwięcej.

– Oczywiście, że za ciebie wyjdę!

– Cudownie, zatem ślub zorganizujemy w H&M, a przyjęcie w Costa Coffee – zażartował.

Postanowiliśmy, że nie będziemy oficjalnie ogłaszać naszych zaręczyn, ale pierścionka nie chciałam ukrywać; przecież nigdzie nie napisano, że jest zaręczynowy.

Mark natychmiast go zauważył.

– Czy to jest to, co myślę? – zapytał niemal piskiem.

– Jeśli myślisz, że to pierścionek, to tak, to jest pierścionek – odpowiedziałam wymijająco.

– Ale czy to jest TEN pierścionek?

W odpowiedzi uśmiechnęłam się tylko i przyłożyłam palec do ust.

Reina nie była świadkiem tej wymiany zdań, ale Mark wyraźnie zrozumiał, że chodzi o to, by nie wiedziała. Ja miałam w tym ukryty plan (choć wciąż jeszcze nie ustaliliśmy z Ziadem jaki), a Mark pomyślał, że nie chce jej robić przykrości. W końcu zostałam narzeczoną chłopaka, którego ona wciąż bardzo kochała.

Mijały trzy miesiące od czasu, gdy zatrudniona na miejsce Chloe nowa szefowa działu sprzedaży zaczęła pracę w naszym resorcie. Nie był to okres zbyt chwalebny. Jane, bo tak się nazywała, wyraźnie wyznawała zasadę, że bycie nielubianą szefową świadczy o szacunku, strach pracowników daje przewagę, a niechęć otoczenia jest podyktowana wyłącznie zazdrością. Uważała, że przebojowe kobiety takie jak ona nie muszą się przejmować takimi błahostkami jak ludzkie uczucia, potrzeby czy słabości. Wybrała sobie jednak bardzo kiepski kraj na forsowanie błędnie pojmowanego feminizmu.

Sukcesywnie wchodziła w konflikty ze wszystkimi współpracującymi z nią działami. Mark nienawidził jej z całego serca. Reina na samą myśl o niej dostawała drgawek, a ja, choć nie miałam powodów do jawnej nienawiści, nie byłam szczególnie zadowolona z faktu, że nie podpisaliśmy jeszcze żadnych nowych kontraktów, choć te klepnięte za czasów Chloe wciąż przynosiły profity. Zwłaszcza w Polsce – do tej pory okupującej Egipt, Tunezję i Maroko – rodził się boom na Dubaj i coraz więcej biur podróży zaczynało traktować go jak kolejny popularny kurort. Nieco droższy od wyżej wspomnianych, ale dostępny dla coraz większej grupy turystów. Moda na Dubaj ściągała tu coraz więcej Polaków, co windowało moje wyniki, a wraz z nimi również moją pozycję.

Niewielu zaskoczył fakt, że Jane wyleciała z pracy – i z Dubaju – po trzech miesiącach. Nie przedłużono jej kontraktu, choć ona sama do końca była przekonana, że jej rządy podobają się przełożonym. Nic bardziej mylnego. Barack był szefem, który udawał, że nic go nie interesuje, ale tak naprawdę wiedział wszystko i o wszystkich. Nade wszystko nie lubił formalności, a spośród działów w naszej firmie najbardziej nie znosił HR, przekonany, że są tylko po to, by przysparzać mu więcej pracy. Nic więc dziwnego, że nie zamierzał bawić się w kolejną przedłużającą się

w nieskończoność rekrutację na wakat po Jane. Kompletnie znieca z proponował tę posadę mnie.

– Jeśli nadal jesteś zainteresowana... – zagał z nadzieją.

– Jestem przede wszystkim zaskoczona, ale oczywiście... Tak, jestem zainteresowana.

– Doskonale. Zaczynasz w najbliższą niedzielę, a do końca tygodnia możesz wziąć wolne – zakomunikował, jakby chciał zrzucić z siebie ten problem tak szybko, jak to tylko możliwe.

Zatrudnienie mnie na kolejne trzy próbne miesiące było dla niego idealną opcją. Nie musiał czekać, przesłuchiwać kolejnych kandydatów, płacić agencjom. Miał ambitną pracownicę, która będzie się chciała wykazać, a do tego nic nie ryzykował. Jeśli się uda, super – jeśli nie, poszuka kolejnej. A na razie w swoich mowach motywacyjnych skierowanych do zespołu będzie mógł używać mnie jako przykładu, że warto się starać, bo można zająć wysoko.

– To wszystko. Dziewczyny z HR zgłoszą się do ciebie, żeby dopełnić formalności – rzucił jeszcze na koniec.

ROZDZIAŁ 10

Awans

– Gratulacje! – zawołała Reina, stając w drzwiach biura z hotelowym szampanem w ręku.

Byłam jeszcze zasnana, kompletnie zaskoczona, ale również bardzo zaintrygowana. Oczywiście były co najmniej dwa poważne powody, żeby mi gratulować, ale każdy z nich wciąż jeszcze był tajemnicą. Nie miałam więc pojęcia, co tak naprawdę wie Reina.

O zaręczynach mogła usłyszeć od Marka – wprawdzie prosiłam go o dyskrecję, ale może nie zrobiłam tego wystarczająco dosadnie. O awansie mogła wiedzieć dzięki Almie. Od czasu tamtej ewidentnej manipulacji z datą rozmowy kwalifikacyjnej nie miałam wątpliwości, że Reina ma w dziale HR skuteczną wtyczkę.

– A cóż to za okazja? – spytałam z uśmiechem.

– Nie udawaj, przecież dobrze wiesz! – odpowiedziała, sięgając po telefon, by zadzwonić do Marka. Chciała, by do nas dołączył, zanim wystrzelili korek szampana.

Ja tymczasem nadal rozważałam, czego mi gratuluje Reina. Awans by ją rozwścieczył, zaręczyny też. To nie miało większego sensu. Dlaczego miałyby się cieszyć z tego, że sprzątnęłam jej sprzed nosa posadę, o którą tak zabiegała? Gdyby z kolei cieszyła się z postępów w moim związku z Ziadem, pewnie zareagowałaby jakoś na pierścionek. Obie wersje wydawały się równie prawdopodobne, co niedorzeczne.

Kiedy Mark pojawił się w drzwiach biura i zobaczył Reinę z szampanem, na chwilę zamarł.

– Ja niczego nie powiedziałem! – zapewnił żarliwie.

– Wiedziałeś wcześniej? – rzuciła Reina z oburzeniem.

– Ja w ogóle niczego nie wiem!

– Spokojnie, mam swoich zaufanych informatorów – stwierdziła, posyłając gromy w jego kierunku. – Zdrajca!

– Nie uważasz, że to Kasia i Ziad powinni nam o tym powiedzieć, kiedy uznają to za stosowne?

– A co Ziad ma z tym wspólnego?

– No przecież to on się oświadczył... – powiedział zdezorientowany Mark, kompletnie nie przeczuwając katastrofy.

– Co? Ziad się oświadczył?! – wrzasnęła Reina.

– No... tak. A czego innego chciałaś gratulować Kasi?

– Awansu! Dostała dawną posadę Chloe, to znaczy Jane!

– Serio? – pisnął Mark. – To fantastycznie!

Do tej pory przysłuchiwałam się tej wymianie zdań, nie mając najmniejszego wpływu na jej przebieg. Nie byłam w stanie zatrzymać rozpędzonej lawiny i choć zaręczyny miały pozostać tajemnicą, stwierdziłam, że nic wielkiego się nie stanie, jeśli się ona wyda. I tak przecież prędzej czy później to nastąpi.

Mark doskoczył do mnie i mocno mnie przytulił. Reina w tym czasie kipiała z wściekłości do tego stopnia, że nie było pewne, kto zaraz eksploduje – ona czy szampan. I w ten oto sposób moi najbliżsi współpracownicy wyręczyli mnie w pochwaleniu się dwoma najwspanialszymi wydarzeniami, jakie mnie spotkały.

– Czyli to znaczy, że nas opuszczasz... – zreflektował się chwilę później Mark, robiąc smutną minę, mocno przesadzoną.

– No coś ty! Przecież sprzedaż w dużej mierze zależy od was. Nadal będziemy blisko, tylko teraz będą mnie bardziej ścigać o wyniki... – powiedziałam. – No i będę znacznie miłsza od Jane.

– Od niej nawet Reina byłaby miłsza. – Mark wbił szpilę swojej przyjaciółce, która ewidentnie starała się ukryć, jak wielkim ciosem są dla niej moje zaręczyny.

Była w stanie przeżyć to, że odebrałam jej szansę na awans, ale Ziad? Przez cały ten czas liczyła, że w końcu się opamięta, zrozumie, że nie ma szans na szczęście z jakąś niewierną latawicą z Europy. Ono przecież miało go czekać tylko u jej boku.

Tymczasem czekało mnie mnóstwo zmian i formalności związanych z nowym stanowiskiem. Musiałam wypełnić kilkanaście formularzy, znowu oddać na kilka dni swój paszport, urządzić się w nowym biurze, tym razem

już samodzielny, posprzątać stare biurko... Cieszyłam się z tego, ale jednocześnie odzywała się we mnie sentymentalna natura – opuszczałam miejsce, które dało mi tyle radości i rozwinęło mnie w kierunkach, o jakich wcześniej nie mogłam nawet śnić.

Ale jak to mawiają: *Eyes on the prize* – „Oczy na nagrodę”! Tą była prestiżowa, choć wymagająca praca, wysoka pensja i szansa na to, że nasze marzenia o własnym mieszkaniu lub domu spełnią się znacznie szybciej, niż myśleliśmy.

Zanim jednak na dobre zdążyłam się rozsiaść w fotelu nowej szefowej działu sprzedaży, mniej więcej po tygodniu od mojego transferu do skrzynek mailowych pracowników hotelu przyszła wiadomość, że po wielu wspólnie przepracowanych latach opuszcza nas Reina. Nigdy nie udało nam się zaprzyjaźnić, miałam znacznie więcej powodów, by czuć do niej żal niż sympatię, ale i tak zrobiło mi się jej szkoda.

– Słyszałaś? – Ziad zadzwonił do mnie, jak tylko przeczytał maila o rezygnacji Reiny. W jego głosie słyszałam niekłamana radość.

– Tak – odpowiedziałam, zupełnie jej nie podzielając.

– Nie cieszysz się?

– Trochę mi jej szkoda.

– A mnie nie. Próbowwała nas rozdzielić, i to kilka razy. Nie powiedzieliśmy jej, że wiemy o jej intrydze z Koranem, ale to nie znaczy, że to się nie wydarzyło – przypomniał mój narzeczony.

W sumie miał rację. Z wielu powodów trudno będzie za Reina tęsknić, ale i tak było mi z tym źle.

– Przynajmniej my nie będziemy musieli wymyślać, jak ją ukarać – podsumował. – Wprawdzie nie miałem zamiaru puszczać jej tego płazem, ale teraz to już nie ma żadnego znaczenia. Niech jedzie, najlepiej jak najdalej stąd, i nigdy nie wraca.

W swoim pożegnalnym liście Reina napisała, że wraca do Libanu. Ja znałam jej historię i wiedziałam, że prawdopodobnie nadszedł moment, kiedy karierę będzie musiała zmienić na przymusowe małżeństwo z kimś, kogo nie kocha, a może nawet nie zna. Wiedziałam, że nadal kocha Ziada. Wiedziałam, że chciała awansować na stanowisko, które przypadło mnie. Czułam się w tej sytuacji winna, choć przecież nie zrobiłam niczego, co mogłoby jej zaszkodzić. Reina po prostu miała pecha, że pragnęła tego samego co ja. Tylko jedna z nas mogła być wygraną.

– Mam nadzieję, że nie wyjeżdżasz przede mną – powiedziałam podczas jej bankietu pożegnalnego.

– Nie schlebiaj sobie – rzuciła. – To, że zabrałaś mi faceta i awans, nie znaczy, że masz jakikolwiek wpływ na moje życie. Wyjeżdżam, bo chcę się wreszcie poczuć szczęśliwa.

– Reina, wiesz, że niczego ci nie zabrałam... – próbowałam się tłumaczyć, choć wiedziałam, że z góry jest to skazane na niepowodzenie.

– Tego nie wiem. Ale wiem, że Allah jest sprawiedliwy i ten, kto czyni zło, w końcu za nie płaci.

Nie czułam, że robię coś złego, ale też nie mogłam dyskutować z tym, co czuje Reina. Ona wyraźnie cierpiała, a ja nie mogłam tego zmienić. Nie mogłam powiedzieć nic, co zmieniłoby jej odczucia. Musiałam pozwolić jej odejść w poczuciu moralnego triumfu. Tylko tyle mogłam dla niej zrobić.

I choć mocno temu zaprzeczała, nie było wątpliwości, że jestem powodem, dla którego podjęła decyzję o wyjeździe z Dubaju, choć wtedy jeszcze nie wiedziałam do końca, jakie były kulisy tej sytuacji. Dopiero od dziewczyn z działu HR dowiedziałam się, jak bardzo była wściekła, że dopuściły do mojego awansu. Ponoć urządziła im karczemną awanturę, choć przecież nic tu od nich nie zależało. Była to jednoosobowa decyzja Baracka, znudzonego ciągnącymi się w nieskończoność rekrutacjami. Reina jednak swoje wiedziała. Była przekonana, że moje stanowisko należy się właśnie jej – nie tylko ze względu na to, że pracowała w kurorcie znacznie dłużej, ale także dlatego, że czuła się ode mnie lepsza.

Choć była bardzo daleka od radykalnego konserwatyzmu swojego ojca, część jego poglądów dostała się do jej krwiobiegu, a jednym z nich była wiara w uprzywilejowanie ludzi, którzy wzrastali w krajach i kulturze muzułmańskiej. Ja nigdy tego nie kwestionowałam, zawsze z szacunkiem podchodziłam do pierwszeństwa praw i zasad narzucanych przez prawo i obyczaje tych państw, jednak w tej sytuacji nie miałam zbyt wiele do powiedzenia.

Oczywiście mogłam odrzucić propozycję Baracka, ale w zasadzie dlaczego miałabym tak postąpić? Przecież przyjmując awans, nie postąpiłam wbrew komukolwiek. Reina widziała to zupełnie inaczej – była przekonana, że odebrałam jej nie tylko miłość jej życia, ale również szansę na błyskotliwą karierę. Zdecydowanie za dużo, by puścić mi to płazem.

CZEŚĆ III

ROZDZIAŁ 11

Siostra

– Jesteś pewna, że nie masz nic przeciwko? – spytał Ziad po raz nie wiem który.

– Jestem. Dlaczego miałabym mieć coś przeciwko odwiedzinom twojej siostry?

– Wiesz, z moją mamą nie poszło najlepiej...

– Twoja mama jest cudowną kobietą i bardzo cię kocha...

– To akurat was łączy. Ty też jesteś cudowna i też mnie kochasz – przerwał mi narzeczony z uroczym uśmiechem.

– To prawda. Prawdą jest też, że sporo nas dzieli. Mam tylko nadzieję, że twoja mama wie, że nie miałam nic wspólnego z tym Koranem...

– To pewnie wie. Ale szczerze? Mam wrażenie, że przyjazd Naili to jej pomysł. Mama nie może przeżyć naszych zaręczyn.

– Myślisz, że wysłała ją na przeszpiegi?

– Mogę się założyć. Znam swoją mamę. Znam też siostrę. Robi wszystko, czego chcą moi rodzice. Nie wiem, czy kiedykolwiek postąpiła wbrew ich woli. Nawet teraz, kiedy jest już mężatką, słucha częściej rodziców niż swojego męża. Przede wszystkim jednak Naila nie należy do dziewczyn, które ot tak wpadają na pomysł wycieczki do Dubaju.

– Myślisz, że stanowi dla nas jakieś zagrożenie? – spytałam, bo nagle się poczułam, jakbyśmy uczestniczyli w jakimś spisku.

– Nie, po prostu musimy odegrać szopkę, dzięki której mama dowie się tego, co chcemy jej powiedzieć – odpowiedział mój narzeczony. Na jego twarzy rysowała się satysfakcja wytrawnego gracza, który właśnie znalazł sposób na przechytrzenie swojego przeciwnika.

Nie do końca wiedziałam, co ma na myśli, ale ufałam, że wie, w jaki sposób postępować ze swoją rodziną.

W jego opowieściach Naila jawiła się jako osoba niemal ubezwłasnowolniona. Spodziewałam się dziewczyny, która przyjedzie w cerowanej burce z zainstalowanymi urządzeniami szpiegowskimi i nadajnikiem na głowie. To oczywiście niedorzeczne wyobrażenia – ale wygląd Naili zaskoczył mnie totalnie. Zresztą jak się okazało, nie tylko mnie.

Po naszym pierwszym spotkaniu Ziad wyznał mi, że jego siostra – początkowo w wyniku wychowania i przekonań religijnych, a później już chyba z przyzwyczajenia – praktycznie wszędzie chodziła w obszernej *abai*. W kwestii zasłaniania głowy była tylko trochę mniej radykalna, ale rzadko opuszczała dom bez *hidżabu*.

– Szczerze mówiąc, zdążyłem już zapomnieć, jakiego koloru są jej włosy. Moja siostra nawet przed rodziną raczej zawsze występowała w wersji szczelnie zapakowanej przed światem – powiedział, wciąż zaskoczony jej nowym wizerunkiem.

Do Dubaju Naila przyjechała bowiem niemal gotowa na czerwony dywan lub wybieg. Okazało się, że noszona na co dzień obszerna *abaja* skrywała doskonałą figurę. Teraz kobieta zdecydowała się pokazać ją światu. Jej kruczoczarne włosy miękkimi falami opadały na ramiona, z twarzy była kopią swojej matki, ale natura obdarzyła ją znacznie wyższym wzrostem, do którego dołożyła jeszcze dobre dziesięć centymetrów za pomocą szpilek.

– To naprawdę ty? – spytał Ziad z nieskrywanym zaskoczeniem.

– Siostry nie poznajesz? – spytała kokieteryjnie, doskonale zdając sobie sprawę, skąd bierze się to zdumienie.

– Szczerze mówiąc, ledwo...

Zaraz potem Ziad przedstawił mnie Naili.

– Słynna Kasia, która zawróciła w głowie mojemu bratu! – zawołała, obcałowując mnie i przytulając, po czym zwróciła się do Ziada: – Faktycznie jest śliczna. Mam nadzieję, że traktujesz ją właściwie.

– Jak prawdziwy skarb – odparł Ziad, kładąc dłoń na sercu, jakby składał przysięgę.

– To prawda. Twój brat jest wspaniały – potwierdziłam.

– Swoje ma za uszami, ale fakt, potrafi być uroczy – przyznała Naila.

Ja znałam tylko uroczonego Ziada. Wiedziałam, że w swoim czasie muszę spróbować się dowiedzieć, co takiego „ma za uszami”.

Naila przyleciała do Dubaju na dwa tygodnie. Pierwszą noc miała spędzić w naszym mieszkaniu. Na resztę pobytu zarezerwowaliśmy jej pokój w hotelu.

– Dziękuję, kochani, ale nie będzie mi potrzebny – powiedziała podczas powitalnej kolacji.

– Jak to nie? A gdzie będziesz mieszkać? – spytał Ziad.

Naila, nieco zmieszana, zamilkła na chwilę, jakby szukała właściwych słów, by ponownie go nie zszokować.

– Jestem umówiona... z przyjaciółmi – powiedziała powoli.

Ziad natychmiast wszedł w rolę zatroskanego brata. Był od niej młodszy, ale w arabskiej kulturze wiek brata nie ma znaczenia, gdy chodzi o bezpieczeństwo siostry, a jej znajomych Ziad wyraźnie uznał za zagrożenie.

– Co to za przyjaciele? – spytał lekko uniesionym głosem.

– Z dawnych lat.

– Naila... – Ziad zawiesił głos, bo przecież wiedział, że siostra nie ma żadnych przyjaciół z dawnych lat, bo jako siedemnastolatka została żoną i zaczęła rodzić dzieci. – Poznam ich? – nie ustępował.

Dziewczyna lekko się spłoszyła.

– Tak, zorganizuję spotkanie, ale nie od razu...

Na to Ziad był skłonny przystać. Po raz pierwszy widziałam, żeby zachowywał się tak protekcyjnie. Nie był jednak obcesowy. Temu wypytywaniu wyraźnie przyświecała troska, dodatkowo podsycana wrażeniem, że Naila coś przed nim ukrywa. Ja zresztą czułam podobnie, ale dla poprawienia atmosfery postanowiłam zmienić temat.

– Więc opowiadaj, jakie masz plany na Dubaj! – zachęciłam wesoło. – Poza tym, że jutro porywam cię na kawę, by poplotkować o twoim bracie.

– W tej kwestii na pewno możesz na mnie liczyć – Naila mrugnęła w moim kierunku i uśmiechnęła się tajemniczo.

– No, no! Tylko mi jej nie nastawiaj! – udawał zaniepokojenie Ziad.

– Spokojnie, możesz być pewien, że nie przyjechałam tu po to, by was poróżnić. Mama ewidentnie nie miała racji... – wypaliła Naila.

– A w czym? – zareagował natychmiast mój narzeczony.

– W tym, że do siebie nie pasujecie. Wy wprost jesteście dla siebie stworzeni.

To zabrzmiało jak prawdziwe błogosławieństwo. Naila zdobyła moje serce od pierwszej chwili. Czułam, że mamy szansę się zaprzyjaźnić, choć nie wiedziałam jeszcze, co tak naprawdę w sobie kryje. Prawdziwe rewelacje dopiero nadchodziły.

Nasze wspólne wyjście na plotki miało miejsce dopiero trzy dni później. Naila dała się porwać w wir Dubaju, a poza tym czekała na jakiś przelew, bez którego nie chciała się ze mną spotkać.

– Nie musisz się przejmować pieniędzmi – zapewniłam. – Ja zapraszam.

– O nie, nie... Będę się znacznie lepiej czuła, jeśli będę mogła zabrać cię na lunch i zakupy.

– Nie ma mowy! – zaprotestowałam. – Naila, jesteś naszym gościem!

Nie doszliśmy do żadnej konkluzji, każda wciąż obstawała przy swoim, ale nie miało to większego znaczenia. Naprawdę cieszyłam się na to spotkanie, a Ziad upatrywał w nim szansy na rozwiązanie tajemnicy nagłej przemiany swojej siostry. Był nią z jednej strony pozytywnie zaskoczony, z drugiej mocno zaniepokojony.

– Coś się wydarzyło – powiedział w przeddzień mojego spotkania z Nailą.

– Ale co się mogło wydarzyć?

– Naila bardzo się zmieniła...

– I to musi od razu oznaczać coś złego?

– Nie, ale może.

Dziwnie się ostatnio zachowywał. Nawet podczas pamiętnej wizyty swojej matki był spokojniejszy, choć wtedy miał zdecydowanie więcej powodów, by odchodzić od zmysłów. Oboje oczywiście patrzyliśmy na to z zupełnie innej perspektywy. W jego oczach poświęcająca się rodzinie i wycofana siostra stała się wampem, co mogło zwiastować tylko najgorsze. Dla mnie była symbolem kobiety, która wyzwoliła się z przypisanej jej z góry roli kury domowej i postanowiła wreszcie zacząć korzystać z życia. Nawet jeśli miało to trwać tylko dwa tygodnie, moim zdaniem było warto.

Umówiliśmy się na tarasie restauracji hotelu W. Sam obiekt od początku swego istnienia niezmiennie mnie zachwycał. Położony na The Palm, jak nasz, z pozoru jest jednym z wielu podobnych w Dubaju, ale moim zdaniem reprezentuje idealną wręcz kombinację subtelnych arabskich wpływów i tego, co najpiękniejsze w Europie. Zawsze gdy tam jestem, mam poczucie, jakbym przeniosła się na południe Włoch lub Hiszpanii. Może to dlatego, że wieczorami fasada hotelu już z daleka przyciąga wzrok

i nie pozwala się zignorować, niczym najlepsze kluby na Ibizie, a może dlatego, że za dnia można tu podziwiać zdobiącą ściany tęczą mozaikę z płytek Orsoni, podobnych do tych, których Gaudi użył do udekorowania barcelońskiej Sagrada Família. Rano można tu wpaść do knajpki Liv, gdzie rozsiadane po ścianach puchate kulki wprawiają w beztroski nastrój, a zabawne zestawy śniadaniowe obejmują ladę z sorbetami i stanowisko z owsianką z wielobarwnymi cukrowymi posypkami oraz masłem o smaku czekoladowym lub owocowym. Na lunch zaprasza tu Torno Subito, co znaczy po włosku „zaraz wracam”, choć tak naprawdę nikt, kto się tam znajdzie, nie ma ochoty wracać do rzeczywistości. A wszystko za sprawą wystroju z oświetleniem w kształcie piłek plażowych, nawiązującego do wczesnego kina włoskiego albo scenografii z obrazów Wesa Andersona. No, chyba że naszym kolejnym przystankiem jest bar SoBe na dachu hotelu, który doskonale oddaje rozgrzany słońcem latynoski klimat. To właśnie tam się umówiliśmy.

Naila wyglądała naprawdę zjawiskowo. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że ta piękna kobieta ukrywała swoją urodę przez tyle lat. Zresztą trudno było mi w niej dostrzec choćby ślady dziewczyny, którą opisywał mi Ziad.

– Powiedz, czy mój brat naprawdę dobrze cię traktuje? – spytała z troską.

– Oczywiście. Nie byłabym z mężczyzną, który traktowałby mnie źle – odparłam natychmiast.

Naila spuściła ze smutkiem głowę, co trochę mnie zaniepokoiło. Nie byłam pewna, czy chodzi o jej własne doświadczenia, czy może o Ziada. Musiałam to wyjaśnić.

– Dlaczego dopytujesz o to, jak mnie traktuje? Czy masz jakieś powody do niepokoju? Ja znam go od kilku lat, ty od urodzenia. Jest coś, co przede mną ukrywa?

– Nie, nie... absolutnie! – zareagowała gwałtownie, unosząc głowę. – Tylko wiesz, w tych sprawach bywa różnie.

– Oczywiście. Mężczyźni różnie traktują kobiety, ale i kobiety potrafią dać nieźle popalić facetom.

– Tak, tylko Ziad jest bardzo religijny i...

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć jako muzułmanka, że wierzysz w te bzdury o islamskim nakazie poniewierania kobiet.

– Oczywiście, że nie. Religia niczego takiego nie nakazuje, ale bywa dla mężczyzn doskonałym alibi. – Jej oczy nagle się zaszkliły. Nie miałam już

wątpliwości, że to, co mówi, to nie tylko teoretyczne rozważania.

– Naila, co chcesz przez to powiedzieć? – zapytałam wprost.

– Że mężczyźni bywają okrutni.

– Twój brat bywa okrutny?

– Nie, on nie... Chyba... Nie wiem. Wyprowadziłam się z domu, gdy miał dziesięć lat i był przesłodkim, zakochanym w pływaniu chłopcem. Nie interesował się niczym innym – zapewniła, a ja zrozumiałam, że Naila raczej nie ma na myśli swojego brata.

Tak przynajmniej chciałam myśleć.

– To twój mąż, prawda? – spytałam cicho.

Naila rozpoczęła ten temat wyraźnie z potrzeby zwierzenia się komuś, ale w ostatniej chwili się wycofała.

– Tu na szczęście go nie ma – rzuciła, uśmiechając się szeroko, jakby strząsnęła z siebie cały stres towarzyszący jej podczas tej rozmowy.

Zeszliśmy na znacznie przyjemniejsze, mniej znaczące tematy i przegadałyśmy tak dwie, może trzy godziny, aż w końcu Naila odważyła się poprosić mnie o przysługę.

– Mam do ciebie ogromną prośbę, ale musisz mi obiecać, że nie wspomnisz o tym mojemu bratu – powiedziała szybko, jakby chciała to z siebie wyrzucić.

– Oczywiście. Jak mogę ci pomóc? – rzuciłam odruchowo, choć nigdy niczego przed Ziadem nie ukrywałam.

– Potrzebuję odebrać przelew, ale mam z tym problem. Wymagają poręczenia osoby, która ma rezydenturę.

– To bez sensu, przecież te pieniądze nie są dla mnie...

– Ja też tak uważam, ale powiedzieli mi, że to jakaś regulacja związana z przeciwdziałaniem praniu brudnych pieniędzy i że bez tego nie mogę odebrać przelewu.

Wzruszyłam ramionami.

– Jeśli tak, to jasne, nie ma sprawy. Jest tylko jeden problem: mój paszport, odkąd zmieniłam stanowisko, zaległ w HR. Ale mogę go jutro odebrać i wtedy od razu pojedziemy do banku.

Naila nie miała nic przeciwko takiemu rozwiązaniu. Była mi bardzo wdzięczna.

Następnego dnia odebrałam swój paszport i pojechałam z Nailą do banku. Ku mojemu zaskoczeniu wszystko trwało zaledwie kilka minut i wymagało

ode mnie złożenia dwóch podpisów.

– Jak tylko pieniądze dotrą, zabieram cię na zakupy! – obiecała Naila, zachwycona tym, że cała operacja poszła po jej myśli.

– To zupełnie niepotrzebne – odparłam. – Ale czy możesz mi powiedzieć, dlaczego to taka tajemnica przed Ziadem? Przyznam ci, że strasznie mnie męczy to, że robię coś za jego plecami.

– On by tego nie pochwalił... – odparła enigmatycznie.

– Czemu? To coś nielegalnego?

– Nie, to zupełnie legalne. Ale i tak zrobiłaby się z tego poważna afera.

– No dobrze, nie będę cię ciągnąć za język. Ale mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Wiem, że nie znamy się długo, ale mój brat ma wobec ciebie poważne zamiary i jeśli się zgodzisz, w przyszłości będziemy siostrami. Nie zrobiłabym niczego, co mogłoby wpłynąć negatywnie na relacje nasze ani twoje z Ziadem.

Na tym sprawa z bankiem się zakończyła. Następnego dnia Naila przywiozła mi do hotelu prezent. Przepięknie zapakowana torebka Mulberry zaskoczyła mnie nie tylko swoją ceną. Naila miała gust. Wybrała taki model, jaki sama bym kupiła. Oczywiście gdyby kiedykolwiek przyszło mi do głowy wydać półtora tysiąca dolarów na torebkę.

– Ziad będzie coś podejrzewał, jak zobaczy u mnie taką drogą torebkę – powiedziałam speszona, dziękując Naili za ten zaskakujący prezent.

– Mój brat nie ma pojęcia o modzie. W życiu nie będzie podejrzewał, ile kosztuje to cacko. Ale na pewno się ucieszy, że jego siostra złapała taki świetny kontakt z jego przyszłą żoną – odpowiedziała, zegnając się ze mną pospiesznie.

To był ostatni raz, kiedy widziałam się z Nailą przed jej wyjazdem. Przynajmniej tym planowanym. Do Ziada też tylko zadzwoniła, żeby się pożegnać przed wylotem do domu. Był bardzo zaskoczony. Po raz kolejny podczas tej wizyty.

– Bardzo się cieszę, że tak się polubiłyście, ale czuję, że ona coś ukrywa. Wiesz może co? – spytał.

Speszyłam się, ale zaprzeczyłam. W sumie nie wiedziałam. Ja tylko pomogłam Naili, poręczając przy założeniu jednorazowego konta w banku, które pozwoliło na odebranie przelewu. Tak mi przynajmniej powiedziano. Nie sądziłam, że ma to coś wspólnego z podejrzeniami Ziada.

A przynajmniej tak sobie wmawiałam, żeby uspokoić sumienie, choć szło mi marnie, bo wciąż dręczyły mnie wyrzuty.

To był dopiero koniec aktu pierwszego tego dramatu. Drugi otworzył rozpaczliwy telefon od Miriam, która zadzwoniła do Ziada w poszukiwaniu swojej córki.

– Naila miała przylecieć dwa dni temu, ale nie było jej na pokładzie samolotu, na który miała bilet! Ahmed powiedział nam o tym dopiero teraz! – mówiła z przejęciem. – Błagam, powiedz, że jest z tobą, że jest bezpieczna!

Ziad niestety nie mógł potwierdzić tego pierwszego, a na drugie miał tylko nadzieję.

– Mamo, nie widziałem Naili od ponad tygodnia. Dzwoniła do mnie tylko, żeby się pożegnać przed wylotem...

– Jak to? Przecież miała mieszkać z wami! Miała z wami spędzać czas...

– Tak, tak, mamo, wiem... Miała się upewnić, że z mojego małżeństwa z Kasią nic nie wyjdzie. Wiem, po co ją tu wysłałaś!

– Jak możesz mówić takie rzeczy w obliczu tragedii! – Miriam natychmiast uderzyła w lament, zupełnie jakby się przygotowała.

– Mamo, jakiej tragedii? Naila nie zaginęła. Zapewne po prostu postanowiła nie wracać do tego oprawcy Ahmeda...

– Ziad, chłopcze, co się z tobą dzieje? To wpływ tej przeklętej dziewczuchy!

– Jeśli mówisz o mojej przyszłej żonie, to ostrzegam: zanim powiesz o jedno słowo za dużo...

Miriam, o dziwo, postanowiła się powstrzymać od kolejnego komentarza. Ziad tymczasem wrócił do głównego tematu:

– Ahmed ją prał od czasu, kiedy za niego wyszła. Skoro nawet ja o tym wiedziałem, to wy chyba też.

– Naila jest jego żoną i to są sprawy między nimi...

– Jasne, tak jest najwygodniej. Zostawiliście ją z tym samą, a teraz się dziwisz, że zniknęła.

Ziad nie miał pojęcia, gdzie jest jego siostra, nie wiedział też, czy faktycznie uciekła, bo była ofiarą przemocy domowej, ale postanowił wykorzystać tę sytuację, by uzmysłwić swojej matce powagę sytuacji.

– Chcesz powiedzieć, że to moja wina? – spytała Miriam teatralnie drżącym głosem.

– Nie, twoją winą jest to, że pozwalasz maltretować córkę damskiemu bokserowi i chowasz głowę w piasek.

– Ahmed jest dobrym muzułmaninem – szła w zaparte.

– Nie, Ahmed modli się jak muzułmanin i twierdzi, że nim jest, ale żaden dobry muzułmanin nie krzywdzi słabszych. Dobry muzułmanin reaguje, gdy kogoś słabszego spotyka krzywda.

– Jak możesz, synu? Czy ty sugerujesz, że my z ojcem nie jesteśmy dobrymi muzułmanami?

– To ty to powiedziałaś.

– Nie na takiego człowieka cię wychowałam... – Miriam była bliska hysterii, gdy Ziad postanowił spuścić z tonu.

– Mamo, dobrze mnie wychowałaś – powiedział cicho. – Dlatego nie mogę pozwolić na to, by Naila nadal cierpiała.

O tym, co się dzieje w domu Naili i Ahmeda, Ziad nigdy wcześniej mi nie mówił. Nawet wtedy, gdy zapowiadał wizytę swojej siostry i twierdził, że ta przyjeżdża nas szpiegować. Te historie nie bardzo mi się składały w całość. Nie potrafiłam zrozumieć, jak Naila może być jednocześnie posłuszną córką, szpiegiem na usługach zaborczej matki, poddaną żoną i wampem gotowym do ucieczki, a biorąc pod uwagę tajemniczy przelew, może nawet do malwersacji finansowych. Ziad nie widział w tym jednak żadnych rozbieżności.

– Zawsze chodziła na łańcuszku rodziców, więc byłem przekonany, że skoro tak nagle chce przyjechać do Dubaju, to raczej dlatego, że wysłała ją tu moja matka. I faktycznie tak było, tyle że Naila najwyraźniej miała zupełnie inny plan na tę podróż...

Niespełna dwie dekady wcześniej...

Naila od najmłodszych lat czekała na moment, gdy rodzice przyprowadzą do domu kandydata na jej męża. Oczywiście ci nie mieli zamiaru zrobić tego, gdy była małą dziewczynką, choć już wtedy wiedziała, że taka właśnie rola – dobrej żony – jest jej życiowym przeznaczeniem. Obserwowała bacznie swoją matkę, a w zabawach często to właśnie ją naśladowała, ćwicząc przypisane kobietom zachowania, przynajmniej w świecie, w którym dorastała.

Los splatał jej figła, gdy kilka miesięcy przed swoimi siedemnastymi urodzinami spotkała Abbasa. Oczywiście dziewczęta takie jak ona nie mają zbyt wielu okazji, by poznawać młodych chłopców, ale Naila nie żyła na bezludnej wyspie. Jako prawie już dorosła dziewczyna miała liczne obowiązki domowe. Zdarzało się też, że opiekowała się dziesięcioletnim wówczas Ziadem. Ponieważ maluch był oczkiem w głowie całej rodziny, jego matka nie wyobrażała sobie, by na plażę, gdzie codziennie pływał, chodził sam. Ponieważ nie miała czasu, by go tam zabierać, najczęściej było to zadanie jej męża, ale zdarzało się, że bratem opiekowała się wówczas Naila. Miriam nie miała wątpliwości, że jej córka będzie wiedziała, jak się zachować, i choć na plaży często bywa wielu skąpo ubranych i skorych do wszelkiego rodzaju uciech chłopców, nie da się zwieść żadnemu z nich.

I rzeczywiście Naila zwieść się nie dała, co nie znaczy, że wyprawy na plażę nie miały na nią wpływu. Zajęta domowymi sprawami Miriam nie zauważyła nawet, że jej córka coraz częściej i z coraz większą ochotą zabiera braciszka na wybrzeże. Dla Naili stał się to najmiłszy punkt dnia. To właśnie tam, w czasie gdy Ziad zażywał kąpiele, rozmawiała z dwa lata od niej starszym Abbasem, chłopakiem, który od rana pracował w zakładzie samochodowym jako mechanik, zaocznie uczył się na technika ogrodnictwa, a popołudniami uczył młodych Brytyjczyków i Niemców surfowania.

Naila wpadła mu w oko w dniu, w którym zdecydowała się zdjąć z głowy *hidżab* i pozwolić, by wiatr rozwiał jej piękne, długie włosy. To wtedy podszedł do niej po raz pierwszy. Początkowo spłoszona, próbowała udawać, że jej tam nie ma, ale to tylko rozbawiło Abbasa.

– Wiesz, że to nie działa, prawda? – rzucił.

– Co nie działa? – spytała nieśmiało i z lekkim wyrzutem.

– No to, co robisz.

– A co niby robię?

– Próbujesz odwracać głowę. Nawet jak ją odwrócisz, nadal cię widać – zaśmiał się Abbas.

– Nic takiego nie robię, po prostu byłam zajęta – próbowała wybrnąć z krępującej sytuacji.

– A niby czym byłaś zajęta? Przyglądaniem się chłopcom w kąpielówkach? – Abbas wciąż próbował ją rozbawić, a Naila wciąż

próbowała odwracać głowę.

– Nie przyglądam się żadnym chłopcom – powiedziała przez zaciśnięte zęby. – Pilnuję swojego młodszego brata.

– Mnie się przyglądasz... Przecież oboje to wiemy. – Abbas puścił do niej oko, gdy Naila odwróciła wzrok w jego kierunku. – Ale spokojnie, możesz patrzeć. To miłe.

Chciała się oburzyć, może nawet zwyzywać go od impertynentów, może się poderwać i zmienić miejsce, by został sam upokorzony. Chciała zachować się tak, jak powinna zachować się dobra muzułmanka, jak oczekiwaliby tego od niego jej rodzice, ale nie potrafiła.

Abbas był piękny. Muskularny, wysoki, z delikatnie owłosioną klatką piersiową i wyrzeźbionym brzuchem, istnym dziełem sztuki. Tak, patrzyła na niego wielokrotnie. Zawsze nosił czerwone kąpielówki. Musiał być widoczny na plaży, ale ona wypatrywałaby go w tłumie, nawet gdyby jego kąpielówki były w innym kolorze albo gdyby ich nie było...

Gdyby ich nie było!

Zawstydziła się tych myśli. Była nimi rozpalona, nie chciała ich porzucać, a jednocześnie czuła się winna, że robi coś złego, coś, co jej nie przystoi. Abbas postanowił pomóc jej wybrnąć z tej trudnej sytuacji. Dobrze wiedział, co może chodzić po głowie dziewczynie, która w blisko czterdziestostopniowym upale siedzi na plaży w *abai*. Postanowił winę za grzechy, których tak bardzo bała się Naila, wziąć na siebie i usiadł tuż obok niej.

Widząc to, dziewczyna podskoczyła spłoszona.

– Spokojnie, nie robisz nic złego. To ja tu usiadłem i nie chcę sobie pójść, więc to moja wina. Ty nie masz z tym nic wspólnego. Po prostu musisz wysłuchiwać jakiegoś natręta, który właśnie ma przerwę w pracy i zamiast pójść gdzie indziej, postanowił usiąść tutaj.

To tłumaczenie przekonało Nailę. Bardzo chciała znaleźć powód, który pozwoli jej na swobodne spędzenie czasu z Abbasem, ale przecież nie mogła tak po prostu tego zainicjować. Zaczęła więc regularnie przychodzić na plażę z Ziadem, siadała w tym samym miejscu, a Abbas przychodził do niej i się jej naprzykrzał. I z każdym dniem lubiła to bardziej.

Poznawali się coraz bliżej i stawali się dla siebie coraz ważniejsi. W ich głowach zaczęły pojawiać się obrazy przyszłości, których początkowo nie

rozpoznawali, ale z czasem stało się jasne, że są marzeniami o tym, że spędzą ją wspólnie.

Niedługo po tym, jak Abbas wyznał jej miłość, a Naila odpowiedziała tym samym, w jej rodzinnym domu wybuchło poruszenie. Wyglądało to tak, jakby zbliżał się Eid Al-Fitr³, ale do tego zostały jeszcze miesiące.

– Nailo, w piątek będziemy mieć gości, musisz wyglądać naprawdę zjawiskowo. Umówiłam cię już do salonu piękności, pójdziemy tam razem – zakomunikowała mama.

Naila wpadła w panikę. Do tej pory wizyty gości w ich domu nie zmuszały jej do wizyt w salonie piękności. To mogło oznaczać tylko jedno. Rodzice zamierzali ją wyswatać.

– Mamo, ale po co to wszystko?

– Przyjdą do nas państwo Al Shaouk. Z synem! – zakomunikowała Miriam, niemal piszcząc z ekscytacji. – Nie chciałam ci mówić wcześniej, bo pewnie nie mogłabyś spać. Wiem, jak bardzo czekałaś na ten moment.

Owszem, Naila czekała na ten moment jako mała dziewczynka, której wmówiono, że nadaje się tylko do bycia żoną mężczyzny, którego nawet sama nie jest w stanie sobie wybrać. Ale teraz wszystko się zmieniło. Na samą myśl o tym, że nie będzie mogła już spędzać czasu z Abbasem, marzyć, że może kiedyś porwie ją w ramiona i sprawi, że będzie najszczęśliwszą kobietą na świecie, łzy cisnęły się jej do oczu.

Miriam natychmiast to zauważyła. Niestety zinterpretowała błędnie.

– Oj, kochanie... – powiedziała, ocierając jej policzki. – Doskonale rozumiem to wzruszenie, ja też sobie nie wyobrażam, że moja mała córeczka będzie żoną. Ale pamiętaj, by jutro powstrzymać łzy. Nie chcemy urazić rodziny Al Shaouk. To bardzo porządni ludzie i prawi muzułmanie. Musisz na nich zrobić jak najlepsze wrażenie...

I tak Naila zaczęła przygotowania do robienia wrażenia na swoim przyszłym mężu. A gdy była już gotowa i nadszedł dzień ich spotkania, chciała zapaść się pod ziemię. Zniknąć, tak by nikt nie mógł jej znaleźć.

Ahmad był bardzo przystojnym chłopakiem. Lekko przy kości, ale nie można było mu odmówić urody. On też wyraźnie przygotował się do robienia wrażenia na Naili, bo na wizytę w domu jej rodziców obwiesił się złotem, jakby miał zamiar zaraz potem ruszyć na handel w miejscowym *souku*. Rodzice Naili byli przekonani, że Ahmed jest właściwym wyborem na męża dla ich córki, ale jej ojciec zamierzał

uzyskać dla niej możliwie najwyższy *mahr*⁴. Nie chodziło tu nawet tyle o same pieniądze, co o podkreślenie jej wartości.

Wpłacony w gotówce *mahr* miał pozostawać na prywatnym koncie Naili, do którego jej mąż nie mógł mieć dostępu. Miało to być jej zabezpieczenie na wypadek, gdyby ich małżeństwo nie okazało się szczęśliwym. To był jedyny moment, gdy rodzice wykazali się troską o jej przyszłość. Wkrótce potem, kiedy Naila została już żoną Ahmeda, a ten po raz pierwszy fizycznie odcisnął swoje niezadowolenie na jej twarzy, umyli ręce, twierdząc, że małżeńskie sprawy załatwia się między małżonkami.

Naila, wciąż zakochana w Abbasie, musiała pożegnać się z marzeniami i pogodzić ze swoim losem. Teraz była żoną, za chwilę miała zostać matką. Jej życie zmieniło się w bezdenną otchłań powinności, w której nie było miejsca na jej własne potrzeby. Wkrótce na świat przyszły dzieci. Rok po roku urodziła trzech synów i pogodziła się z tym, że w jej życiu nie pojawią się już żadne uniesienia. Zająła się opieką nad dziećmi i była to dla niej jedyna pociecha, bo z każdym rokiem Ahmed stawał się wobec niej bardziej obcesowy i agresywny.

Bił ją, by odreagować stres – czasem za karę, niekiedy dla zabawy. Początkowo zabraniał jej o tym mówić, a do tego mocno ograniczał jej wizyty w domu rodzinnym, ale musiał na nie pozwalać w czasie świąt. Kiedy jednak się zorientował, że ma w swoich teściach sprzymierzeńców, którzy wyznają zasadę, że skoro jest mężem Naili, jej los jest wyłącznie w jego rękach, odpuścił. Odtąd Naila odwiedzała dom rodzinny zdecydowanie częściej. Choć jej rodzice nie zamierzali wcielić się w adwokatów, czuła się u nich znacznie bezpieczniej niż u siebie. To wtedy opowiedziała swojemu młodszemu, wówczas już siedemnastoletniemu bratu, co przeżywa na co dzień.

– Musisz o tym powiedzieć rodzicom! – zareagował Ziad bez chwili wahania.

– Oni wiedzą o tym od lat, ale uważają, że moją powinnością jest wypełniać ich wolę. A ich wolą było, żebyśmy była żoną Ahmeda.

– Ale jak wychodziłaś za niego, był miły, a potem okazał się zbir.

– Ahmed tak naprawdę nigdy nie był miły, od samego początku było wiadomo, jaki czeka mnie los. Ja wtedy tego nie wiedziałam, ale prędzej

byłabym skłonna znieść ból jego ciosów niż ten spowodowany złamanym sercem.

– Masz złamane serce?

Wówczas Ziad poznał jeszcze jedną tajemnicę swojej siostry. Opowiedziała mu o swojej wielkiej niespełnionej miłości do Abbasa.

– Dlaczego nie wyszłaś za niego? – spytał naiwnie.

Naila spuściła głowę ze smutkiem, który odczuwała za każdym razem, gdy słyszała to pytanie. Nikt przed Ziadem nie zadał go wprawdzie na głos, ale ona słyszała je w swojej głowie od lat. Zadawała je sobie, Bogu, losowi...

– Wiesz dobrze, że w naszej rodzinie nikt nie podejmuje takich decyzji sam.

– Ja podejmę. Nikt nie będzie decydował o tym, kogo pokocham – zapewnił Ziad.

– Ty jesteś chłopakiem, ale i tak się założę, że nasza mama będzie chciała wpłynąć na twoją decyzję.

Ziad nie mógł się pogodzić z tym, że jego siostra straciła miłość swojego życia, jak mówiła o Abbasie. Może gdyby była szczęśliwa w małżeństwie, może gdyby Ahmed traktował ją z szacunkiem i dbał o nią, Ziad by odpuścił – ale w tej sytuacji nie mógł. Postanowił zadziałać i odnaleźć Abbasa. Wiedział, że znajdzie go na plaży, na której wciąż czasem pływał. Znali się z widzenia, ale Ziad, mimo że w dzieciństwie często tam przychodził z siostrą, nigdy się nie zorientował, że coś ją łączy z przystojnym instruktorem.

Dotarł tam i powiedział Abbasowi, kim jest.

– Dobrze wiem, kim jesteś. Wiele razy chciałem cię spytać o siostrę, ale zawsze brakowało mi odwagi – powiedział Abbas z wyraźnym smutkiem.

– Ona dopiero wczoraj powiedziała mi, że cię kocha...

– Kocha mnie? Zaraz po tym, jak mi to wyznała, zniknęła. Już nigdy więcej tu nie przyszła.

– Rodzice zmusili ją do małżeństwa. Ma trójkę dzieci, a jej mąż to skurwiol, który ma ciężką rękę.

Abbas walczył jednocześnie z zaskoczeniem, wściekłością i rozpaczą.

– Nie może jej bić! A ona nie może z nim zostać!

– Wiem. Ale Naila nie jest osobą, która potrafi sprzeciwić się rodzicom. Dopóki oni będą stali po stronie jej męża, nie odejdzie od niego. No,

chyba że...

– Że co?

– Że ty będziesz ją w stanie do tego przekonać.

Minęły prawie cztery lata. Abbas pogodził się już, że tajemnicza dziewczyna z plaży, z którą planował związać swoją przyszłość, zniknęła z jego życia na zawsze. Myślał nawet, że udało mu się już wyrzucić z serca uczucia, jakie do niej żywił. Ale kiedy spotkał jej brata i dowiedział się, co się z nią działo po tym, jak zniknęła, wszystko odżyło w nim z nową mocą.

Nie miał planu ani czasu, by go opracować. Gdy tylko się dowiedział, gdzie teraz mieszka Naila, udał się do jej domu z odsieczą. Ta była z miejsca skazana na niepowodzenie, ale Abbas czuł, że musi spotkać się z dziewczyną, o której wciąż nie mógł zapomnieć, nawet jeśli dziś już była mężatką.

Abbas długo stał pod domem, w którym Naila mieszkała wraz z rodziną. Czekał, aż kobieta wyjdzie, a gdy pojawiła się na ulicy, podszedł i stanął kilka kroków przed nią.

– Naila? – rzucił.

Rozpoznała go natychmiast, a potężna dawka emocji targnęła jej ciałem. Nie wiedziała, co powiedzieć – czy w ogóle powinna mówić cokolwiek. Była mężatką, kobietą należącą do innego mężczyzny, nawet jeśli temu, na którego właśnie patrzyła, oddała swoje serce.

– Nie możemy... – powiedziała ze ściśniętym gardłem. – Jestem...

– Wiem, twój brat wszystko mi powiedział. Ale nie możesz tak żyć, a ten człowiek nie może cię tak traktować.

– Nic nie mogę z tym zrobić.

– Więc ja coś zrobię – zapowiedział Abbas.

– Nie, nie możesz. Ahmed ma wszędzie kontakty. Zrobi ci krzywdę albo poważnie zaszkodzi! – zareagowała Naila w panice.

– Nie dam mu się zastraszyć. I ty też wkrótce nie będziesz się już go bać.

Potem się rozeszli – każde w swoją stronę, choć jedyne, czego chcieli, to paść sobie w ramiona.

W obojgu odżyły dawne uczucia i dla obojga miało to fatalne skutki. Abbas odnalazł Ahmeda i bez namysłu, tracąc resztki instynktu

samozachowawczego, stanął w obronie swojej ukochanej. Ahmed potrzebował kilku chwil, zanim zrozumiał, kim jest ten młody mężczyzna.

– Kto dał ci prawo wypowiedania się na temat mojego małżeństwa i sposobu, w jaki traktuję swoją żonę? – spytał zaskoczony.

– Kocham Nailę i nie pozwolę ci jej nigdy więcej uderzyć! – rzucił Abbas buńczucznie.

Ahmed najpierw się uśmiechnął, a potem zarechotał.

– Idź swoją drogą, bracie, póki jeszcze możesz to zrobić o własnych siłach – wydusił pomiędzy salwami śmiechu.

– Ostrzegam, że nie odpuszczę. Jeśli jeszcze raz uderzysz Nailę, to będzie twój ostatni raz.

Ahmed oczywiście nic sobie nie robił z tych pogroźek. Pobił żonę jeszcze tego samego wieczoru, przekonany, że ta niechybnie go zdradza. Tej samej nocy wracający do swojego wynajmowanego mieszkania Abbas też został dotkliwie pobity. Ze zmasakrowaną twarzą, wstrząśnieniem mózgu, połamanymi rękami i nogami trafił do szpitala, gdzie lekarze stoczyli wielogodzinną walkę o jego życie, a gdy największe zagrożenie minęło, spędził tam kolejne trzy miesiące.

O tym, co go spotkało, powiedział Naili Ziad. Pobiciem Abbasa żyli wszyscy, którzy spotykali się na plaży.

– Ahmed! To on musiał to zlecić! – zawołała natychmiast. – Jest przekonany, że mam z nim romans!

– Nie mam wątpliwości, że to on. Twój mąż jest skończonym draniem – rzucił Ziad z wściekłością.

– Abbas musi wyjechać. Ahmed zapowiedział, że nie spocznie, dopóki nie zobaczy mojego kochanka martwego. Ale nie sądziłam, że od razu przystąpił do realizacji swojego planu. Muszę go ostrzec...

– Jeśli Ahmed się o tym dowie, zabije nie tylko jego.

– Mnie i tak któregoś dnia zabije. Nie chciałabym jednak mieć na sumieniu kogoś, kto zginął z mojej winy. Zwłaszcza że zdałam sobie ostatnio sprawę, że ja wciąż Abbasa... – Naila powstrzymała się przed wypowiedzeniem słów, które jednak Ziad z łatwością odgadł.

– Wiem, że go kochasz. Pójdę z tobą do szpitala. Abbas to świetny facet...

Naila z trudem dostała się na oddział, gdzie leżał jej ukochany. Z trudem też ubłagała go, by wyjechał z miasta, gdy tylko go wypiszą. I Abbas się

zgodził.

Ale postawił jej pewien warunek.

³ Uroczystość kończąca okres ramadanu – muzułmańskiego świętego miesiąca.

⁴ Ustanowiona pieniężna lub rzeczowa zapłata dla panny młodej wnoszona przez jej przyszłego męża.

ROZDZIAŁ 12

Ucieczka

Zamieszanie związane ze zniknięciem Naili mocno odbiło się na moich stosunkach z Ziadem. Nie kłóciliśmy się, ale w naszym związku powiało chłodem. Tłumaczyłam sobie to tym, że jego głowę zaprzatają teraz sprawy rodzinne i jedyne, co mogę w tej sytuacji zrobić, to nie zaprzatać jego uwagi sobą.

Nie było to trudne, gdyż bardzo szybko wpadłam w wir nowych obowiązków. Ogrom spraw niezałatwionych przez moją poprzedniczkę i kurczący się czas do końca roku, kiedy trzeba wykazać się wynikami, sprawiły, że bardzo szybko znalazłam się pod ogromną presją.

Czekały mnie trzy duże wizyty biur podróży, z którymi nasz resort chciał nawiązać współpracę. Jedno z nich, amerykańskie, było prawdziwym potentatem i podpisanie z nim kontraktu mogło się przełożyć na znaczący wzrost przychodów, a teraz również tym musiałam się martwić. Nie musiałam osobiście przygotowywać tej wizyty, tym zajmował się mój zespół, ale miałam w niej czynnie uczestniczyć i to właśnie do mnie należało upewnienie się, że oczarowani przedstawiciele biura złożą swoje podpisy w odpowiednim miejscu.

Amerykanie, którzy raczej nie podróżują, mają bardzo zaburzone postrzeganie świata arabskiego. To zresztą dotyczy wielu innych nacji, ale w amerykańskiej popkulturze, która w dużej mierze kształtuje społeczną świadomość, rolę wrogów narodu przyjęli na siebie rosyjski szpieg i arabski terrorysta. Oba zjawiska rzecz jasna istnieją, ale na tak małą skalę, że kreowanie na ich podstawie wizerunku całego narodu lub rasy jest wysoce niesprawiedliwe. Nikt jednak w tej kwestii nie przejmuje się sprawiedliwością i wielu ludzi wierzy, że wszyscy Arabowie na co dzień

noszą na sobie pasy szahida, a gdy tylko spotkają białego człowieka, wysadzają się wraz z nim w powietrze.

Dorastałam w domu, który również nie był wolny od tajemnej wiedzy na temat obcych, którą dysponowali wyłącznie moi rodzice. Ojciec na przykład twierdził, że osoby ciemnoskóre (w jego słowniku „murzyni”) śmierdzą. „Tatusiu – pytałam – a czym śmierdzą?”, na co ojciec odpowiadał: „Taką spalenizną”. Był ewidentnie przekonany, że ciemną barwę skóry osiąga się w wyniku przypalania, coś jak w przypadku kiełbasek z rusztu – stąd zapach spalenizny. Osobiście nigdy nie spotkał „murzyna”, ale był przekonany, że w swoich wywodach ma świętą rację.

Zawsze myślałam, że tego typu uprzedzenia dotyczą wyłącznie ludzi, którzy nie podróżują. I choć ich opinie są często krzywdzące, trudno się dziwić ich ignorancji. Nie sądziłam jednak, że dotyczy to również tych, którzy podróżują często, mało tego – ze względu na pracę podróże są ich codziennością.

Biuro, na którego kontrakt liczyliśmy, miało siedzibę w Dallas. Pierwszą klasą Emirates na koszt naszego resortu przyleciało trzech jego przedstawicieli: dwie około trzydziestoletnie kobiety, Judy i Rachel, oraz ich szef John, na oko czterdziestoletni.

Przygotowaliśmy dla nich trzy najlepsze pokoje, ale Judy i Rachel zdecydowały, że zamieszkają razem. Cała trójka stanowiła dość osobliwą grupę. Judy wyraźnie była zwolenniczką komfortowej odzieży. Ubrana w piaskową koszulę, dobrane pod kolor szorty i wysokie traperskie buty, które po przyjeździe zastąpiły japonki z wzorem moro, wyglądała, jakby wybierała się na safari. Rachel tymczasem podążała za trendami. O ile jej koleżanka odnalazłaby się w swoim stroju na pustyni, ona bez trudu wtopiłaby się w tłum modnych dubajskich centrów handlowych. Doskonale dobrane ciuchy, wysokie obcasy, świetna figura – tak, Rachel robiła wrażenie. O ile Judy zdawała się nie przejmować otoczeniem, a Rachel chciała mu zaimponować, o tyle John wyraźnie skupiał się wyłącznie na sobie i swoich przyjemnościach. Jego postura zdradzała, że lubi jeść i ceni sobie wygodę.

Moim zadaniem był sprawić, by wszyscy wyjechali z Dubaju absolutnie nim zachwyceni, a ich aparycja dawała mi jasne wskazówki, co robić, by zwiększyć na to szanse. W Dubaju można przeżyć przygody wywołujące wyrzut adrenaliny, oddać się modowemu szaleństwu, najeść do syta

i odpocząć na zapas. Zorganizowaniem tych atrakcji miał się zająć mój zespół, ja zaś miałam się pojawić na powitalnej kolacji i wprowadzić naszych gości w klimat dubajskiej przygody.

– I jak pierwsze wrażenia? – spytałam z ekscytacją, gdy uporaliśmy się już z powitaniem i pierwszymi grzecznościami.

– No, nieźle kompleksy mają te Arabcy, skoro tak bardzo chcą nas kopiować! – zaczął John z grubej rury. – Ale widać, że kasy nie oszczędzają.

– Tak, Dubaj potrafi zachwycić...

– Jak ktoś ze wsi przyjedzie, to może i się zachwyca. Budynki jak budynki.

Nie miałam już wątpliwości, że John będzie trudnym zawodnikiem. Wyraźnie przyjechał tu z gotową agendą, której głównym punktem było udowodnienie amerykańskiej dominacji nad światem arabskim – cel jakże daleki od mojego.

– A wy, drogie panie? Zdążyłyście się już rozejrzeć? – zwróciłam się do Rachel i Judy w nadziei, że zmienią nieco ton naszej rozmowy.

Obie wyglądały na lekko znudzone i ewidentnie cierpiały z powodu jet lagu, co postanowiły manifestować nie tylko słownie, ale i całym swoim jestestwem.

– Musiałyśmy odpocząć, jutro po śniadaniu chcemy się wybrać do miasta. Czy możecie nam załatwić ochronę? – spytała Rachel z wyraźną manierą.

– Ochronę? – spytałam zaskoczona.

– No tak, wiadomo przecież, jaki muzułmanie mają stosunek do Amerykanów. Będziemy się czuły bezpieczniej...

Słyszałam wiele nedorzecznych pytań w czasach, gdy pracowałam jako rezydentka, ale nie spodziewałam się, że najbardziej nedorzeczne usłyszę od ludzi, którzy powinni mieć choć minimum wiedzy o świecie. Przez chwilę rozważałam, czy warto w ogóle wchodzić w tę dyskusję, by ostatecznie stwierdzić, że nie. Byłam pewna, że ochrona w Dubaju nie jest im potrzebna i nikt na nie tu nie czyha, więc zapewnienie im fikcyjnej obstawy mogło podziałać tylko na naszą korzyść.

W rolę strażnika ich bezpieczeństwa miał się wcielić oczywiście Ziad. Dzięki temu miałam mieć na pokładzie szpiega, co mogło okazać się całkiem pomocne w zdobyciu serca Amerykanów. A przynajmniej ich pieniędzy.

Następnego dnia Ziad zabrał obie panie na wycieczkę po mieście, podczas gdy John postanowił rozkoszować się luksusami oferowanymi przez resort. Oczywiście robił to pod płaszczykiem sprawdzania jakości naszych usług, ale nie miałam wątpliwości, że to dla niego doskonała okazja, by wypocząć, poleniuchować, najeść się i opić aż po korek. I w sumie wszystko byłoby w porządku, bo takich gości hotel każdego dnia ma mnóstwo – od tego jesteśmy. John jednak należał do tych najgorszego sortu.

Już pierwszego dnia do naszej recepcji zgłosiło się kilku mężczyzn z tą samą skargą. Mieli problem z Amerykaninem, który nie kryjąc się w żaden sposób, robił ich rodzinom – a co gorsza, ich żonom – zdjęcia. Wszystkie skargi pochodziły od gości z Półwyspu Arabskiego, ale przecież zwyczajnie mieli prawo sobie tego nie życzyć. Zanim poskarżyli się w recepcji, każdy z nich poprosił Johna, by nie robił zdjęć, ale na nic się to zdało.

– A co wam szkodzi? – irytował się Amerykanin. – Chcę uwiecznić trochę tych waszych pozakrywanych kobitek, bo w normalnym kraju nie uświadczysz na basenie tak zakutanej baby. Jak nie będę miał na zdjęciu, to nikt mi nie uwierzy!

Recepcja nie miała innego wyjścia, jak tylko od razu zainterweniować.

– Przepraszam bardzo – powiedział chłopak, który miał tego dnia dyżur. – Mam ogromną prośbę, by nie robił pan zdjęć gościom hotelu. W muzułmańskiej kulturze istnieje pewna wrażliwość w kwestii wizerunku.

– Kultura? – zachnął się John. – Arabska kultura?! Gdyby nie my, to dalej wielbłędami byście tu jeździli i kozy posuwali.

Recepcjonista, który pochodził z Tunezji, bardzo starał się nie odbierać tego osobiście, ale obawiał się o reakcję otoczenia.

– Bardzo proszę ciszej. Takie słowa mogą niektórych obrazić – próbował uspokoić Amerykanina.

– Uciszać to pan możesz swoją żonę, nie mnie! – John spróbował wstać z leżaka, ale tusza w połączeniu ze sporą ilością alkoholu podgrzanego słońcem sprawiła, że okazało się to bardzo trudne. Przeturlał się przez leżak i dopiero w ostatniej chwili przed upadkiem udało mu się spionizować. Recepcjonista w pierwszym odruchu chciał mu pomóc, ale się powstrzymał, uznając, że jeśli facet sobie coś zrobi, to skupi się na bólu i będzie to doskonała okazja, by usunąć go z basenu.

W końcu, lekko się zataczając, John stanął przed Tunezyjczykiem i wrzasnął:

– Wiesz, kim ja jestem?!

Recepcjonista wiedział doskonale, ale nie zamierzał dawać mu satysfakcji, zwłaszcza że scena gromadziła coraz większą widownię, która w napięciu oczekiwała na rozwój wypadków.

– Jest pan naszym gościem i bardzo się z tego cieszymy – odparł wciąż spokojnym głosem. – Mam tylko prośbę, żeby nie zakłócać spokoju innym.

– Nie jestem żadnym gościem! Gości to wy tu macie z biur podróży takich jak moje! Jak będę chciał, to nie wyślę wam ani jednego turysty! – wydzierał się John, starając się wycelować w recepcjonistę palcem, ale marnie mu to szło.

– Oczywiście ma pan takie prawo. Mogę zapewnić, że jest pan u nas mile widziany, ale naprawdę proszę się uspokoić.

To jeszcze bardziej rozwścieczyło agresora.

– Żaden brudny Arab nie będzie mi mówił, że mam się uspokoić! – toczył pianę.

Recepcjonista, który był skłonny i tę obelgę puścić mimo uszu, już składał usta do kolejnej grzecznej prośby, gdy zza pleców Johna wyrosli hotelowi ochroniarze. Ktoś najwyraźniej ich wezwał, widząc, w jaki sposób mężczyzna wyżywa się na biednym pracowniku, a do tego próbuje obrażać wszystkich dookoła. Ochrona w takich miejscach jak hotele jest specjalnie szkolona, by podobne sytuacje rozwiązywać w możliwie dyskretny sposób. Tym razem nie było inaczej. Okrzyki Johna ucichły bardzo szybko, a on sam został odprowadzony do pokoju z kategoryczną prośbą, by go nie opuszczał. Nigdy nie spytałam, co mu powiedziano, ale było to na tyle skuteczne, że mimo swojego mocno nietrzeźwego stanu nie odważył się wychylić głowy zza drzwi.

Kiedy się dowiedziałam, co się stało, serce mi zamarło. Mój pierwszy kontrakt i już zanosilo się na spektakularną porażkę. Musiałam natychmiast porozmawiać z Barackiem. Na szczęście mój szef nie był tak przejęty jak ja.

– Jeśli się nie uda, to trudno – stwierdził. – Nie będziemy się zabijać o kontrakt z biurem, którego przedstawiciel nie potrafi się zachować i obraża nam gości.

Trochę mnie to uspokoiło, ale spokoju nie da się wpisać w tabelki z wynikami. Bardzo potrzebowałam finansowego sukcesu.

Jak się okazało, dzień Judy i Rachel był zdecydowanie bardziej udany. Oczarowane moim osobistym narzeczoną i zachwycone miastem, zapowiedziały, że będą rekomendować podpisanie kontraktu. Powiedziały to jednak, jeszcze zanim dowiedziały się o wydarzeniach z udziałem ich pijanego szefa, więc wcale nie byłam pewna, że tak właśnie się stanie.

Reszta wizyty Amerykanów przebiegła w miarę spokojnie. John po wytrzeźwieniu płonął wstydem i na naszym ostatnim spotkaniu, na którym mieliśmy omówić ostateczne warunki kontraktu, siedział cicho. Już miałam nadzieję na sukces, jednak gdy wszystko wydawało się ustalone, John postanowił zabrać głos. Wyraźnie należał do ludzi, którzy lubią, gdy ostatnie słowo należy do nich.

– Nie będziemy zainteresowani – rzucił.

– Jak to, John...? – zareagowała Rachel.

– Tu jest wspaniale. Klienci pytają o Dubaj, musimy go włączyć do oferty... – argumentowała Judy.

– Włączymy. Jest tu przecież wiele resortów. Rozmawiamy już z kilkoma – stwierdził nieprzejednany.

– Ale przecież to jest idealny, pięciogwiazdkowy hotel. Mają perfekcyjną obsługę, fantastyczne jedzenie, a sam budynek, pokoje, baseny... to wszystko wprost zachwyca!

– Mnie nie zachwyca.

– John, dobrze wiesz, że to najlepszy hotel, jaki mielibyśmy w ofercie.

– Powiedziałem: nie! – uniósł się.

Niedługo potem nasze spotkanie dobiegło końca. W zasadzie zakończył je John, odchodząc od stołu i zostawiając nas kompletnie zaskoczone. Ja mogłam się spodziewać, że losy kontraktu są zagrożone, ale Rachel i Judy były wyraźnie skonsternowane. Chyba po raz pierwszy znalazły się w podobnej sytuacji.

– John z reguły nie był zainteresowany szczegółami. Jeśli hotel dobrze karmił i dbał o to, by jego szklanka nie była pusta, nie oponował – powiedziała Judy.

– W zasadzie to jeszcze nigdy nie zakwestionował kontraktu – dodała Rachel.

– Obawiam się, że w tym przypadku może mieć poważne powody – wyjaśniłam i opowiedziałam im całą historię z nad basenu.

Wysłuchały jej z wypiekami na twarzy, po czym... zapowiedziały, że w takim razie na pewno będziemy współpracować. Następnie powiedziały mi, co mam zrobić, żeby tak się stało. W tajemnicy przed Johnem przygotowaliśmy szczegóły kontraktu, tak jakby jego słowa nie miały żadnego znaczenia.

Dokładnie tak, jak zapowiedziały Judy i Rachel, dwa tygodnie później kontrakt został podpisany. John tymczasem musiał podpisać swoje wypowiedzenie. Amerykanki, które wyraźnie miały dość swojego prostackiego szefa – jak się bowiem okazało, nie pierwszy raz narobił im wstydu podczas wizytacji resortu – wykorzystały sytuację, by się go pozbyć. Poradziły, żebym napisała oficjalne pismo i przesłała nagrania z kamer monitoringu. Biuro podróży w Dallas, które niejednokrotnie już miało kłopoty z powodu podobnych zachowań swoich klientów, było szczerze zaskoczony, że skarga dotyczy wysłanego przez nich menedżera. A wraz z oficjalnymi przeprosinami przyszło zapewnienie o chęci nawiązania współpracy.

To była bardzo wyjątkowa sytuacja – większość przedstawicieli biur podróży, z którymi współpracujemy, to profesjonaliści nienadużywający swoich stanowisk. Wśród wielu, których poznałam, byli prawdziwi pasjonaci podróży, potrafiący docenić wysoki poziom usług, jakie oferuje nasz resort. Był też jeden pechowiec, który swojej ostatniej, jednej z wielu wizyt w Dubaju raczej nie będzie wspominał najlepiej, choć do chwili wylotu była ona bardzo udana.

Inspektor biura ze Szwajcarii podróżował sam. Współpracowaliśmy z jego firmą już od kilku lat, ale jej pracownicy zwykli regularnie wizytować wszystkie obiekty wakacyjne ze swojej oferty, by się upewnić, że warunki nie uległy pogorszeniu i wszystko jest dokładnie takie jak w kolorowych prospektach.

Michaela poznałam jeszcze w czasach, kiedy pracowałam w dziale z Markiem i Reiną. Był bardzo restrykcyjny, jeśli chodzi o standardy, ale po godzinach pracy uwielbiał dobrą zabawę. Mam nawet wrażenie, że przez chwilę on i Mark mieli ze sobą coś wspólnego. A może tylko się przyjaźnili... W każdym razie to był naprawdę miły chłopak i chociaż miał sporą władzę, nigdy nie okazywał wyższości.

Kiedy po kolejnej inspekcji wylatywał z Dubaju, został zatrzymany przez służby z najbardziej niedorzecznego powodu, o jakim do tej pory słyszałam. Przy nim moje aresztowanie wydawało się całkiem zasadne, choć dziś wciąż trudno mi je tak postrzegać. Przez długi czas nikt nie powiedział Michaelowi, z jakich powodów został zatrzymany. Natychmiast odebrano mu telefon i komputer, informując go, że są dowodami przestępstwa i muszą zostać zbadane.

Jego komputer był służbowy. Michael miał pewność, że nie jest dla niego zagrożeniem, ale w telefonie miał aplikację randkową dla gejów Grindr, a w niej sporą liczbę zakończonych i wciąż otwartych rozmów. Był przekonany, że to właśnie ona jest powodem zatrzymania, a zaraz stanie się również dowodem wystarczającym do tego, żeby go skazać.

Kiedy w końcu po kilkunastu godzinach od zatrzymania Michaelowi pozwolono skorzystać z telefonu, postanowił szukać pomocy u Marka. Jeśli faktycznie powodem była niedozwolona aplikacja, Mark najlepiej wiedziałby, co należy w tej sytuacji zrobić.

Oczywiście w Dubaju coś takiego jak niedozwolone aplikacje w praktyce nie istnieje, bo większość ludzi korzysta z VPN, który modyfikuje parametry ich urządzeń tak, by blokady nałożone przez rząd można było obejść. Ale nie zmienia to faktu, że w przypadku złapania za rękę można mieć poważne kłopoty. Już sam zainstalowany w telefonie lub komputerze VPN może napytać biedy, bo dla władz jest on niezbitym dowodem na prowadzenie nielegalnej działalności w internecie.

– Stary, mieszkam w Dubaju wiele lat i nigdy nie miałem z tego powodu żadnych problemów! – powiedział zaskoczony Mark, słysząc przestraszony głos Michaela. – Musisz mieć cholernego pecha. Ale skąd oni mogli wiedzieć, że masz w telefonie Grindr?

– Nie wiem, nikt niczego mi nie powiedział. Gdy pytam, wszyscy mnie tu ignorują. Powinienem już od kilku godzin być w Zurychu, a siedzę w jakiejś kanciapie bez okien i nie mam pojęcia, co dalej...

Mark nie miał wątpliwości, że sytuacja jest poważna. Ponieważ Michael był de facto moim gościem, natychmiast do mnie zadzwonił i opowiedział o całej sytuacji.

– Skąd oni mogli wiedzieć, co ma w telefonie? – spytałam, podobnie jak Mark wcześniej.

– Nie wiem, może ktoś go podejrzwał, a może używają jakiegoś urządzenia szpiegowskiego... Nie mam pojęcia, o co chodzi. Najgorsze, że Michael też niczego nie wie i nie ma z nim kontaktu. Udało mu się do mnie zadzwonić, ale nie mam pojęcia, kiedy będzie miał kolejną taką okazję.

– Musimy powiedzieć o tym Barackowi. Jest jedyną osobą, która ma szansę się czegoś dowiedzieć. No i oczywiście trzeba powiadomić ambasadę. Nawet nie wiem, czy Szwajcaria ma swoją ambasadę w Dubaju...

Okazało się, że ma konsulat. To w takich sytuacjach w zupełności wystarcza. Barack obiecał, że natychmiast zajmie się sprawą, a w konsulacie przyjęto zgłoszenie z prawdziwą atencją. Nie mogliśmy zrobić nic więcej.

Dwa dni później Michael znowu zadzwonił do Marka.

– Przenieśli mnie do prawdziwego aresztu i wyznaczyli mi termin rozprawy – oznajmił wyraźnie podłamany.

– Jesteś bezpieczny? – spytał Mark, choć nie miał pewności, czy w tej sytuacji to właściwe pytanie.

– Teoretycznie nie dzieje się nic złego, ale nie wiem, jak długo dam radę. Coraz gorzej sobie radzę psychicznie...

To brzmiało bardzo niepokojąco.

– Mike, wytrzymaj. Konsulat już działa w twojej sprawie, nasz szef też uruchomił swoje kontakty. Jest tu nieźle ustawiony. Wyciągniemy cię z tego, zobaczysz! – próbował go pocieszyć Mark. Nic więcej nie mógł zrobić.

Do rozprawy pozostał jeszcze tydzień i był to czas pełen nerwów i niepewności. Michael nie skontaktował się już z Markiem, ale wiedzieliśmy, że jest pod opieką adwokata, który miał go reprezentować w sądzie.

Sama rozprawa była krótka. Dopiero podczas niej Michael się dowiedział, jaką zbrodnię popełnił.

– Podsądny zostaje skazany za niezgodne z prawem wspieranie podmiotów nieuprawnionych do prowadzenia zbiórek na terenie Zjednoczonych Emiratów Arabskich – zakomunikował sędzia.

Wyrok był bezlitosny. Michael miał spędzić w dubajskim więzieniu rok i zapłacić pięćdziesiąt tysięcy dirhamów grzywny.

Zjednoczone Emiraty Arabskie mają bardzo restrykcyjne prawo dotyczące zbiórek charytatywnych, o czym wie niewielu odwiedzających ten kraj turystów i mieszkających tu rezydentów. Zgodnie z obowiązującym od wielu lat, a dodatkowo zaostrożonym i doprecyzowanym w 2021 roku prawem na terenie Dubaju nie można organizować żadnych zbiórek charytatywnych. Nie można też ich reklamować w mediach społecznościowych, a nawet osobiście wspierać.

Na takie działanie wymagane jest specjalne zezwolenie ministerstwa. W kłopoty można wpaść, nawet wspierając fundację działającą poza ZEA, ale podczas pobytu na terenie kraju. Przekonało się o tym wielu zarówno mieszkańców, jak i turystów. Jedną z głośniejszych spraw było aresztowanie Australijczyka Scotta Richardsa, który krótko po wprowadzeniu tego prawa został oskarżony o nielegalne wspieranie amerykańskiej organizacji charytatywnej. Richards mieszkał w Dubaju już od dziesięciu lat, gdy bezwiednie udostępnił na Facebooku post, dotujący organizację charytatywną, która finansuje procedury medyczne i leczenie uchodźców w Afganistanie.

Przed wyjazdem do Dubaju warto przejrzeć swoje media społecznościowe, by nie stały się one dowodem na łamanie prawa.

Będąc w Dubaju, w wolnym czasie Michael faktycznie wsparł organizację zbierającą pieniądze na dzieci chore na raka. W dzieciństwie stracił młodszą siostrę, która przegrała walkę z białaczką, dlatego już jako dorosły był wrażliwy na potrzeby innych dzieci, którym pomoc mogła uratować życie.

Kiedy tylko zobaczył na Facebooku apel o wsparcie jakiejś fundacji, natychmiast włączył się w tę akcję, a następnie udostępnił post, opatrując go komentarzem: „Helping wherever you are” – „Pomagać, gdziekolwiek jesteś”. Opatrzył go hashtagiem #dubai i prawdopodobnie to go zgubiło, bo pozwolił namierzyć się emirackim służbom monitorującym media społecznościowe. Niczym groźny dla otoczenia złoczyńca.

Niestety paradoksalnie post o pomaganiu sprawił, że jego autor sam potrzebował pomocy. Wyciągnięcie Michaela z więzienia zajęło służbom dyplomatycznym Szwajcarii ponad cztery miesiące. Władze Dubaju utrzymywały, że mężczyzna złamał prawo i nie ma powodów do ułaskawienia, ale ostatecznie się poddały.

Tymczasem mijały prawie dwa miesiące, od kiedy siostra Ziada nie wróciła do domu. Sam Ziad wydawał się o nią dziwnie spokojny, a ja wciąż miałam wyrzuty sumienia, że zataiłam przed nim kwestię przelewu, który pomogłam jej załatwić. Niemal codziennie zastanawiałam się, czy w zaistniałej sytuacji nie powinnam mu o tym powiedzieć, ale stawało się to coraz trudniejsze. Bo niby jak miałabym wytłumaczyć, że zwlekałam z tym aż tak długo?

– Masz jakieś wieści od Naili? – spytałam któregoś dnia.

– Nie, najwyraźniej nie jest jeszcze gotowa na kontakt – odpowiedział mój ukochany z uśmiechem.

– Mówisz tak, jakbyś wiedział, co się z nią dzieje.

– Bo wiem.

– Co? – spytałam zdumiona.

– Wiem. Jest szczęśliwa i bezpieczna. Myślisz, że gdybym tego nie wiedział, tkwiłbym tu tak spokojnie?

– Na pewno nie. Dlatego do tej pory się dziwiłam, że jej nie szukasz. A teraz się dziwię temu, co mówisz...

– *Habibti*, czekałem, aż sama zaczniesz tę rozmowę, bo zdaje się, że nie tylko ja mam w tej sprawie tajemnice. – Ziad mrugnął do mnie i wyciągnął rękę.

Shit! – pomyślałam przerażona. On wie o przelewie!

Złapałam jego dłoń, a on przyciągnął mnie i posadził na swoich kolanach, przytulając mocno.

– Wiem, że Naila prosiła cię o dyskrecję. To nie było fair wobec ciebie, dlatego nie mam ci tego za złe. Wiem też, że w każdej innej sytuacji byś mi o tym powiedziała.

Czy on zawsze musi być taki szlachetny? – westchnęłam w duchu. Powinien być na mnie zły. Ma do tego prawo.

Nie kontynuowałam tego wątku, choć w mojej głowie natychmiast zrodziło się pytanie, skąd wie. Pewnie z tego samego źródła, które zapewnia go o bezpieczeństwie i szczęściu jego siostry.

– Jesteś pewien, że Naili nic nie grozi? – spytałam po chwili.

– Grozi. I właśnie dlatego na razie się nie kontaktujemy.

– Więc skąd wiesz, że wszystko z nią w porządku?

– Naila jest tam, gdzie powinna być od dwudziestu lat.

Szybko połączyłam kropki i zrozumiałam, że jej wyjazd do Dubaju był ucieczką do ukochanego Abbasa. Stało się też jasne, że to on jest informatorem Ziada.

Ponad dekadę wcześniej...

Kiedy Abbas wyszedł ze szpitala, natychmiast wyjechał z miasta, a później również z kraju. Zrobił to jednak pod warunkiem, że przez cały czas ich rozłąki Naila będzie utrzymywała z nim kontakt, a gdy przyjdzie odpowiedni moment, znowu się połączą, by spędzić resztę życia razem.

Naila wierzyła, że ich ponowne spotkanie nie było przypadkowe, a nieszczęście, jakim od pierwszych dni okazało się jej małżeństwo, spowodowało, że postanowiła pielęgnować w sobie marzenia o przyszłości z Abbasem.

Chłopak wyjechał do Kataru, gdzie dzięki swojemu ogrodniczemu wykształceniu szybko znalazł pracę przy utrzymaniu zieleni miejskiej, a następnie zdobył zatrudnienie u jednego z dużych deweloperów. Piął się po szczeblach kariery, by ostatecznie zostać głównym architektem zieleni przy wszystkich projektach firmy. Umiejętność tworzenia zielonych, kwiatnych oaz na pustyni i utrzymania ich mimo surowych warunków jest w bogatych krajach Zatoki Perskiej niezwykle cenna, a ci, którzy ją posiadają, nigdy nie muszą się martwić o chleb. Stać ich na znacznie więcej, bo każdy deweloper, każdy szejk, każde miasto, każde centrum handlowe chce mieć w swoich zespołach najlepszych specjalistów, by móc zachwycać niespodziewaną w tej części świata roślinnością.

Sporą część swojego zawodowego sukcesu Abbas zawdzięczał temu, że skupiał się na jednym celu: chciał zbudować wspaniały świat dla Naili. Nie planował zakładania rodziny z nikim innym, nie rozpraszała go myśl o dzieciach, nie miał nikogo na utrzymaniu. Odkładał każdy rial, który nie był mu potrzebny do przeżycia, by jego ukochana mogła żyć w dobrobycie, gdy wreszcie do niego dołączy.

Dziewczyna dotrzymała słowa i przez cały ten czas potajemnie pozostawała w kontakcie z Abbasem. Miała sekretny telefon, o którym jej mąż nie wiedział przez długie lata. Dostała go oczywiście od Abbasa. Para miała umowę, że Naila będzie kasowała każdą ich konwersację natychmiast po jej zakończeniu, tak by w razie wpadki nie wydało się,

z kim rozmawia. Naila nie zapisała też w pamięci telefonu numeru Abbasa. Znała go na pamięć. Dla zmylenia przeciwnika w książce telefonicznej widniał wyłącznie numer jej matki.

Ahmed z czasem i tak dowiedział się o sekretnej komórce. To wtedy życie Naili ze złego zmieniło się w prawdziwy koszmar. Nie uwierzył w to, że dodatkowy telefon potrzebny jest jej do rozmów z matką. Zresztą gdy tylko go odkrył, natychmiast wybrał numer teściowej, przekonany, że pod zapisaną nazwą maskuje się ktoś inny. Miriam, która ku jego zdziwieniu odebrała, była z kolei zdziwiona, że jej zięć dzwoni z nieznanego jej numeru. Naila oczywiście nie mogła uprzedzić matki, by ta ją kryła – na pewno nie pochwaliby jej romansu, nawet jeśli był czysto platoniczny.

Ahmed próbował zmusić Nailę, aby wyjawiała prawdę, ale dziewczyna milczała jak grób. Nie pomagały ciosy ani wyzwiska. W końcu wymyślił, co zrobić, żeby pękła.

Przez cały ten czas największym problemem dla Naili był fakt, że ma małe dzieci, których nie mogła opuścić. Abbas to rozumiał, bo wiedział, że gdyby to zrobiła, nie byłaby szczęśliwa u jego boku. Wciąż myślałaby o swoich synach. Ahmed również wiedział, jak są dla niej ważni, dlatego postanowił ich wywieźć i odseparować od matki, aż ta nie powie mu, z kim kontaktowała się za pomocą tajnego telefonu.

Naila odchodziła od zmysłów, prosząc męża o litość, ale ten pozostawał nieugięty. Cierpliwość Ahmeda skończyła się jednak znacznie wcześniej, niż można było się tego spodziewać. Widząc, że kara nie przynosi oczekiwanych rezultatów, pewnego wieczoru, pijany i rozwścieczony, pobił Nailę tak, że kobieta straciła przytomność. Gdyby nie moment opamiętania, który przyszedł do niego nad ranem, prawdopodobnie by nie przeżyła. Ahmed wezwał pogotowie i choć obrażenia wyraźnie wskazywały na przemoc domową, stwierdził, że żona spadła ze schodów. Lekarze nie zadawali pytań. Nie był pierwszym mężem, którego połowica doznała tak rozległych obrażeń, bo nie uważała na schodach.

Naila leżała w szpitalu ponad miesiąc, a kiedy ją wypisano, matka po raz pierwszy od lat okazała jej troskę. Nie pozwoliła jej wrócić do domu Ahmeda. Ona jedna nie dała wiary wersji o upadku ze schodów i jak nigdy wcześniej obcesowo potraktowała swojego zięcia.

Ahmed poczuł, że jego pozycja jest zagrożona, dlatego usunął się w cień na jakiś czas. A gdy przyjechał poprosić żonę, by wróciła do ich domu, ta kategorycznie zapowiedziała, że nie zrobi tego, dopóki nie przywiezie jej dzieci. Nie widziała ich już od blisko roku. Ahmed obiecał, że wróci, i wkrótce rzeczywiście przyjechał wraz z nimi do domu rodzinnego swej żony. Ta wyczekiwana od dawna chwila okazała się jednak dla Naili następnym koszmarem.

Chłopcy mieli wtedy kolejno dziesięć, jedenaście i dwanaście lat. Wciąż byli mali, ale wiele już rozumieli. To jednak także wiek, kiedy na młody umysł można wpływać bardzo intensywnie, kształtować go i lepić bez trudu. Wszyscy trzej w ciągu niespełna roku zostali przekonani, że ich matka jest niebezpieczna, a kochający ojciec zabrał ich od niej tylko po to, by ich chronić.

To spotkanie po raz kolejny rozdarło kobiecie serce. Wszyscy byli wystraszeni, a gdy chciała ich przytulić, czuła, jak drżą. Zirytowana sytuacją Miriam zażądała od Ahmeda, by dzieci pozostały pod jej dachem, ale zięć kategorycznie odmówił.

– Ich miejsce jest w ich domu – powiedział.

– Więc dlaczego w nim nie mieszkają?

– O to musisz już spytać swoją córkę. To wyłącznie jej wina – warknął przez zaciśnięte zęby, po czym zwrócił się do Naili: – Jeśli chcesz, byśmy znowu byli rodziną, musisz wrócić ze mną do domu.

Takie ultimatum było dla Naili jak wybór Zofii. Nigdy nie chciała tworzyć rodziny z Ahmedem, ale wiedziała, że to jedyny sposób, by podjąć próbę odzyskania kontaktu z synami. Dlatego zgodziła się na powrót.

Ahmed osiągnął swój cel. Tym bardziej że teściowie obiecali znowu wspierać ich małżeństwo, a niesnaski puścić w niepamięć.

Naila straciła nadzieję, że jej marzenia o przyszłości z Abbasem kiedykolwiek staną się rzeczywistością, ale w tamtym czasie miała przed sobą znacznie trudniejsze zadanie. Musiała odzyskać swoich synów.

Spokój nie trwał długo. Ahmed, który się przekonał, że szantaż dziećmi jest jedynym skutecznym sposobem na żonę, zaczął regularnie z niego korzystać. Kolejne lata przeciągania liny spowodowały, że dorastający chłopcy sami stali się oprawcami swojej matki. Zanim ostatni z nich osiągnął pełnoletniość, Naila zdążyła zaznać od wszystkich trzech

znacznie więcej nienawiści niż miłości. Ahmed nie mógł odnieść większego sukcesu w zemście na swojej żonie. Wciąż młoda, wciąż atrakcyjna, Naila czuła się tak staro, jakby jej życie trwało wieki. Była załamana i obolała. Jej codziennością stało się maltretowanie przez najbliższych. Każdy cios wymierzony przez synów bolał znacznie bardziej niż którykolwiek zadany przez męża.

W końcu zdecydowała się ponownie uciec do domu rodziców. Tym razem Miriam odpuściła już umoralnianie i choć wciąż nigdy nie zgodziłaby się na rozwód swojej córki, nie nalegała, by ta wróciła do męża.

Naila poczuła się bezpiecznie. Wciąż też pamiętała numer Abbasa i choć nie liczyła, że ten będzie na nią czekał po tylu latach, napisała do niego. Abbas jednak czekał. Ich kontakt odżył, a miłość znowu zakwitła.

Kiedy Miriam wróciła z Dubaju, drząc, że moralności jej najmłodszego syna zagraża jakaś nieokrzesa Polka, Naila natychmiast dostrzegła w tym szansę na ucieczkę. Przez kolejne miesiące umacniała matkę w przekonaniu, że tę sprawę warto mieć pod kontrolą. Sprawiała nawet, że sam Ziad uwierzył, iż siostra jest po stronie matki i raczej nie będzie wspierać jego związku. To tylko zachęciło Miriam do wysłania córki z interwencją. Naila przygotowała się do wyjazdu bardzo skrupulatnie. Przekonała matkę, że musi zainwestować w swój wygląd, bo w Dubaju nie może się pokazywać w zgrzebnej *abai*. Po raz pierwszy od lat poczuła się piękna. Nikt poza nią nie wiedział, że nowa fryzura i wszystkie zabiegi pielęgnacyjne wcale nie przygotowują jej do roli perfekcyjnego szpiega. Naila szykowała się na długo wyczekiwaną randkę.

Abbas od kilku lat mieszkał już wtedy w Dubaju, gdzie prowadził własną firmę obsługującą gigantyczne wydarzenia – od imprez i targów po królewskie śluby. Miał kilka własnych nieruchomości, w tym apartament w Marinie, w którym czekał na Nailę.

Kiedy się spotkali, obiecali sobie, że nikt ich już nie rozdzieli. Niedługo po tym, jak się okazało, że Naila nie wróciła do Egiptu w umówionym czasie, Abbas skontaktował się z Ziadem. Naila postanowiła, że tylko on zasługuje na spokój. Jej matka, choć miewała przebłyśki troski, generalnie zdecydowanie bardziej martwiła się konwenansami, opinią rodziny i zasadami religijnymi niż jej dobrem; powinna dostać nauczki.

Ahmed i synowie nie zaprzęтали jej już głowy. Pogrzebała ich w swoim sercu z żalem, ale wiedziała, że dawno byli już sobie obcy i więzy krwi niczego tu nie zmieniają. Po prawie dwudziestu latach znalazła szczęście u boku mężczyzny, o którym nigdy nie przestała marzyć, którego nigdy nie przestała kochać.

Wiedziała, że czeka ją jeszcze niejedna batalia, bo musiała się rozwieść z Ahmedem i zalegalizować swój pobyt w Dubaju. Ale w tych pierwszych tygodniach nie liczyło się nic poza Abbasem. Mieli świadomość, że nie odzyskają utraconego czasu, ale nie zamierzali stracić już ani jednej chwili.

ROZDZIAŁ 13

Pułapka

Poznałam Abbasa niespełna miesiąc po tym, jak odzyskał swoją Nailę. Gdy oboje poczuli się już pewnie i zdążyli nacieszyć sobą, umówiliśmy się na podwójną randkę w jednej z dubajskich restauracji. Byli tak idealnie dobraną parą, że aż trudno uwierzyć, że musieli na siebie czekać prawie dwie dekady.

W ich przypadku przeszłość stała się przyszłością.

W życiu moim i Ziada przeszłość starała się na przyszłość wpłynąć.

Po wyjeździe Reiny nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek o niej usłyszę, ale jak się okazuje, niektórzy nie wiedzą, kiedy zejść ze sceny, nawet gdy kurtyna dawno już opadła.

– Napisała do mnie Reina – powiedział któregoś ranka Ziad. Spojrzałam na niego zaskoczona, ale zanim zdążyłam zadać oczywiste pytanie, sam podjął: – Zastanawia się nad powrotem do Dubaju i pytała, czy ciągle jesteśmy razem.

– Czyli jak mnie rzucisz, to od razu będziesz miał zastępstwo – zażartowałam, całując go w policzek.

– Nigdy tak nie mów – powiedział, próbując brzmieć groźnie.

– I co jej odpisałeś?

– Żeby dała sobie spokój, bo właśnie planujemy ślub.

– *Harsh!* – rzuciłam. – A planujemy?

– A nie? Nie chcesz zostać moją żoną?

– Muszę się nad tym poważnie zastanowić. Twoja mama zdecydowanie wolałaby za synową Reinę... – Puściłam do niego oko.

– Nie żenisz się z moją matką.

– To fakt, jest piękna, ale zdecydowanie wolę jej syna...

Rozmowę przerwał nam długi pocałunek; Ziad całował jak młody bóg.

– To niesamowite, że tak bardzo cię pokochała – rzuciłam całkiem serio, gdy w końcu się od siebie odkleiliśmy.

– Moja matka?

– Reina! – Klepnęłam go w ramię.

– Tak cię to dziwi?

– Nie, no oczywiście, że nie... W tobie trudno się nie zakochać. Ale mogłaby już sobie dać na wstrzymanie.

– Obawiam się, że nie spocznie, dopóki nie dopnie swego.

– Mam się bać? – spytałam zaskoczona. – Zakładasz, że jej się uda?

– Nie, nigdy jej się nie uda. Ale wiem, że będzie próbowała w ciągłej nadziei na sukces.

To brzmiało trochę złowieszczo, jednak postanowiłam się tym nie przejmować. Reina nie mogła mi zaszkodzić, bo byłam pewna uczuć Ziada i nie miałam wątpliwości, że to właśnie z nim chcę spędzić życie. Wtedy w mojej głowie pojawiła się myśl, że powinniśmy zrobić kolejny krok w naszym związku.

– Pojedziesz ze mną do Polski? – spytałam niespodziewanie.

– Z tobą polecę nawet na Marsa – odpowiedział Ziad, całując mnie czule.

– Chciałabym cię przedstawić moim rodzicom i rodzeństwu. Tylko ostrzegam: są bardzo specyficzni.

– Poznałaś już moją mamę i siostrę. Myślę, że trudno ci będzie przebić ten poziom patologii! – zaśmiał się, a ja pomyślałam, że biedak ewidentnie nie zdaje sobie sprawy, z jakimi zawodnikami będzie miał do czynienia.

– Moi rodzice są bardzo specyficzni i trochę... – Przerwałam, połykając słowa, które mogłyby go zniechęcić do podróży.

– Rasistowscy? – zgadł natychmiast.

Zmarszczyłam brwi.

– Poznałeś ich już?

– Mogłem się domyślić. Pamiętaj, że od lat pracuję w hotelach i spotykam różnych ludzi. Wielu z nich to rasiści, ale wielu też zachowuje się nieco rasistowsko, choć tak naprawdę wcale nie mają na myśli nic złego...

– Jak można zachowywać się rasistowsko i nie mieć na myśli nic złego? – oburzyłam się.

– Można. Wiesz, niektórzy ludzie są bardzo mili i nie mają złych zamiarów, ale czasami mówią coś, co jest obraźliwe, często nie zdając sobie z tego sprawy.

Wyrozumiałość Ziada mnie zdumiewała. Ja nie miałam jej w sobie aż tyle. Dla mnie ta kwestia była czarno-biała. Jeśli nie jesteś rasistą, to nie masz uprzedzeń i nigdy nie mówisz niczego, co mogłoby kogoś urazić.

Niestety moi rodzice nie należeli do osób, za które mogłabym ręczyć w tym temacie. Dlatego zaraz po tym, jak wpadłam na pomysł przedstawienia im mojego narzeczonego, zaczęłam się potwornie martwić. Ale czy miałam inne wyjście? Planowałam przyszłość z Ziadem, więc wcześniej czy później musiało dojść do ich spotkania. Tym, co mnie pocieszało, była myśl, że na co dzień dzielą nas tysiące kilometrów, więc jeśli nawet spotkanie okaże się fiaskiem, nie będzie to nic, czego nie naprawi lot powrotny do Dubaju.

Musiałam przygotować rodzinę na to wydarzenie. Najpierw telefonicznie, a później osobiście. Na szczęście mogłam sobie pozwolić na dwa tygodnie urlopu, więc mój wyjazd tydzień wcześniej zdawał się idealnym rozwiązaniem. Miałabym czas na rodzinne spotkania, spędzenie czasu z rodzicami i spacyfikowanie ich tak, by nie przynieśli mi wstydu przed Ziadem.

Ostatnia noc przed moim wyjazdem przeciągnęła się aż do świtu. Nie mogliśmy się od siebie odkleić. W zasadzie od czasu, kiedy zostaliśmy parą, po raz pierwszy rozstawaliśmy się na dłużej niż dwa dni. Zasnęliśmy tylko na chwilę i oczywiście oboje zaspaliśmy. Ziad musiał pędzić do pracy, choć i tak nie miał już szans zdążyć na czas. Ja miałam znacznie trudniejsze zadanie – musiałam dotrzeć na lotnisko. Ale żadne z nas nie żałowało, że zarwaliśmy tę noc. Czas miał pokazać, że niewiele nam ich już zostało.

A później wpadłam w otchłań. Zniknęłam dla świata i znalazłam się w pułapce, z której zdawało się nie być wyjścia. Ziad czekał, aż zadzwonię do niego po wylądowaniu w Polsce. Pierwsze godziny opóźnienia nie wzbudziły jego niepokoju. Miałam starą polską kartę SIM i z reguły w kraju przekładałam ją do swojego telefonu, ale w zwyczajowym zamieszaniu związanym z przylotem ten proces mógł się przecież opóźnić.

Kiedy jednak obudził się następnego dnia, a w swoim telefonie wciąż nie znalazł wiadomości ode mnie, poważnie się przestraszył. Próbował dzwonić na mój polski numer, jednak oczywiście bezskutecznie. Ten z Emiratów też nie odpowiadał. Ziad nie znał nikogo z moich bliskich, z kim mógłby się skontaktować i zapytać, co się ze mną dzieje. Jego uczucia oscylowały pomiędzy zdenerwowaniem na mój kompletny brak

odpowiedzialności a prawdziwym strachem, że przepadłam bez wieści. Nie był jednak w stanie zrobić niczego więcej poza bezskutecznym wybieraniem moich numerów i czekaniem na jakikolwiek znak ode mnie.

Przez chwilę rozważał powiadomienie policji – i być może gdyby to zrobił, dowiedziałby się wcześniej, że zostałam zatrzymana. Ale zdecydował, że to zbyt wielkie ryzyko. Nie był pewien, co tak naprawdę się stało i czy przypadkiem zgłoszenie mojego zaginięcia nie pogorszy sprawy.

Tym, co mógł zrobić, była próba dowiedzenia się, czy doleciałam do Polski, dzięki kontaktom z liniami Emirates. Każde z nas miało dość rozległą siatkę znajomych związanych z tymi liniami. Bez trudu ustalił, że nie było mnie wśród pasażerów samolotu lecącego na Okęcie. Niedługo potem dowiedział się też, że zdążyłam się na niego odprawić, ale ponieważ mimo wezwań nie pojawiłam się na pokładzie, z luku wycofano mój bagaż.

Ta informacja zaczęła drążyć jego umysł, podpowiadając Ziadowi rozmaite scenariusze. Wszystko działo się krótko po tym, jak Naila „zaginięła” w podobny sposób, i zaczął się obawiać, że jej historia mnie zainspirowała. Zaczął się poważnie obawiać, że wykorzystałam ten wybieg po to, by zniknąć z jego życia. Nie rozumiał tylko, dlaczego miałabym to zrobić. Przecież byliśmy bardzo szczęśliwi, wszystko zapowiadało się fantastycznie. Miałam go zabrać do Polski, by poznał swoich przyszłych teściów. Miał już nawet bilet na lot za kilka dni, dokładnie następnego dnia po tym, jak wypuszczono mnie z aresztu tymczasowego.

Ziad na pewno by na niego zdążył, ale beze mnie nie mógł przecież lecieć – a ja nie mogłam opuścić Dubaju, dopóki nie wyjaśni się sprawa z moim rzekomym długiem. Kiedy odebrał mnie z przystanku, gdzie wysadzili mnie funkcjonariusze aresztu, byłam kłębkim nerwów, wewnątrz rozedrgana. Próbowałam się uspokoić, ale z marnym skutkiem.

Nigdy nie potrafiłam dobrze opisać tego wrażenia, ale było trochę tak, jakby ktoś puścił mnie wolno, a jednocześnie rzucał kłody pod nogi. Czułam się jak mucha, której jakiś uczeń z sadystycznymi ciągotami oberwał skrzydła. Nawet obecność Ziada nie przynosiła ukojenia, choć oczywiście bardzo się cieszyłam, że jest obok mnie. Wiedziałam po prostu, że przed tym, co mi grozi, nie jest w stanie mnie obronić.

– Bałem się, że uciekłaś – powiedział cicho, gdy zbliżaliśmy się do Greens.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

– Dlaczego miałabym uciec?

– Nie wiem. Myślałem, że może zrobiłaś to co Naila...

– Naila uciekała od oprawcy do swego ukochanego. Ty nie jesteś oprawcą, tylko moim ukochanym. Nigdy bym od ciebie nie uciekła...

– Obiecujesz?

– Obiecuję! – powiedziałam pewna tego jak niczego w życiu. Nie miałam pojęcia, że mrok, który nadchodzi, sprawi, iż ta obietnica wkrótce straci pokrycie.

Ziad nie wrócił już tego dnia do pracy. Kiedy powiedział, co się wydarzyło, Barack nie miał wątpliwości, iż powinien zostać w domu i się mną zająć. Zrobił to oczywiście jak zwykle najlepiej na świecie. Jego troska nawet przez chwilę działała, ale moją głowę zdążyły już opanować demony zmieniające momenty szczęścia w klify, z których spadałam prosto w ciemną otchłań. Bardzo chciałam porozmawiać z nim o tym, co będzie dalej, ale on kategorycznie mi tego zakazywał.

– Nie dzisiaj, *habibti*, nie dzisiaj – mówił, zupełnie jakby jutro wszystko miało się zmienić.

Tej nocy długo nie mogłam zasnąć, ale Ziad czuwał przy mnie, dopóki nie zamknęłam oczu. Spałam niespokojnie, a poranek przyniósł zderzenie z rzeczywistością i konieczność zmierzenia się z wiszącym nad nami jak miecz Damoklesa pytaniem: co dalej?

Długo się do tej rozmowy zbieraliśmy. Długo milczeliśmy, zanim Ziad przerwał ciszę.

– Jak to się mogło stać? – spytał.

– Nie wiem. Nigdy nie brałam żadnej pożyczki. Ja w ogóle byłam tu w banku tylko raz, po to, żeby zdobyć tę książeczkę czekową. To był mój jedyny kontakt z bankami w Dubaju. Może ktoś przerobił te чеки... Ja nie mam pojęcia, jak to działa...

– Nie, czeków nie da się ot tak przerobić. Poza tym żeby je zrealizować, na koncie bankowym muszą być pieniądze. To nie ma nic wspólnego z pożyczką. No i to chyba nie był jedyny raz, kiedy odwiedziłaś bank... – Ziad znacząco zawiesił głos.

Przez chwilę nie byłam pewna, o co mu chodzi, aż nagle wpadłam na to, że przecież byłam w banku jeszcze raz. Z Nailą! Tak bardzo pragnęłam spełnić jej prośbę o dyskrecję, że całkiem wyparłam to wspomnienie z pamięci.

– Chyba nie myślisz, że twoja siostra...? – rzuciłam z przerażeniem.

– Nie wiem już, co myślę. Naila powiedziała mi o najtrudniejszych momentach swojego życia, a próbowała zataić głupi przelew. Sama mówiłaś, że podpisywałaś wtedy jakiś dokument spisany po arabsku.

– Tak... – przyznałam, czując, jak nogi się pode mną uginają.

Zaraz po tym, jak jej pomogłam, Naila podarowała mi drogą torebkę w dowód wdzięczności. Na taką stać tylko osoby, które nie mają problemu z gotówką. Jeśli to ona wzięła za mnie tę pożyczkę, na pewno stać ją było na taki prezent.

Ziad siedział ze spuszczoną głową, zrezygnowany, jakby próbował poradzić sobie psychicznie z ewentualnością, że jego siostra jest oszustką, która bez mrugnięcia okiem wrobiła jego narzeczoną.

– To nieprawdopodobne! – zawołał nagle z mocą, która przecięła gęstniejącą ciszę. – Za tym musiała stać moja matka! Czy tak bardzo chciała nas rozdzielić, że uciekła się do czegoś takiego?!

Słuchałam tego z równym niedowierzaniem. To wszystko miało sens. Ale jak bardzo przebiegłym trzeba być, by wymyślić taką intrygę? Jak bardzo nienawidzić, by sprowadzić coś podobnego na kogokolwiek?

– Muszę natychmiast porozmawiać z Nailą! – Podminowany Ziad zaczął sztykować się do wyjścia. Wiedziałam, że serce mu pęka i tylko cud może sprawić, że nie eksploduje z żalu.

– Chcesz, żebym pojechała z tobą? – spytałam.

– Nie. W tej rozmowie mogą paść słowa, których nigdy nie chciałbym przy tobie wypowiadać – powiedział.

A potem pocałował mnie czule i wyszedł.

W umyśle Ziada wciąż tlił się cień podejrzeń, że Naila, która została wysłana do Dubaju w charakterze szpiega dywersanta, nie wyszła do końca z roli. Zapewne dlatego uwierzył, że maczała palce w spisku ukartowanym przez matkę.

Ja tymczasem zdecydowanie bardziej skłaniałam się ku innej kandydaturze. Podejrzewałam, że może to być swoista zemsta Reiny, choć nie miałam na poparcie tej tezy żadnego dowodu. Owszem, Reina ochoczo okazywała mi swoją niechęć, nie raz dała się też poznać jako osoba, która

nie stroni od intryg, ale przecież nie mogłam po prostu jej oskarżyć tylko dlatego, że była niemila i próbowała odebrać mi chłopaka.

Czas po wyjściu Ziada sączył się leniwie i choć każda chwila przybliżała mnie do momentu, w którym mogłam ponownie trafić za kratki, wtedy chciałam, by płynął nieco szybciej. Nie mogłam się już doczekać wieści od Ziada.

Wrócił dopiero wieczorem. Po wyjściu od Naili i Abbasa pojechał jeszcze do hotelu, by załatwić sobie dodatkowe dni wolnego. Nie mógł się skupić na pracy. Miał ważniejsze sprawy na głowie. Po tym, czego dowiedział się od swojej siostry, wiedział, że prywatne śledztwo zajmie mu znacznie więcej czasu, niż początkowo zakładał.

– To nie była Naila – oznajmił krótko. – Widziałem na to dowód. Przelew, który pomogłaś jej zrobić, był z konta, na którym znajdowały się pieniądze z jej *mahru*.

– Więc dlaczego wypłaciła je w tajemnicy przed tobą? – spytałam zaskoczona. – To nie ma sensu, przecież zawsze stałeś po jej stronie!

– To absolutnie ma sens. Najwyraźniej oboje jesteście nieodrodnymi dziećmi naszej matki i kierujemy się zasadą ograniczonego zaufania. Ja byłem przekonany, że nasza mama steruje Nailą, podczas gdy Naila podejrzewała o to samo mnie. My naprawdę bardzo się kochamy, ale toksyczne relacje rodzinne nie są nam obce – powiedział z ulgą i wzruszeniem w głosie. – Naila zapewniła, że nam pomoże, ale najpierw musimy znaleźć tego, kto próbował ci zaszkodzić.

W tej sytuacji na liście podejrzanych została już tylko Reina.

– Reina ma motyw: nie znosi cię. Ale jak niby miałyby to zrobić? – rzucił Ziad, gdy o tym wspomniałam.

– Nie mam pojęcia, ale tak samo jak nie wiemy, czy to zrobiła, nie wiemy, że tego nie zrobiła – próbowałam argumentować.

Ziadowi to zdawało się wystarczyć.

– Masz rację, Reiny nie można wykluczyć. Ale nie ma jej tu już od kilku miesięcy.

– Mogła wziąć pożyczkę i nigdy jej nie spłacać. Wyjechała z pieniędzmi, a tymczasem tutaj dług rósł. Dla niej żaden problem, bo przecież pożyczka nie była na jej nazwisko.

– Musisz porozmawiać z Markiem, może on coś wie – zasugerował Ziad.

– A ty... – zaczęłam. – Nie mogę uwierzyć, że to mówię... Ty powinieneś odezwać się do Reiny. Możesz nawet powiedzieć jej, że ze mną zerwałeś.

– Jesteś pewna? – zaśmiał się.

– Tak. Tylko nie bądź zbyt przekonujący – odparłam, całując go w usta.

Chciałam wreszcie zakończyć rozmowę o Reinie, a to był najlepszy sposób.

Ziad bardzo się zaangażował w rozmowy z Reiną. Zresztą z wzajemnością. Niczego przede mną nie ukrywał, więc teoretycznie nie miałam powodów do zazdrości, ale nie mogłam nic na nią poradzić.

To było niesamowite, jak ogromną przemianę przeszłam w ostatnich latach. Z dziewczyny, która była wolnym elektronem, w taką, która nie potrafi sobie wyobrazić przyszłości bez ukochanego chłopaka, w dodatku jest o niego potwornie zazdrosna. Tę przemianę lubiałam, ale zaszła też taka, którą trudno uznać za pozytywną. Zmieniłam się z kogoś, kto z dziecięcą naiwnością i w zachwycie czekał na następny dzień, w cień samej siebie, bojący się tego, co przyniesie poranek.

Staralam się powstrzymać swoją kobiecą małostkowość, bo wiedziałam, że Ziad nie rozmawia z Reiną dla przyjemności, ale po to, żeby mi pomóc. Był uroczy i sama nie raz w przeszłości pchałam go do tego, by wykorzystywał tę cechę w różnych celach. Przecież gdyby nie on, pewnie nie udałoby się randka państwa Bochenków ani kontrakt z Amerykanami, który zdobyliśmy w dużej mierze dzięki temu, że oczarował Rachel i Judy. Z Reiną sytuacja wyglądała jednak inaczej. To naprawdę było trudne, a teraz miało się stać jeszcze trudniejsze.

– Muszę polecieć do Libanu – powiedział Ziad zaledwie dzień po tym, jak rozpoczął swój telefoniczny „romans”.

– Jesteś pewien, że to konieczne? – spytałam, przerażona tym faktem nie mniej niż wizją spędzenia kilku lat w arabskim więzieniu.

– Myślę, że Reina połknęła przynętę. Ale jeśli mam zdobyć twarde dowody jej winy, muszę tam polecieć.

Wiedziałam, że ma rację. Ale tak bardzo nie chciałam, żeby to robił.

– Boję się... – wyszeptałam.

– Nie ufasz mi?

– Ufam.

– Więc naprawdę nie masz się czego bać. Przez wiele lat bardzo wyraźnie dawałem Reinie do zrozumienia, że nie jestem nią zainteresowany. Gdyby nie chodziło o ciebie, nigdy więcej bym się do niej nie odezwał – powiedział kategorycznie Ziad. – Dobrze wiesz, że jesteś jedynym powodem, dla którego to robię.

Wiedziałam to, a Ziad miał rację. Był mężczyzną, który zasługiwał na pełne zaufanie. Najwyższy czas, żebym mu je okazała.

– Leć i wracaj szybko – powiedziałam, całując go w policzek.

Jeszcze tego samego wieczoru Ziad zarezerwował lot do Bejrutu na następny dzień. W roli mojego prywatnego detektywa i rycerza w jednym był jeszcze bardziej seksowny. To wszystko wydawało się takie absurdalne. Oboje znaleźliśmy się w wirze jakiegoś dziwnego dochodzenia, które miało oczyścić mnie z zarzutów i zwrócić mi wolność.

Choć wiele od niego zależało, wcale nie miałam pewności, czy cała ta akcja ma jakiegokolwiek szanse powodzenia. To nie tak, że wątpiałam w Ziada, ale nie miał przecież doświadczenia w takich sprawach. Ponieważ jednak nie mogliśmy liczyć na policję – dla tej sprawa była już rozwiązana, a winowajca wskazany – musieliśmy z amatorów przeobrazić się w zawodowców.

Zaraz po tym, jak Ziad wyleciał do Libanu, spotkałam się z Markiem. Odwiedziłam go w hotelu, co było sporym błędem. Wieść o tym, co mnie spotkało, rozniosła się lotem błyskawicy i wszyscy, których spotkałam, pytali mnie o powód i szczegóły zatrzymania. Umówiliśmy się z Ziadem, że będziemy mówili o tym jak najbardziej oględnie, dlatego wspominałam tylko, że to jakaś nieszczęśliwa pomyłka.

– Zaraz cię stąd zabiorę – powiedział Mark, który osobiście wyrwał mnie z rąk ciekawskiej kelnerki z hotelowej kawiarni i zaprowadził do biura. – Daj mi chwilę, ogarnę tylko ostatnią sprawę i jedziemy do Mariny.

Pół godziny później wyruszyliśmy z resortu w kierunku wyjazdu z The Palm. Tu wreszcie mogliśmy rozmawiać otwarcie.

– Jak się miewasz? – zaczął Mark. – To musiało być straszne...

Opowiedziałam mu, że mój świat się rozpada, a czas kurczy.

– Zostało mi nieco ponad trzy tygodnie na znalezienie tego, kto mi to zrobił, i przedstawienie dowodów albo spłacenie długu. Jedno i drugie

wydaje się niemożliwe.

– Macie kogoś na muszce?

– Moim zdaniem to Reina. Wzięła pożyczkę i uciekła z kraju...

– Jeśli nie wzięła jej na swoje nazwisko, nie musiała uciekać.

– Ziad początkowo podejrzewał swoją siostrę, a właściwie matkę, która miała posłużyć się siostrą, ale okazało się, że to na pewno nie one. Reina jest zatem naszym jedynym typem. Szczerze mówiąc, liczyłam, że może przypomnisz sobie coś, co mogłoby wskazywać na jej winę. Byliście ze sobą dość blisko...

– Nigdy nie *byliśmy* blisko. Po prostu *trzymałem* ją blisko, bo Reina potrafiła być naprawdę niebezpieczna – wyznał Mark. – Bycie jej przyjacielem, nawet udawanym, opłacało się znacznie bardziej niż wchodzenie z nią w konflikt. Ale ty od początku nie miałaś szans, a gdy się okazało, że Ziad się tobą interesuje, myślałem, że będziemy mieli w kurorcie trupa.

– Mnie?

– A jak myślisz? Reina w nienawiści była równie niebezpieczna co w miłości.

– Super. A ja właśnie wysłałam do niej Ziada...

– Co zrobiłaś? – Mark wytrzeszczył na mnie oczy.

– Dobrze słyszałeś. Ziad poleciał do Libanu. Udaje, że ze mną zerwał, by dowiedzieć się czegoś więcej na temat jej udziału w tej sprawie.

– Ty to naprawdę lubisz życie na krawędzi – próbował żartować Mark, ale trafił w bardzo czuły punkt.

Dokładnie nad krawędzią balansowałam od kilku tygodni – i byłam tym tak przerażona, że aż miałam dreszcze.

Mark zauważył, że coś jest ze mną nie tak, bo spytał spanikowany:

– Wszystko w porządku?

Odpowiedź nie była potrzebna. Wystarczyło spojrzeć na moją bladą jak kreda twarz.

Przy najbliższej okazji zjechał z drogi, a gdy tylko poczułam szarpnięcie hamulca, otworzyłam drzwi i zwymiotowałam. Ta sytuacja zaczynała poważnie odbijać się nie tylko na mojej psychice; moje ciało również reagowało coraz gorzej.

– Doceniam, że nie zrobiłaś tego w samochodzie... – stwierdził Mark. Tylko on potrafił powiedzieć coś z odrazą, tak by jednocześnie brzmiało,

jakby wyrażał uznanie.

Ale mi nadal nie było do żartów. Czułam, że pułapka, w której jestem, zaciska się i coraz bardziej mnie przygniata. To było z jednej strony irracjonalne, a z drugiej bardzo prawdziwe.

– Nie obrazisz się, jak poproszę, żebyśmy jednak pojechali do mnie? – spytałam cicho. – Chyba nie mam siły na wizyty w miejscach publicznych.

Mark wiedział, że tego typu deklaracje należy brać na poważnie. Zabrał mnie do Greens i wszedł ze mną na górę.

– Nigdy tu u was nie byłem. Bardzo przyjemne mieszkanie – pochwalił.

– Tak, ale jeśli nic się nie zmieni, za trzy tygodnie zamienię je na więzienną celę.

– Mogę się wtedy wprowadzić do Ziada? Obiecuję, że będę o niego dbał.

– Wciąż próbował mnie rozbawić, ale i ten dowcip nie trafił na podatny grunt. Nawet taka absurdalna wizja drażniła mnie i przerażała jednocześnie. Świat stał się dla mnie boleśnie dosłowny, żadnych metafor, niedopowiedzeń, żartów. Byłam rozedrgana i spłoszona jak nigdy wcześniej.

W końcu Mark odpuścił dowcipkowanie.

– Martwię się o ciebie – przyznał. – Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Mam nadzieję, że tak. Jedyne, czego potrzebuję, to znaleźć tego, kto mi to zrobił.

– Nie wiem, czy jestem w stanie to zrobić, ale będę miał oczy i uszy szeroko otwarte – obiecał, przytulając mnie mocno.

Niedługo potem zostałam sama. Cisza nie była moim sprzymierzeńcem. Czas znowu zwolnił, jak zawsze, gdy na coś usilnie czekamy. A ja czekałam na wieści od Ziada. Wiedziałam, że już doleciał do Bejrutu, i zaczęłam odchodzić od zmysłów. Dokładnie tak musiał się czuć on sam, gdy zniknęłam na kilka dni bez wieści. Oczywiście miał znacznie bardziej racjonalne powody do niepokoju, ale jak już wspomniałam, w tamtym czasie miałam bardzo niewiele wspólnego z racjonalnością.

Było jasne, że Ziad nie może tak po prostu zadzwonić do mnie i zameldować, że wszystko jest w porządku, bo oficjalnie był singlem, a ja tylko jego byłą narzeczoną. Reina czuła, że zdobyła go po tak długim czasie, i dosłownie go osaczyła. Zrobiła to tak skutecznie, że zadzwonił do mnie dopiero po dwóch dniach.

Tymczasem w Bejrucie...

Reina czekała na Ziada na lotnisku Rafic Hariri. Wiedziała, że o wizycie ukochanego nie może powiedzieć nikomu z rodziny. Jej konserwatywny ojciec za żadne skarby nie pozwoliłby jej gościć obcego mężczyzny. Od kiedy wróciła do kraju, z dawna wstrzymane poszukiwania męża dla niej ruszyły pełną parą, i to dlatego tak nalegała, by Ziad czym prędzej przyleciał. Nie miała jeszcze pomysłu, w jaki sposób umieścić swojego wybranka na liście kandydatów, ale liczyła, że pomysł przyjdzie do niej we właściwym czasie.

Nie była w stanie się powstrzymać i nie zważając na konwenanse, pocałowała go na powitanie.

– Hej, chcesz nam narobić kłopotów...? – upomniał ją Ziad.

– Spokojnie, to nie Dubaj...

– Tutaj też nie brakuje ortodoksów.

– Najwyżej powiemy, że jesteśmy rodzeństwem.

– No tak, to faktycznie wyjaśni, dlaczego wpychasz mi język do ust... – Ziad starał się ukryć swoją niechęć do Reiny, ale wyraźnie zaliczył falstart.

– Co cię ugryzło? – spytała, wyraźnie urażona.

– Przepraszam, *habibti*, jestem zmęczony. Wstałem wcześniej, praktycznie przez cały lot były turbulencje, głowa mi pęka.

Reina była szczęśliwa, że wreszcie dopięła swego, więc nie miała zamiaru na niego naciskać. Zmieniła się w potulną i uległą. I choć było oczywiste, że takie zachowanie nie leży w jej naturze i zapewne nie potrwa długo, w misji Ziada mogło się okazać bardzo pomocne.

Kiedy tego wieczoru jedli razem kolację, Reina nie mogła się powstrzymać i sama zaczęła rozmowę o naszym rozstaniu:

– A wydawało się, że nic nie jest w stanie was rozdzielić.

– No, ty próbowałaś...

– Ja po prostu bardzo cię kocham i nie mogłam znieść myśli, że spędzisz życie z kimś takim jak Kasia.

Ziad odruchowo chciał stanąć w mojej obronie, ale musiał zdusić w sobie tę chęć. Reina tymczasem kontynuowała swój wywód na temat tego, jak się czuła, widząc nas razem, i jak bardzo w jej odczuciu było to niewłaściwe.

– Jak widzisz, naprawiłem swój błąd – powiedział, gdy już dopuściła go do głosu.

– Wcale się nie dziwię. Wiedziałam, że nie będziesz chciał być z kryminalistką.

– Kryminalistką? – powtórzył, udając zdumienie.

– No wiesz, przecież nie trafiła do więzienia za niewinność...

– A skąd wiesz, że trafiła do więzienia?

Reina mocno się zmieszała, ale starała się wyjść z impasu z twarzą.

– Ktoś z hotelu wspominał... – powiedziała speszona.

– Kto? Wciąż utrzymujesz kontakt z ludźmi z pracy?

– Nie pamiętam...

– Mark? – dopytywał mój narzeczony.

– Nie, nie rozmawiamy ze sobą, pokłóciliśmy się jeszcze przed moim wyjazdem. Ale czasami rozmawiam z różnymi ludźmi. Ty jednak jesteś jedynym, z którym tak naprawdę chcę utrzymywać kontakt. – Mówiąc to, Reina podeszła do Ziada i przytuliła go.

On jednak nie zamierzał porzucić tematu, skoro wreszcie miał szansę dowiedzieć się czegoś więcej.

– Kasia została wrobiona – rzekł.

– Co? A skąd to wiesz? – zareagowała gwałtownie. – Poza tym co ona cię obchodzi? Przecież zerwaliście...

– Tak, ale wciąż mi jej szkoda.

– Mogła nie brać pożyczki. Jak się zaciąga długi, to trzeba je spłacać...

– A skąd wiesz, że chodziło o pożyczkę? Nikt w hotelu o tym nie wie. No, może poza Markiem, ale z nim przecież nie rozmawiasz.

– *Habibi*, czuję się jak na przesłuchaniu. Możemy zmienić temat?

– Możemy, ale mam wrażenie, że coś przede mną ukrywasz. A nie chciałbym, żebyśmy mieli przed sobą tajemnice.

Ziad próbował wykorzystać stary sposób perswazji, ale Reina doskonale знаła te sztuczki i nie dała się na to nabrać.

– Mogę cię zapewnić, że nie mam przed tobą żadnych tajemnic, które dotyczyłyby ciebie i mnie. A o twojej byłej nie chce mi się już rozmawiać. Jeśli o mnie chodzi, może zgnić w więzieniu! – ucięła kategorycznie.

Ziadowi to jednak wystarczyło. Zachowanie Reiny było dla niego niezbitym dowodem na jej udział w intrydze. Problem w tym, że nie miał

nic więcej niż tylko jej słowa.

Bardzo bał się nadchodzącej nocy. Nie czuł nic do Reiny, jednak przede wszystkim nie chciał mnie zdradzić, dziewczyna natomiast ewidentnie miała ochotę skonsumować ten związek już pierwszej nocy.

– Wiesz, że nie możemy – powiedział kategorycznie, kiedy próbowała go uwieść. – Nie jesteśmy małżeństwem.

– Chcesz mi powiedzieć, że nigdy nie spałeś z Kasią? Ona też nie była twoją żoną!

– Nie, ale ona nie jest muzułmanką.

– Jeśli martwisz się o moją cnotę, to naprawdę nie ma to większego sensu – powiedziała Reina, wykazując się odwagą, na którą stać niewiele wyznawczyń islamu. Zwłaszcza takich, które nigdy nie były zamężne. – Cnotę straciłam zaraz po przyjeździe do Dubaju, żeby mój ojciec nie mógł jej prehandlować – rzuciła obojętnie.

– Mimo wszystko chciałbym to zrobić z poszanowaniem tradycji – ratował sytuację Ziad. – Jeśli mamy spędzić razem przyszłość...

To Reinie wystarczyło. Ziad planował z nią przyszłość. Niczego nie pragnęła bardziej i nic więcej się nie liczyło. Tymczasem Ziad kupił sobie trochę więcej czasu, by wyciągnąć z niej prawdę o pożyczce, którą – o tym był już teraz przekonany – wzięła na moje nazwisko. Miał na to jeszcze dwa dni.

Następnego ranka Reina zachowywała się tak, jakby już była jego żoną. Zapowiedziała też, że chciałaby przedstawić go swojemu ojcu.

– Nie za wcześnie? – spytał Ziad. – Mówiłaś, że to konserwatysta, może się okazać, że wcale mnie nie zaakceptuje.

– Zostaw to mnie. A ja chcę, by cię poznał.

I faktycznie ostatniego dnia pobytu Ziada w Bejrucie oboje pojechali za miasto, by spotkać się z ojcem Reiny. Mężczyzna początkowo przyjął go bardzo chłodno – Ziad był obcym chłopakiem, który towarzyszył jego córce – ale miał wiele lat, by pogodzić się z myślą, że Reina wyrwała się już spod jego władzy. Ponieważ sam nie odnosił zbyt wielkich sukcesów w poszukiwaniach męża dla niej, a w pewnym momencie zupełnie je sobie odpuścił, szybko schował do kieszeni swoją niechęć. Na tę zawsze przyjdzie pora, a na razie postanowił go poznać.

Oczywiście Ziad oczarował i jego. Ojciec Reiny zobaczył w nim idealnego kandydata na zięcia. Spokojnego, porządnego, pobożnego

i zaradnego życiowo. Szybko dołączył do jego fanklubu, a Ziad, nie mając innego wyjścia, obiecał, że wkrótce przyjedzie do Libanu, by oficjalnie prosić o rękę jego córki.

W drodze powrotnej oboje długo rozmawiali. A fragment tej dyskusji stał się dla Ziada kolejnym dowodem na to, że Reina ma coś na sumieniu.

– A co będzie po ślubie? – zapytał z troską. – W Libanie nie będę w stanie zarobić takich pieniędzy jak w Dubaju.

– Nie musisz się o to martwić – rzuciła Reina.

– Jak to nie muszę? Z czego będziemy żyć?

– Mam na koncie całkiem sporo pieniędzy. Wystarczy nam na początek, a potem zobaczymy. Może wrócimy do Dubaju, a może polecimy do Arabii Saudyjskiej albo Kataru?

– Skąd masz tyle pieniędzy?

– Zawsze byłam zaradna. Powiedzmy, że jest to zadośćuczynienie od kogoś, kto zasługiwał na utarcie mu nosa.

Kiedy następnego dnia na lotnisku w Bejrucie Ziad pożegnał się z Reimą i przeszedł przez odprawę celną, natychmiast do mnie zadzwonił.

– Nie mam wątpliwości! To ona!

Zaraz potem zrelacjonował mi ich ostatnią rozmowę. I wszystko wydawałoby się proste, gdyby kilka godzin wcześniej nie wydarzyło się coś, co w zasadzie oczyściło Reimą z zarzutów.

ROZDZIAŁ 14

Koniec

Dzwonek do drzwi obudził mnie wcześnie rano. Tego dnia czekałam na Ziada, ale wiedziałam, że przyleci dopiero późnym popołudniem. W pierwszej chwili pomyślałam, że może coś się zmieniło. Nikogo innego się nie spodziewałam, więc otworzyłam drzwi.

Na korytarzu stał mężczyzna w garniturze, Hindus, ale nie ten, którego poznałam na lotnisku. Jemu też jednak towarzyszyli dwaj policjanci. Uderzenie gorąca i galopujący puls momentalnie przegoniły resztki senności. W pierwszej chwili przestraszyłam się, że przyszli po mnie wcześniej. Nie byłam na to gotowa. Przecież miałam jeszcze trzy tygodnie! Może zgodzą się poczekać chociaż do powrotu Ziada? Muszę się z nim pożegnać!

Gonitwa myśli, która przetaczała się przez moją głowę, nie miała nic wspólnego z tym, co prezentowałam na zewnątrz, stałam bowiem jak wryta, kompletnie nie wiedząc, co powiedzieć.

Mężczyzna w garniturze wypowiedział moje imię i mocno zniekształcone nazwisko, by się upewnić, że ja to ja. Przytaknęłam, próbując zwalczyć paraliż, a wtedy spytał, czy mogą wejść do środka.

Zrobiłam krok do tyłu, co mężczyźni uznali za zgodę. Policjanci zostali przy drzwiach, a Hindus wkroczył do salonu, przedstawiając się po drodze. Byłam jednak tak zszokowana, że kompletnie nie zapamiętałam jego nazwiska.

– Toczy się przeciwko pani postępowanie w sprawie niespłaconego długu...

Kiedy to usłyszałam, wpadłam w histerię. Płakałam i krzyczałam, że przecież nie minęło jeszcze trzydzieści dni, że jeszcze nie miałam czasu, by zebrać pieniądze, i że to nie ja wzięłam tę pożyczkę, ale wiem kto...

Mężczyzna najpewniej był już świadkiem tego typu wybuchów, bo patrzył na mnie ze spokojem, czekając, aż ochłonę. Zajęło mi to kilka minut. Chciałam wejść do łazienki, by opłukać zalaną łzami twarz, ale jeden z policjantów zastąpił mi drogę. Pewnie się bali, że coś sobie zrobię albo wrócę z jakimś niebezpiecznym narzędziem i spróbuję ich zaatakować. Zwiesiłam więc tylko głowę i wytarłam twarz w rękaw szlafroka.

Mężczyzna w garniturze uznał to chyba za sygnał mojej gotowości do rozmowy, bo podjął:

– Bank, który reprezentuję, właśnie złożył przeciwko pani pozew z powodu niespłaconego długu.

– Przecież wiem! – rzuciłam, poirytowana, że wciera sól w otwarte rany.

– Chyba jednak nie wszystko. Zastanawia mnie jedynie, dlaczego nie ujawniła pani tego podczas aresztowania.

– A co niby miałam ujawnić?

– Że niespłacona pożyczka, za którą panią zatrzymano, nie była jedyną.

Ziemia znowu osunęła mi się spod nóg.

– Druga pożyczka jest na sto osiemdziesiąt tysięcy dirhamów – kontynuował. – Ale to zapewne pani wie.

A niby skąd?!

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. W głowie miałam mętlik. To był cios, który mnie powalił i nie miałam już szans się podnieść.

– Fakt, że zataiła pani tę drugą pożyczkę, nie działa na pani korzyść, ale w pewnym sensie przyspieszył sprawę. Mamy już wyrok sądu. Teraz poproszę panią o podpisanie zobowiązania spłaty. Czekamy na przelew w ciągu najbliższych trzech tygodni.

Zrozumiałam, że najwyraźniej nie trafię do aresztu, ale nie mam też pełnych trzydziestu dni na zwrot rzekomo zaciągniętego długu. W sumie bez różnicy, i tak nie miałam takich pieniędzy.

Spojrzałam na podsunięty mi dokument. Spisano go po arabsku, jedynie data była dla mnie czytelna. Nie wiem, co mnie tknęło, bo byłam kompletnie zamroczona, ale spytałam, co to za data.

– To dzień podpisania umowy kredytowej – wyjaśnił mężczyzna.

I wtedy dotarło do mnie, że tej pożyczki, a być może także tej poprzedniej nie mogła wziąć Reina. Dług został zaciągnięty dziesięć dni po tym, jak opuściła Dubaj. Pamiętam dokładnie, kiedy wyjeżdżała.

Jedyna szansa na to, że uda nam się rozwiązać tę sprawę i być może wskazać prawdziwego winowajcę, właśnie została pogrzebana. Mężczyzna w garniturze nie był tak gadatliwy jak ten, którego poznałam na lotnisku. Nie zagadywał, nie zadawał pytań, chciał jak najszybciej zakończyć sprawę. Kiedy tylko złożyłam swój podpis na dokumencie, natychmiast schował go do teczki, jakby się bał, że mu go zabiorę. Po raz kolejny zrobiłam to, czego nigdy nie należy robić – pod wpływem presji podpisałam się pod czymś, czego nie przeczytałam. Zresztą i tak nie byłam w stanie nic z tego zrozumieć. Mimo lat spędzonych w krajach arabskich język arabski, zwłaszcza pisany, pozostawał dla mnie czarną magią. Wszechobecny angielski pozwalał mi doskonale funkcjonować, co sprawiało, że nigdy nie skupiłam się na nauce arabskiego, choć wielokrotnie sobie to obiecywałam.

– I co teraz? Aresztujecie mnie? – spytałam.

– Na razie czekamy na zwrot pożyczki – powiedział Hindus, po czym ruszył w kierunku wyjścia.

Gdy za mężczyznami zamknęły się drzwi, opadłam na krzesło. Pomyślałam, że moje życie się skończyło. Nie miałam już nadziei na to, że ktokolwiek jest w stanie mi pomóc. Patrzyłam na otaczający mnie świat jak przez brudną szybę, nie słyszałam dźwięków, a jedynie świszczącą ciszę. To wtedy po raz pierwszy tak zupełnie serio pomyślałam, żeby z tym skończyć. Było mi żal mojej miłości do Ziada i łez, które zapewne wyleją moi bliscy. Ale czy będą cierpieć mniej, gdy dowiedzą się, że siedzę w więzieniu, gdy poznają powody, dla których trafiłam za kratki, nawet jeśli były nieprawdziwe? Mogłabym się od tego wszystkiego uwolnić... Ten pomysł z każdą chwilą zdawał mi się coraz bardziej kuszący.

Zupełnie straciłam rachubę czasu. Musiałam siedzieć tak przez kilka godzin, bo gdy Ziad wszedł do domu, zastał mnie dokładnie w tym samym miejscu. Podeszedł do mnie szybkim krokiem, uniósł mnie z krzesła i mocno przytulił, wytrącając mnie z matni myśli, które już bardzo niewiele dzieliło od czynów.

– Tak strasznie za tobą tęskniłem – powiedział, całując mnie czule.

– Ja też. Cieszę się, że już jesteś, bo bez ciebie chyba już by mnie tu nie było...

– Jak to, a gdzie byś była? – zdumiał się.

Na moje szczęście nie zrozumiał tego, co miałam na myśli. Nie miał pojęcia, w jakim stanie tak naprawdę jestem. On zajął się działaniem. Wiedział, że musi mnie uratować, oczyścić z zarzutów. Ja nie miałam już w sobie tej siły. Byłam kompletnie zrezygnowana. Nawet w tamtym momencie, zamknięta w jego bezpiecznych ramionach, wtulona w jego klatkę piersiową, wsłuchana w bicie jego serca, nie czułam, że istnieje dla mnie jakaś przyszłość.

– Mam pewność, że to Reina cię wrobiła. Jutro porozmawiam z Barackiem. Jestem pewien, że pomoże nam ją zdemaskować. Musiała zostawić w hotelu jakieś ślady...

– Nie masz żadnych dowodów – powiedziałam bez żadnej nadziei.

– Reina ma na koncie mnóstwo pieniędzy. Wczoraj powiedziała mi, że pochodzą od kogoś, komu chciała utrzyć nosa. Nie mam wątpliwości, że chodziło o ciebie! – mówił Ziad z ekscytacją.

Był wyraźnie zadowolony, że udało mu się wpaść na jakiś trop, ale ja wiedziałam już, że Reina raczej nie stoi za moim nieszczęściem. Opowiedziałam mu, co wydarzyło się kilka godzin przed jego powrotem.

– To jakiś żart! Kolejne sto osiemdziesiąt tysięcy dirhamów? – Całkiem spokojny przed chwilą, Ziad teraz był bliski eksplozji.

– Najgorsze jest to, że ta druga pożyczka na pewno została wzięta po tym, jak Reina wyjechała z Dubaju...

– Jak to?

– Tak wynika z daty podpisania umowy kredytowej.

– Może tylko udawała, że wyjechała wcześniej?

– To mogłoby mieć sens...

– Muszę to sprawdzić – powiedział, natychmiast sięgając po telefon.

Pół godziny później mieliśmy już pewność. Reina nie mogła wziąć tej drugiej pożyczki, podszywając się pode mnie. Bardzo prawdopodobne było zatem, że nie wzięła również tej pierwszej. Mogłam zacząć pakować walizkę do więzienia. O ile tam w ogóle można pójść z własną walizką.

– Musimy zdobyć te pieniądze. – Mój narzeczony tak łatwo się nie poddawał. – Może uda nam się uchronić cię przed więzieniem. A jeśli nawet się uprą, nie zamkną cię na długo...

– Ziad, to prawie czterysta tysięcy dirhamów! Nie mam takich pieniędzy. Nikt, kogo znam, nie ma.

– Ja mam trochę oszczędności, ale to zaledwie jedna dziesiąta... Pogadam z Nailą i Abbasem, zobaczymy, co da się zrobić.

– Nie, nie wezmę pieniędzy ani od ciebie, ani od twojej siostry. Doceniam, co dla mnie robisz, ale nie mogę ograbić cię ze wszystkich oszczędności...

Ziad zamarł na chwilę, a później znowu górę wzięły w nim emocje.

– *Habibti*, to nasze pieniądze! – zawołał z mocą. – Wszystko, co mam, jest twoje! Nie dbam o majątek, chcę tylko być z tobą. A to będzie dosyć trudne, gdy mi cię zabiorą!

– Nie czekałbyś?

– Oczywiście, że bym czekał! Ale nawet jak wyjdiesz, deportują cię. To nie jest przyszłość, jakiej dla nas chcę.

– Ja też nie. Ale mam wrażenie, że ktoś usilnie próbuje nam ją odebrać. A może już jest za późno, może już nam ją odebrał...

– Załatwię te pieniądze. Wyciągnę cię z tego. Są ludzie, którzy takie kwoty wydają w tym mieście w jeden wieczór.

– Ale my do nich nie należymy.

– Znajdę sposób. Nikomu nie pozwolę nas rozdzielić...

Następnego dnia Ziad wrócił do pracy. Wprawdzie w tym czasie powinien zacząć swój urlop, który mieliśmy spędzić razem w Polsce, ale postanowił, że tak będzie lepiej. Miał nadzieję, że w hotelu czegoś się dowie.

Ja nie mogłam pracować. Nie czułam się na siłach. Zresztą i tak nie pozwoliliby mi przepracować nawet miesiąca. Wyobrażałam sobie, jak wyprowadzają mnie w kajdankach z resortu. To byłoby spektakularne widowisko. Może dział animacji powinien włączyć je w swój program. Zapewne byłoby hitem.

Kiedy obudziłam się tego dnia, Ziada już nie było. Pamiętam ten moment. Wszystko z tamtego poranka wryło mi się mocno w pamięć. A wszystko, co stało się później, spowiła mgła, z której pewnie już nigdy niczego nie wydobędę.

Podniosłam się z łóżka z wielkim trudem. Moja kondycja psychiczna zdecydowanie coraz bardziej oddziaływała na tę fizyczną. Czułam się tak, jakbym była zawirusowanym komputerem, który domaga się resetu, a ja

wciąż zmuszałam go do jakichś operacji w nadziei, że może jakoś to będzie. System jednak odmawiał posłuszeństwa, zawieszał się i domagał wyłączenia.

I nagle to zaczęło mi się wydawać doskonałym pomysłem, coraz bardziej kuszącym, mającym same zalety, uwodzającym do granic... Wszystko przestało się liczyć. Nic już nie miało dla mnie znaczenia, nic nie mogło mnie tu zatrzymać.

Pamiętam Julkę, z którą chodziłam do szkoły podstawowej. Jej tata pracował w Niemczech, mama była lekarką. Julka miała wszystko, o czym inne dzieciaki – włączając mnie – mogły tylko pomarzyć, ale czegoś najwyraźniej jej brakowało. Czegoś, o czym nikt nie wiedział, o czym nikomu nie mówiła. Miałyśmy chodzić do tego samego liceum, ale Julka nie przyszła na rozpoczęcie roku szkolnego. Dwa dni później był jej pogrzeb. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego postanowiła zniknąć z tego świata. Nie mieściło mi się w głowie, że ktoś, kto ma tyle powodów, by tu zostać, decyduje się odejść. Dziś już to rozumiem.

Nie wiem, czy to jakaś reakcja chemiczna występująca pod wpływem stresu, czy rozpędzona karuzela hormonów, zbieg jakichś niezrozumiałych procesów zachodzących w organizmie, czy może to coś znacznie bardziej metafizycznego, czego tym bardziej nie jesteśmy w stanie ogarnąć ludzkim rozumem, ale czasem śmierć wydaje się tak kusząca, jakby była czymś najlepszym na świecie. Czymś, co zdarza się tylko wyjątkowym. Czymś, czego nie można sobie odmówić...

Ziad nie mógł się do mnie dodzwonić przez kilka godzin. Wiedział, że jestem w fatalnym stanie psychicznym, dlatego w pewnym momencie postanowił, że wyskoczy z pracy sprawdzić, czy wszystko ze mną w porządku.

Znalazł mnie nieprzytomną w łóżku i natychmiast się domyślił, co zrobiłam. Bał się zadzwonić po pogotowie – słusznie przewidywał, że ten telefon tylko skomplikuje naszą sprawę – ale nie miał wyjścia. Jeśliby tego nie zrobił, prawdopodobnie nie byłoby mnie już tutaj.

Karetka przyjechała błyskawicznie. Nie wiem, co działo się dalej, bo Ziad nie był tego świadkiem. Musiał udawać mojego kolegę z pracy, by nie ryzykować komplikacji, w razie gdyby trafił na jakiegoś konserwatystę,

który mógłby robić mu problemy z powodu mieszkania z kobietą w nieformalnym związku. Choć przecież na co dzień żyją tak w Dubaju tysiące ludzi.

Obudziłam się po kilkunastu godzinach w pustej, białej i sterylnej sali. Głowa bolała mnie niczym na potwornym kacu. Nic, co znajdowało się w zasięgu mojego wzroku, nie sprawiało wrażenia, że jestem wśród żywych. Gdyby nie dobiegające z oddali odgłosy i odczuwany ból, miałabym wrażenie, że mój plan się powiódł. Ale nie powiódł się – wciąż żyłam. I już tego samego dnia zaczęłam tego żałować.

Pierwszą osobą, którą zobaczyłam w szpitalu, wcale nie był lekarz czy pielęgniarka. Trzy, może cztery godziny po tym, jak się obudziłam, pojawił się przy moim łóżku szczupły umundurowany mężczyzna z wąsem. Nie wyglądał na policjanta. Do dziś nie bardzo wiem, kim był. Gdyby nie fakt, że wszystko, co powiedział, stało się chwilę później moim udziałem, mogłabym nawet przypuszczać, że może go sobie wyobraziłam. Ale nie, był do bólu prawdziwy.

Wyrecytował moje nazwisko, a następnie oznajmił:

– Zostanie pani przewieziona do więzienia Al Aweer.

Nie potrafiłam nawet zareagować na jego słowa. Nie miałam pojęcia, czy nie przeleżałam tu w śpiączce całego czasu, jaki pozostał mi do wypełnienia zobowiązania finansowego. Jeśli tak było, nie miałam już szansy uniknięcia przeznaczenia.

Ale mężczyzna szybko rozwiązał moje wątpliwości.

– Chęć popełnienia samobójstwa, a w zasadzie sprowokowania konieczności hospitalizacji, jest traktowana jak próba ucieczki, co z kolei stanowi złamanie warunków umowy i skutkuje natychmiastowym wykonaniem kary – wyjaśnił urzędniczym bełkotem.

– Czy ja pójdę do więzienia? – spytałam, choć przecież przed chwilą właśnie to powiedział.

– Jeszcze dziś zostanie pani przewieziona do więzienia Al Aweer – powtórzył, a zaraz potem wyszedł z sali.

Ziad! Gdzie jest Ziad? – spanikowałam. Muszę z nim natychmiast porozmawiać!

Nie miałam przy sobie telefonu. Nie miałam niczego. Kiedy przy moim łóżku pojawiła się młoda filipińska pielęgniarka, spytałam, czy jest możliwość, żebym zadzwoniła do swojego chłopaka.

– To zabronione – odparła, ale w jej głosie dało się wyczuć ubolewanie z tego powodu.

– Ale ja muszę z nim porozmawiać! Oni chcą mnie stąd zabrać do więzienia. Proszę... Proszę mi pomóc! – wyrzuciłam z siebie, bliska łez.

Dziewczyna ewidentnie wiedziała, jak bezduszny jest system w kraju, w którym obie się znajdowałyśmy. Spytała, czy pamiętam numer mojego chłopaka. Oczywiście, że go pamiętałam. Wtedy nachyliła się nad moim łóżkiem i wyszeptała:

– Zaniosę telefon do łazienki i schowam na rurze pod zlewem, a następnie zgłoszę, że musi pani skorzystać z toalety. Przyjdzie po panią strażniczka i panią przeszuka. Próbowала pani popełnić samobójstwo, dlatego pani nie ufają. Będzie stała pod drzwiami łazienki, więc musi pani mówić bardzo cicho. I nie będzie pani mogła zamknąć drzwi, więc to będzie musiała być bardzo szybka rozmowa.

Staralam się zapamiętać te instrukcje, choć logiczne myślenie wciąż sprawiało mi spore trudności.

– Jak już panią zabiorą, zadzwonię do pani chłopaka na numer z pamięci telefonu i opowiem mu wszystko, co będę wiedziała. Dlatego proszę nie marnować czasu na zbędne szczegóły – dodała, a na koniec spytała: – Jest pani gotowa?

Pokiwałam głową.

Kwadrans później do sali weszła kobieta w mundurze i *hidżabie* na głowie. Była młoda i bardzo ładna. Ten mundur kompletnie do niej nie pasował. Robił z jej ciała bezkształtną, zwalistą bryłę, na której zatknięta była zachwycająca, delikatna twarz. W jej zachowaniu nie było jednak nic z delikatności.

Warknęła do mnie coś po arabsku, a z jej gestu zrozumiałam, że mam wstać. Wykonałam polecenie ze sporym trudem. Dopiero wtedy poczułam, jak bardzo obolałe jest moje ciało. Nie wiem dlaczego, ale najbardziej bolała mnie klatka piersiowa. Kiedy stanęłam, nie mogłam wziąć pełnego wdechu. Kobieta, która mi asystowała, nie przejęła się tym jednak. Kolejnym gestem kazała mi podnieść ręce, po czym oklepała moje ciało dłońmi.

Pod luźną, zawiązywaną koszulą byłam zupełnie naga. Schowanie czegokolwiek pod tym ubraniem byłoby mocno amatorską zagrywką, żeby nie powiedzieć, że było praktycznie niemożliwe – ale to nie był koniec

rewizji. Kobieta położyła dłoń na moim ramieniu i znowu powiedziała coś po arabsku, naciskając z całej siły, tak że sprowadziła mnie do parteru. Kucnęłam przed nią, a wtedy ona uderzała w moje plecy, jakby chciała uratować mnie przed zakrztuszeniem. Oczywiście nie to było jej celem. Dopiero później dowiedziałam się, że miało to na celu sprawdzenie, czy nie ukryłam czegoś w pochwie lub odbycie.

Czułam się poniżona, uprzedmiotowiona, ale moim głównym celem było skontaktowanie się z Ziadem, dlatego byłam w stanie znieść absolutnie wszystko. Kiedy kobieta upewniła się już, że nie przemycam niczego ani na, ani w swoim ciele, kolejnym gestem kazała mi wstać i stanęła za mną. Pchnęła mnie ręką i zrozumiałam, że mam iść przed siebie. Kiedy dotarłyśmy do toalety, otworzyła drzwi, wepchnęła mnie do środka i zamknęła je.

Tak jak powiedziała filipińska pielęgniarka, w drzwiach nie było klucza, więc nie mogłam zamknąć się od środka. Zgadzało się też to, że w umówionym miejscu czekał na mnie telefon. Był ściszony, nie miał żadnego kodu zabezpieczającego. Usiadłam na toalecie i chowając aparat między nogami, tak by nie był widoczny, gdyby strażniczce przyszło do głowy złożyć mi niezapowiedzianą wizytę, szybko wystukałam numer Ziada.

Odebrał natychmiast, jakby czuwał przy komórce. Miałam tylko chwilę.

– Ziad, kochany, nie mogę długo rozmawiać, zabierają mnie dziś do więzienia – wyszeptałam.

– Jak to? Nie mogą! Najważniejsze, że żyjesz. Jak mogłaś mi...

– Przepraszam, naprawdę nie chciałam.

– Wyciągnę cię z tego, ale błagam, nie załamuj się i żyj dla mnie.

– Kocham cię... Muszę kończyć. Pielęgniarka zadzwoni do ciebie z tego numeru później – powiedziałam, a potem się rozłączyłam.

Ta rozmowa była dla mnie emocjonalnie znacznie trudniejsza, niż się spodziewałam. Oczywiście marzyłam o tym, by rozmawiać z Ziadem bez końca, ale wiedziałam, że to nie będzie nam dane jeszcze przez długi czas. Najważniejsze, że mogłam go usłyszeć, a on wiedział, że nic mi nie jest.

Miał rację, pytając mnie, jak mogłam mu to zrobić. Wtedy naprawdę się tego wstydziłam, ale to się stało zupełnie bezwiednie. Do dziś tego nie rozumiem. Jakby jakieś obce moce nagle zawładnęły moim ciałem i poprowadziły je do autodestrukcji.

Odłożyłam telefon na miejsce i odetchnęłam z ulgą. Spuściłam wodę i odkręciłam kurek w kranie, żeby umyć ręce. Zaraz potem wyszłam z łazienki i pozwoliłam odprowadzić się do łóżka.

Nie wiem, czy zdobyłam sobie zaufanie strażniczek, czy po prostu procedury nie wymagały dalszego poniżania, ale tym razem obyło się bez macania, poklepywania i popychania. Położyłam się w zimnej pościeli i czekałam na rozwój wydarzeń.

Wieczorem przyniesiono mi ubranie i kazano się przebrać. Zaraz potem do pokoju weszły dwie strażniczki – ta, którą już poznałam, i druga, nieco wyższa i wyraźnie starsza. To ona zakuła mnie w kajdanki, podczas gdy jej młodsza koleżanka zakomenderowała po arabsku, że mam ruszyć za nią. Tak też zrobiłam.

Zostałam odprowadzona do dużych skrzydłowych drzwi prowadzących na duszny korytarz. Powitało mnie słodkie, gęste powietrze, oblepiające całe ciało w ciągu kilku sekund, tak dobrze znane mieszkańcom Dubaju. Po chłodzie klimatyzowanej sali przez chwilę było nawet przyjemne, ale zanim zeszliśmy kilka pięter w dół, byłam złana potem.

Zastanawiałam się, dlaczego nie wsiadliśmy do windy. Budynek był dość wysoki, musiał przecież mieć windę. Widocznie ten luksus nie był przeznaczony dla kryminalistów, chociaż zdecydowanie wolałam myśleć, że wyprowadzono mnie bocznym wyjściem, by oszczędzić mi poniżających spojrzeń przypadkowych gapiów.

Prawdopodobnie jednak chodziło o względy techniczne. Furgonetka była zaparkowana na zapleczu szpitala, gdzie nie prowadziło żadne z głównych wejść. Zostałam do niej wprowadzona. Kobiety wsiadły ze mną na tył; miejsca z przodu zajmowało dwóch funkcjonariuszy. Gdy niższa z kobiet zasunęła drzwi, kierowca uruchomił silnik i samochód ruszył w drogę, która miała zakończyć moją wolność.

W tętniącej życiem metropolii słynącej z przepychu i bogactwa, z dala od migoczących świateł i drapaczy chmur, za grubymi betonowymi ścianami ukryty jest świat, którym rządzi niespotykany nigdzie indziej zestaw zasad, sojuszy i niepisanych praw. Inne obowiązują więźniów, którzy w tym miejscu stanowią najniższą kastę, inne dotyczą tych, którzy

ich pilnują, wchodząc w rolę boskich zwierzchników i władców marionetek.

Ale każdy ma tu ten sam cel: przetrwać. Ci, którzy go nie mają, zapewne nigdy już nie poczują promieni słońca na skórze ani wiatru we włosach. Jedynym sposobem na to, by stąd wyjść, jest absolutna i bezkompromisowa wola walki o siebie. Zdałam sobie z tego sprawę już w pierwszych godzinach i wcale nie byłam pewna, czy temu podołam. Od mojej samobójczej próby nie minęły jeszcze nawet dwie doby, a ja już znalazłam się w miejscu, które samo w sobie potęgowało pragnienie śmierci.

Kiedy po raz pierwszy usłyszałam, że być może trafię za kratki, przejrzałam w internecie artykuły o więzieniach w Dubaju. Zdjęcia, które zobaczyłam, nie odzwierciedlały jednak tego, co zobaczyłam na żywo. Propaganda, jaką karmią ludzi władze Dubaju, jest naprawdę bezczelna. Nie wiem, gdzie robili te zdjęcia. Może wygenerowali je za pomocą sztucznej inteligencji, a może wybudowali jakieś pokazowe więzienie, w którym warunki mocno przewyższają wiele z tańszych hoteli...

Wprowadzono mnie do obskurnej sali, w której stały dwie ławki, a w tylnej, wykafelkowanej części znajdowały się dwa prysznice. Przydzielona mi strażniczka kazała mi się rozebrać i wejść pod prysznic. Kiedy się pod nim znalazłam, sama uruchomiła wodę; była lodowata, a ja nie mogłam wyregulować jej temperatury, bo sterowało się nią kurkiem umieszczonym z daleka od samego prysznica. Było to zapewne związane z jakimś dziwnie pojmowanym bezpieczeństwem, choć w moim odczuciu miało zdecydowanie więcej wspólnego z torturami.

Byłam przerażona, ale też dziwnie pogodzona z losem. Stałam obrócona do ściany i pozwalałam, by spływająca woda zmyła ze mnie chemiczną woń szpitala. Niestety cuchnęła chlorem i choć była zimna, wcale nie przynosiła ukojenia. Miałam wrażenie, że ta kąpiel nie jest po to, bym mogła się umyć, ale żeby naznaczyć mnie więzieniem.

Po kilku minutach kobieta wyłączyła dopływ, po czym za pomocą jednowyrazowych haseł kazała mi się wytrzeć i założyć leżące na ławce ubranie. Więźniarki w zakładzie, do którego trafiłam, nosiły obszerne bordowoczerwone uniformy z niebieskimi pasami na plecach i lamówkami na przodzie w identycznym kolorze. Założyłam spodnie i wsunęłam na siebie za dużą, workowatą tunikę, a następnie zawinęłam na głowie obowiązkowy *hidżab*. Chociaż nie nosiłam go na co dzień, umiałam to

robić, bo turyści często prosili mnie o to, bym pomogła im zawinąć na głowie chustę. Równie sprawnie zawiązywałam męskie *ghutry*.

Później wszystko działo się już bardzo szybko. Byłam przekazywana z rąk do rąk. Zauważyłam, że kobiety, które pracowały w więzieniu, noszą zupełnie inne mundury od tych, które spotkałam w szpitalu. Większość z nich nosiła obszerne, piaskowe, bezkształtne spodnie i długie marynarki w tym samym kolorze z dwoma rzędami dużych kieszeni z przodu, przepasane czarnymi, grubymi, skórzanymi pasami. Na głowach miały czarne berety, zaciśnięte na dopasowane kolorystycznie do munduru *hidzaby*. Wśród nich były też nieliczne, które nosiły czarne *abaje*, wyglądające tak jak te cywilne, ale ich *hidzaby* były beżowe. Bardzo zaintrygowało mnie to rozgraniczenie, dopóki nie poznałam smutnej prawdy, jaka się kryje za obecnością w więzieniu kobiet w czerwonych uniformach.

ROZDZIAŁ 15

Kurort

Trafiłam do celi. Małej, wąskiej, na początku długiego rzędu krat i jednoosobowej.

– Na razie zostaniesz tutaj – powiedziała dojrzała strażniczka, która mnie do niej wprowadziła.

Nie miałam pojęcia, co oznacza „na razie”, i bałam się, co będzie potem, ale ponieważ kompletnie na nic nie miałam wpływu, automatycznie poddawałam się wszystkiemu, co ze mną robiono.

Zastanawiałam się, czy pojedyncza cela to standardowy przejściowy etap adaptacji do nowego życia, czy może chodzi o to, że trafiłam tu z etykietką niedoszłej samobójczyni i należało wykluczyć możliwość powtórzenia tej próby. Za tą drugą opcją przemawiał fakt, że byłam pilnowana niemal nieustannie, choć raczej bardzo dyskretnie. Strażniczka, która dyżurowała w pobliżu, miała swoje stanowisko po drugiej stronie, ale na wysokości celi obok. Dzięki temu mogła trzymać mnie na muszce, choć ja widziałam ją tylko wtedy, gdy zbliżyłam się do krat.

W kolejnych dniach zaczęłam się uczyć porządku, który w tym miejscu wyznaczał rytm dnia. Była to dobrze skomponowana sekwencja następujących po sobie czynności odgrywana przy akompaniamencie odtwarzanych pięć razy dziennie wezwań na modlitwę. Część kobiet była wyprowadzana do sali modlitewnej już na pierwszą modlitwę, ale większość muzułmanek modliła się w swoich celach. Domyślałam się, że na „wycieczki” na modlitwę trzeba sobie zasłużyć. Nie było to jednak coś, na czym zależało mi najbardziej.

Dostawałyśmy trzy posiłki dziennie. Na wszystkie byłyśmy doprowadzane do sporej stołówki w dwóch grupach. Monotonia zajęć powodowała, że powoli wpadałam w letarg – straciłam poczucie czasu

i dziś już nie jestem pewna, ile dni spędziłam odizolowana od pozostałych więźniarek. Aż w końcu przyszedł moment, kiedy do nich dołączyłam.

Przeprowadzono mnie do celi na piętrze. Znajdowało się w niej sześć dwupoziomowych pryczy. Cztery z nich były zajęte. Mnie przydzielono dolną stojącą najbliżej wejścia, a więc najbardziej wystawioną na widok wszystkich, którzy przechodzili korytarzem.

– *Welcome to the resort!* – rzuciła około czterdziestoletnia kobieta, która siedziała na górnej pryczy.

„Witaj w resorcie!” – zapamiętałam te słowa, bo w pierwszej chwili przestraszyłam się, że ktoś mnie tu rozpoznał. Okazało się jednak, że więźniarka nie ma pojęcia, iż jestem byłą rezydentką turystyczną i pracownicą jednego z dubajskich hoteli. To była po prostu potoczna, sarkastyczna nazwa, której używano do określenia tego miejsca. Daleko mu było do warunków panujących w resortach, które gościły turystów zaledwie kilkanaście kilometrów od murów tego więzienia, ale osadzone często żartowały, że są tu na wakacjach. W zasadzie to żartowały tylko dwie. Dwie pozostałe wydawały się wycofane, siedziały cicho, jakby były przestraszone, zrezygnowane.

Ta, która mnie powitała, była w średnim wieku. Krępa, niska, o bardzo poczciwej, uśmiechniętej twarzy. Miała na imię Nasrin i pochodziła z Indonezji. Oczywiście podstawowym pytaniem w tym miejscu było to o powody osadzenia. Spytała mnie o to już na wstępie.

– Zostałam wrobiona w długi... – zaczęłam.

– O, to tak jak Olga – rzuciła, wskazując na wciśniętą w kąt młodą dziewczynę, jedyną w tym gronie o europejskich korzeniach.

Olga jednak odwróciła głowę, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie chce o tym rozmawiać, więc uszanowałam to, choć naturalnie bardzo mnie kusiło, bo o wszystko ją wypytać. Nie dość, że była z Europy, to jeszcze siedziała z tego samego powodu co ja.

– A ty? – odważyłam się odbić piłeczkę.

– Nieporozumienie z pracodawcą – powiedziała Nasrin.

To w Dubaju mogło oznaczać naprawdę bardzo wiele rzeczy. Zwykłą kłótnię, w wyniku której pracodawca skończył z nożem w plecach, intrygę zazdrosnej żony lub odrzucone zaloty pana domu, który urażoną dumę i nadszarpnięty honor próbował ratować oskarżeniem służącej. Żaden

z tych domysłów nie pokrywał się z prawdą, ale Nasrin nie kazała mi długo czekać na swoją opowieść.

Do Dubaju trafiła jak tysiące innych kobiet z jej kraju jako niania. Pracowała u rodziny, która miała trójkę małych dzieci. Ich matka była bardzo piękną i w gruncie rzeczy miłą, ale kompletnie niezainteresowaną macierzyństwem kobietą. Ojciec sporo podróżował, a jak się z czasem okazało, miał drugą rodzinę w Wielkiej Brytanii. Wychowanie dzieci i niemal całkowita opieka nad nimi spadły na Nasrin.

Do rodziny trafiła, gdy para miała dwójkę potomstwa. Trzecie dziecko oddano pod jej pieczę niemal natychmiast po tym, jak się urodziło. Nasrin była tak zaangażowana w swoją pracę, że natura sprawiła, iż w jej piersiach pojawiło się mleko, którym karmiła maleństwo dosłownie porzucone przez matkę, która zaraz po urodzeniu pojechała na Seszele odpocząć po trudach porodu.

Pracę bardzo utrudniał Nasrin fakt, że pojawiający się z doskoku rodzice, próbując zrekompensować dzieciom swoją nieobecność, obsypywali je prezentami i rozpieszczali do granic przyzwoitości, często otwarcie podważając kompetencje ich niani. Zwłaszcza gdy dzieci tęskniły za nią, a nie za nimi. Z czasem sytuacja komplikowała się coraz bardziej. Dorastający, ośmioletni już Karim robił się coraz bardziej nieznośny. Nie reagował na żadne zakazy i gdy Nasrin próbowała go dyscyplinować, wpadał w nieokiełznaną histerię. Kobieta zgłaszała problem swoim przełożonym, ale ci uważali, że jedyną winną tej sytuacji jest ona sama i to ona powinna ponosić konsekwencje. Nie mieli zamiaru reagować.

Kiedy któregoś wieczoru, pozostawiona sama sobie po kolejnej kłótni z Karimem, Nasrin kazała mu pójść spać bez kolacji, chłopiec postanowił się na niej zemścić. Wszyscy w domu już spali, gdy zakradł się do sypialni swojej niani i próbował podpalić jej włosy. Zrobił to jednak na tyle nieporadnie, że niemal natychmiast zajęła się poduszka, na której spała służąca, a zaraz potem ogień przeniósł się na jego ubranie.

Kobietę obudził potworny ból. Szczęśliwie szybko udało jej się ugasić trawiący poduszkę i parzący jej skórę pożar. Hałas zbudził domowników. Kiedy rodzice Karima wbiegli do kwatery służącej, zastali zupełnie

niecodzienną sytuację. To ona później stała się głównym powodem oskarżenia Nasrin i tylko ją sąd wziął pod uwagę.

Niania stała zasłonięta kołdrą, którą próbowała ugasić ogień na sobie, podczas gdy tuż obok niej skakał wrzeszczący Karim w nadpalonej na brzuchu piżamie. Wszystko to wyglądało bardzo źle, ale szczęśliwie ogień nie zdążył wyrządzić nikomu poważnej krzywdy.

Pan domu natychmiast wezwał karetkę, ale ta do szpitala zabrała wyłącznie Karima. Po Nasrin tuż po świcie przyjechała policja, która aresztowała ją pod zarzutem próby zabójstwa dziecka jej chlebodawców.

– Nie zrozum mnie źle, ale ten gówniarz zasługiwał na tęgie lanie. Tylko że ja nigdy nie skrzywdziłabym dziecka. Kochałam te maluchy jak swoje, nawet jego. Był takim słodkim chłopcem, jak zaczęłam się nim opiekować... – powiedziała Nasrin, kończąc swoją opowieść.

– Tylko się tu znowu nie rozklejaj – rzuciła druga z wygadanych więźniarek, Aliyah. – Niektóre bachory zasługują na swój los.

Aliyah wyraźnie należała do kobiet, z którymi nie warto zadzierać, choć była też bardzo kontaktowa i w sumie całkiem sympatyczna. Wiedziała, że już nigdy nie wróci do swojej ojczystej Jordanii, chyba że władze Emiratów przychylią się do wniosku o ekstradycję. Nawet jednak jeśli do tego dojdzie, i tak nigdy nie będzie miała szansy oglądać świata spoza krat.

Ale zanim Aliyah opowiedziała mi swoją historię, musiałam poznać dalsze losy Nasrin. Oczywiście nietrudno się domyślić, że sąd skazał ją na więzienie, ale i tak nie mieściło mi się w głowie, że to zrobił.

– Jak mogli cię skazać? Przecież to nie ty podpaliłaś tego malca, tylko on ciebie! – oburzyłam się.

Nasrin wzruszyła ramionami.

– To w takich sytuacjach nie ma większego znaczenia. Sąd nie interesował się przebiegiem sprawy. Tym, że ogień pojawił się w mojej sypialni, że to moja poduszka i włosy zostały spalone. Same oględziny miejsca zdarzenia były dowodem tego, co naprawdę zaszło, ale moja wersja nie zgadzała się z tą przedstawioną przez rodziców Karima. Ci natomiast powiedzieli, że od dawna znęcałam się nad dziećmi, a oni ciągle dawali mi szansę. Teraz rzekomo tego żałują, bo narazili swoje dzieci na niebezpieczeństwo. Młody nie miał śladu po poparzeniu, zanim proces

dobiegł końca, ale nikt nie przejmował się faktami. Dostałam dwadzieścia lat. Po apelacji wyrok skrócono do piętnastu, zostało mi jeszcze dziewięć.

Byłam porażona tak jawną niesprawiedliwością.

– Jak to jest w ogóle możliwe? Przecież ty jesteś zupełnie niewinna...

– A ja jestem winna! – rzuciła Aliyah z zadziwiającą dumą w głosie.

Nie spotkałam wcześniej żadnego skazańca, ale takie słowa chyba w ich ustach są rzadkie.

– I gdybym mogła cofnąć czas, zrobiłabym to samo – dodała przez zaciśnięte zęby.

Aliyah pracowała u jednej z mieszkających w Mirdiff rodzin jako kucharka. Była młoda, całkiem ładna i miała nadzieję, że zaraz po skończonym w Dubaju kontrakcie wróci do swojego kraju, by wyjść za swojego narzeczonego. On w tym samym czasie zarabiał na ich wspólną przyszłość jako ogrodnik w Arabii Saudyjskiej.

Dziewczyna miała nieszczęście wpaść w oko najstarszemu synowi rodziny, dla której gotowała. Dziewiętnastolatek zaczął ją regularnie nagabywać i molestować, ale jej przez dłuższy czas udawało się go unikać. Gdy stawał się naprawdę napastliwy, zamykała się w pomieszczeniu gospodarczym, do którego chłopak nie miał dostępu, i czekała, aż ten zrezygnuje. Ta metoda działała jednak do chwili, kiedy młodzian znalazł sposób na to, by otworzyć schowek, w którym ukrywała się Aliyah. Tego dnia po raz pierwszy zgwałcił ją bez litości.

Aliyah nigdy nie była zahukaną dziewczynką z biednego azjatyckiego kraju i nie miała zamiaru puścić mu tego płazem. Odebrał jej godność, dziewictwo i musiał za to zapłacić. Zaraz po tym obrzydliwym akcie, nie czekając na oficjalną audiencję, wymusiła rozmowę na swoim pracodawcy, ojcu gwałciciela, i bez skrępowań mu się poskarżyła.

– To okropne. Bardzo współczuję i przepraszam – powiedział mężczyzna.

– Oczywiście możesz się spodziewać zadośćuczynienia, a mój syn nie uniknie kary...

Tego właśnie oczekiwała Aliyah. Była odważna, ale była też realistką i wiedziała, że to wszystko, na co może liczyć. Gdyby poszła do sądu, prawdopodobnie zostałaby oskarżona i skazana za pozamałżeński stosunek

seksualny. Mając tę świadomość, tym bardziej cieszyła się z reakcji swojego chlebobdawcy.

Chłopak faktycznie nigdy już się do niej nie zbliżył. Niedługo potem wyjechał w podróż do Stanów Zjednoczonych, a gdy to nastąpiło, jego ojciec wezwał ją do siebie na rozmowę i spytał, czy jest zadowolona z tego, jak załatwił sprawę. Aliyah przyznała, że nie ma zastrzeżeń, jednak on najwyraźniej oczekiwał bardziej namacalnego potwierdzenia, bo zażądał, żeby mu się oddała. Kobieta natychmiast zerwała się do ucieczki, ale szybko się przekonała, że nie ma szans. Jej opór tylko dodatkowo podniecił mężczyznę, bo dopadł ją i tak jak wcześniej jego syn brutalnie zgwałcił.

Aliyah nie wiedziała, do kogo ma się teraz zwrócić. Nie miała komu się poskarżyć. Nie miała nikogo, kto by się za nią wstawił. Wiedziała, że jest zdana na siebie. Wzięła więc sprawy w swoje ręce.

Wkrótce pan domu zaczął się uskarżać na kłopoty z żołądkiem. Bóle stawały się coraz silniejsze i trudniejsze do opanowania, ale nikt nie podejrzewał, że to z powodu jedzenia, bo Aliyah gotowała jak dawniej, absolutnie wybornie, a pan domu był jedynym, który miał podobne kłopoty.

Pierwsze podejrzania pojawiły się dopiero, gdy do domu wrócił syn pierworodny. Po powitalnej kolacji dopadły go identyczne bóle jak te, na które od tygodni cierpiał jego ojciec. Chłopak nie miał wątpliwości, kto jest temu winien, i to on pierwszy rzucił oskarżenie. Obaj mężczyźni poddali się badaniom, które wykazały, że zostali otruci. Dodawana do jedzenia trucizna zdążyła już wywołać początki marskości wątroby i zniszczyć nerki ojca. Syn, który przyjął wyłącznie jedną dawkę, uniknął długotrwałych konsekwencji zdrowotnych.

Aliyah została oskarżona o próbę zabójstwa. Już w trakcie procesu okazało się, że jest w ciąży, co dodatkowo skomplikowało jej sytuację. Została skazana na trzydzieści lat więzienia, ale gdy się okazało, że jej były pracodawca zmarł z powodu niewydolności nerek, jej sprawę rozpatrzono ponownie. Groziła jej kara śmierci, ale ostatecznie skazano ją na dożywocie. Kiedy ogłoszono wyrok, była w dziewiątym miesiącu ciąży. Kilka dni później urodziła zdrową dziewczynkę. Nie wiedziała, który z jej gwałcicieli był ojcem dziecka, ale nie miało to dla niej znaczenia. Chciała zapomnieć o istnieniu ich obu.

Jej córeczka nie poznała życia na wolności. Była jedną z kilkudziesięciorga dzieci więźniarek, które odsiadywały wyroki wraz

ze swoimi mamami.

To właśnie wtedy dowiedziałam się, że kobiety w czarnych *abajach* i piaskowych *hidżabach* są nianiami. Młodsze dzieci chodzą do więziennego przedszkola, starsze do szkoły. Nie mieszkają ze swoimi matkami, ale mają z nimi codzienny kontakt.

Dziecko miała też trzecia z moich nowych współlokatorek, Egipcjanka Dunya. Nie była tak wylewna w opowiadaniu swojej historii jak jej koleżanki. Wiem tylko, że weszła w konflikt z prawem z powodu nielegalnej wizy, ale nie było to jedyne przestępstwo, za które ją skazano. Prawdę o pozostałych zachowała dla siebie, nie wyglądała jednak na osobę, która mogłaby celowo kogoś skrzywdzić.

Opowieści współosadzonych na jakiś czas odciągnęły mnie od moich własnych problemów, ale gdy przyszła kolej na opowiedzenie mojej historii, wszystko wróciło ze zdwojoną siłą.

– I naprawdę nie wzięłaś tych pożyczek? – upewniła się Nasrin po wysłuchaniu mnie.

– Naprawdę.

– I nikt nie sprawdził konta, na które miały być przelane te pieniądze...?

Czy naprawdę musiałam trafić do więzienia, by wreszcie usłyszeć głos rozsądku? Nawet nie przyszło mi to do głowy! Ziad też o tym nie pomyślał. Nie sprawdziły tego również banki. Dla nich liczył się tylko fakt, że pożyczki były wzięte na moje nazwisko, a czeki sygnowane moim podpisem. Problem w tym, że nikt prywatnie nie jest w stanie sprawdzić, kto jest właścicielem numeru konta ani na które konto zostaje przelana zaciągnięta pożyczka. Taką wiedzę mają wyłącznie banki.

Ja mogłam udowodnić, że pieniądze nie dotarły na moje konto, ale nikogo to nie obchodziło tak długo, jak długo wierzono, że to ja zaciągnęłam dług. Czułam, że muszę natychmiast porozmawiać o tym z Ziadem

Gdy spytałam, jak wyglądają widzenia w więzieniu, dziewczyny niestety nie miały dla mnie najlepszych wieści.

– Wszystko zależy od tej suki, Yary! – rzuciła Aliyah z wściekłością.

– Kto to jest Yara?

– Jedna z wyżej postawionych strażniczek. Wyraża zgodę na widzenia – wyjaśniła Nasrin. – Lubi Europejki, więc jak będziesz dla niej miła,

powinna dać ci zgodę na spotkanie z mężem.

– Ziad nie jest moim mężem...

– Uuu... No to będziesz musiała być bardzo, bardzo miła – dodała Aliyah.

– Yara niczego nie robi za darmo.

– Ale ja nie mam niczego... Nie mam tu pieniędzy... – załamalam się.

– Yara nie będzie chciała od ciebie pieniędzy. To, co lubi, masz zawsze przy sobie. – Aliyah wymownie spuściła wzrok na moje krocze.

Gdy zrozumiałam aluzję, w pierwszym odruchu poczułam obrzydzenie. Nie miałam nic przeciwko kontaktom między kobietami, ale sama nigdy nie czułam do nich pożądania. Poza tym oddanie się komukolwiek w zamian za korzyści jest przecież prostytutką, a do tej nie chciałam się uciekać.

Okazało się, że Yara już wcześniej miała w planach spotkanie ze mną. Podobno wzywała na prywatne przesłuchania każdą z więźniarek. Nie wszystkie zostawały jej ofiarami, nie wszystkie wpadały jej w oko, ale te, które miały to nieszczęście, stawały się albo jej protegowanymi, albo ofiarami. Jeśli spełniały jej życzenia, mogły liczyć na ochronę i pożądane w więzieniu benefity. Jeśli się opierały, były gwałcone i trafiały do karceru albo wymierzano im okrutną karę deprivacji snu polegającą na tym, że nie pozwalano im zasnąć przez kilka dób z rzędu.

Yara przyszła po mnie kilka dni po tym, jak przeprowadziłam się do wieloosobowej celi. Zaprowadziła mnie do biura, w którym urzędowała, i posadziła na krześle, po czym stanęła przed nim. Górowała nade mną, uważnie mnie lustrując. Ja siłą rzeczy mogłam też przyjrzeć się jej. W więziennym mundurze jej sylwetka wyglądała na bardzo męską, a ogromne kieszenie w górnej części marynarki maskowały biust, sprawiając wrażenie, jakby miała potężnie rozbudowaną klatkę piersiową. Jej twarz miała twarde, męskie rysy i gdyby nie fakt, że Yara nosiła *hidżab*, można by odnieść wrażenie, że jest mężczyzną.

Wszystko, co powiedziały mi o niej dziewczyny, okazało się prawdą. Yara sama zapowiedziała, że warto być dla niej miłą, bo wtedy i ona jest miła. Ta z pozoru nieszkodliwa uwaga niosła w sobie ostrzeżenie, że nie warto być niemiłą.

Po chwili strażniczka zaszła mnie od tyłu, położyła potężną dłoń na moim biuście i ścisnęła mnie za prawą pierś. Zaraz potem druga ręka wylądowała na lewej piersi. Bawiła się nimi przez chwilę, a potem jej dłonie zjechały w dół.

Czułam się kompletnie sparaliżowana. Siedziałam bez ruchu, bojąc się choćby pisnąć. Nie chciałam jej urazić, nie chciałam być ofiarą. Skoro i tak nie mogłam nic zrobić, skoro i tak nie byłam w stanie powstrzymać molestowania, a może nawet gwałtu, to lepiej na tym wyjdę, nie stawiając oporu.

– Pozwolisz mi na spotkanie? – zapytałam nagle, sama przestraszona swoją odwagą.

Yara mnie puściła. A potem znowu pojawiła się przede mną i uśmiechnęła, najwyraźniej rozumiejąc, że chętnie zostanę jej protegowaną. Brzydziłam się sobą, ale jednocześnie wiedziałam, że to moja jedyna szansa. Byłam zaskoczona swoją reakcją. Być może to historie moich współwięźniarek, a może wściekłość na to, że muszę pogodzić się z rolą ofiary, spowodowały, że poczułam przypływ sił do walki o siebie.

– Z kim chcesz się spotkać? – spytała.

– Z Ziadem – rzuciłam, bojąc się powiedzieć kobiecie, która próbuje zrobić ze mnie swoją niewolnicę seksualną, że mam narzeczonego.

– Kim jest Ziad?

– Moim przyjacielem – odpowiedziałam cicho.

– Mąż, narzeczony, chłopak? – warknęła.

– Narzeczony – przyznałam.

– Dobrze. Podasz mi jego dane i zajmę się tym.

Zaraz po złożeniu obietnicy Yara po prostu odprowadziła mnie do celi – jakby na wieść, że jestem w związku z mężczyzną, zrezygnowała z molestowania mnie.

Dziewczyny niecierpliwie czekały na relację z mojego spotkania ze strażniczką. Opowiedziałam im wszystko ze szczegółami. Łącznie z tym, w jak zaskakujący sposób się ono zakończyło.

– Nie zgwałci cię teraz, bo mogłabyś to opowiedzieć swojemu kochasiowi. Ale spokojnie, odbierze swoją zapłatę – skomentowała Aliyah.

Byłam na nią zła, myślałam, że celowo mnie straszy. Ale niestety Aliyah miała rację.

Dwa dni później spotkałam się z moim ukochanym Ziadem. Nie mogłam go dotknąć, nie mogłam się do niego przytulić, ale wreszcie go zobaczyłam. Trudno nam było opanować łzy, ale by nie tracić limitowanego czasu, musieliśmy wziąć się w garść.

– Wyciągnę cię stąd, *habibti*... – powiedział Ziad łamiącym się głosem. – Nad twoją sprawą pracuje już dwóch adwokatów. Skontaktowałem się też z polską ambasadą. Ten dług zostanie spłacony...

– Dziękuję, kochany, ale skąd ty weźmiesz takie pieniądze? Nie mogę cię na to narażać... – wyszlochałam.

– Nie martw się o to. Nie mogę uwierzyć, że cię tu zamknęli.

– Ja też, to absolutnie irracjonalne! Ale kobiety, które tutaj spotkałam, myślą całkiem racjonalnie... – Opowiedziałam Ziadowi o tym, na co wpadły dziewczyny. – Musi być jakiś sposób, by rozwikłać tę sprawę po numerach kont.

– To nie będzie konieczne. Ja już wiem, kto to zrobił. Sprawdzenie numerów kont może być tylko dodatkowym dowodem.

Kiedy usłyszałam te słowa, aż podskoczyłam z radości. Wreszcie miałam nadzieję, że mój koszmar za chwilę się skończy.

– Musisz się uzbroić w cierpliwość, bo to jeszcze trochę potrwa – powiedział Ziad. – Sprawa jest skomplikowana, bo przyznałaś się do winy.

– Jak to? Nigdy się nie przyznałam!

– Oni powołują się na dokumenty, które podpisałaś.

– Ale ja niczego nie podpisywałam!

– Wiem, że nie podpisałaś umów kredytowych i czeków, ale podpisałaś dokumenty, w których czarno na białym stoi, że to ty wzięłaś pożyczki, ty ich nie spłacasz i bierzesz za to odpowiedzialność. To te pisma po arabsku, które podsunęły ci banki, a w zasadzie wynajęte przez nie firmy. Większość banków przekazuje takie sprawy niemal automatycznie sępom. W Emiratach działają firmy, które zajmują się ściąganiem długów. Zatrudniają głównie lepiej wykształconych Hindusów i dają im prowizję od ściągniętego zadłużenia, dlatego nie ma tu mowy o dogadaniu się ani nawet o uczciwości.

– Ale ja nie mogłam tego przeczytać. To było po arabsku...

– Na tym właśnie opieramy całą linię obrony. Barack polecił mi doskonałych prawników. Problem w tym, że nieznajomość arabskiego nie jest dla wymiaru sprawiedliwości okolicznością łagodzącą. Ale spokojnie, wygramy. Obiecuję ci, że cię tu nie zostawię. Odzyskasz wolność, a potem wyjedziemy z tego cholernego miejsca i znajdziemy szczęście z dala od Emiratów.

Ta wizja wydawała mi się zupełnie nierealna, a jednak na tyle kusząca, by mocno się jej pochwycić. Od tamtej chwili trzymałam się jej kurczowo.

– Bądź dzielna, *habibti* – wyszeptał Ziad, a potem opowiedział mi o tym, co wydarzyło się za kulisami mojego nieszczęścia.

Prawie pięć miesięcy wcześniej...

Do oddziału National Bank of Abu Dhabi w budynku Creek Tower w Deira weszła młoda kobieta w eleganckiej czarnej *abai*. Spod jej luźno zawiązanego *hidżabu* wystawały kosmyki jasnych włosów. Była umówiona na spotkanie i zaraz po przedstawieniu się została przyjęta przez jedną z pracownic banku, również ubraną w *hidżab*.

Kobieta podała przedstawicielce banku paszport, a niedługo potem przystąpiła do podpisywania podsuwanych jej dokumentów. Wkrótce otrzymała gruby plik czeków, które również w bardzo szybkim tempie jeden po drugim sygnowała swoim podpisem. Wszystko to trwało około pół godziny, a zaraz potem kobieta wsiadła do swojego samochodu i przejechała na drugi koniec miasta na kolejne spotkanie umówione w centrum handlowym Ibn Battuta.

Zanim wysiadła, zsunęła z głowy *hidżab* i zdjęła perukę, a potem również *abaję*. W kawiarni spotkała się ze swoją najbliższą przyjaciółką, by opowiedzieć jej o tym, jak łatwo udało jej się zrealizować ich wspólny plan.

- Żadnych pytań. Podpisałam wszystko, a oni wydali zlecenie wypłaty.
- Wiem, bo pieniądze już przyszły.
- Fantastycznie. Kiedy odchodzisz?
- Jeszcze dziś złożę wypowiedzenie.
- Zatem dział HR jeszcze dziś zajmie się wszystkimi formalnościami.

Obie we wspaniałych humorach, zmieniły temat, zapominając o tym, co wspólnie ukartowały.

Następnego dnia wszyscy pracownicy resortu usłyszeli, że Reina odchodzi z firmy i wraca do Libanu. Niedługo potem wyleciała z Dubaju. I wtedy w doskonałym planie pojawiła się potężna rysa.

„Zrobiłaś mi już przelew?“, spytała jej przyjaciółka, używając komunikatora.

„Nie“, przeczytała w odpowiedzi.

„To zrób go wreszcie, proszę...”

„Chyba raczej nie ma na to szans”.

„Jak to? O czym ty mówisz...?”

„O niczym. Po prostu nie zamierzam się dzielić czymś, co należy się tylko mnie”.

„Ale umawialiśmy się inaczej!”

„Ale zmieniałam zdanie. Zawsze mnie wkurzałaś, to twoje wymądrzanie mocno działało mi na nerwy, myślisz, że nie wiem, że to przez ciebie Kaśka dostała awans? Ktoś wreszcie musiał utrzyć ci nosa”.

„Przecież jesteśmy przyjaciółkami... Miałyśmy trzymać się razem”.

„Byłyśmy, miałyśmy... To przeszłość. Nie pisz do mnie więcej, bo jak mnie wkurzysz, opowiem, co zrobiłaś”.

„Przecież pieniądze poszły na twoje konto. Też jesteś w to umoczona”.

„Powiem, że chciałaś mnie zrobić, i oddam wszystko. Dział HR ma przecież dostęp do numerów kont pracowników, mogłaś celowo próbować mnie pogrzyźć”.

I tak Alma została sama. Reina bez najmniejszych skrupułów wykorzystała jej dostęp do dokumentów, ukartowała spiszek, który miał mnie zrobić w zaciągnięcie pożyczki, której nigdy nie zamierzała spłacać, nawet perukę jej pożyczyła, tak by nie było wątpliwości, że dokumenty podpisywała jakaś blondynka. Z nich dwóch Alma wyglądała bardziej na Europejkę, więc wybór tej, która osobiście ma się stawić w banku, był bardzo prosty. Kiedy pieniądze znalazły się na koncie Reiny, ta natychmiast wyjechała. Później z zagranicy miała przelać połowę kwoty Almie. Ta chciała zostać w Dubaju, więc było jej na rękę, że pieniądze dostanie od koleżanki z Libanu, a nie bezpośrednio z banku, który mógłby z czasem dojść do jej udziału w wyłudzeniu kredytu po numerach kont.

Alma czuła się oszukana. Wzbierała w niej wściekłość. Jednak jeszcze tego samego wieczoru podjęła decyzję, że się nie podda. Wypełniła wniosek o kolejną pożyczkę w innym banku i dokładnie tak jak poprzednio wyłudziła sporą kwotę, której nigdy nie miała zamiaru oddać.

Pieniądze przelano na jej konto w Dubaju, a stamtąd natychmiast przetransferowała je do Libanu, dokąd dwa tygodnie później wyjechała na stałe.

Jej odejście z hotelu nie zostało oficjalnie ogłoszone, bo też Alma nigdy nie powiedziała, że odchodzi. Wyjechała na długie wakacje, z których po prostu nie wróciła. Tymczasem czeki z ratami, które próbowały zrealizować oba banki, okazały się bez pokrycia. A gdy sytuacja powtórzyła się jeszcze trzykrotnie, banki wypowiedziały umowę i zgłosiły władzom konieczność ścigania nieuczciwej kredytobiorczyni, nie mając pojęcia, że od dawna już nie ma jej w Emiratach.

Za wizytę Ziada, która zgodnie z panującymi w więzieniu zasadami nie należała mi się po tak krótkim czasie – a ponieważ nie byliśmy w żaden sposób oficjalnie związani, tak naprawdę w ogóle mi się nie należała – musiałam zapłacić. I Yara nie zamierzała czekać z odebraniem należności.

Tej samej nocy zabrała mnie do pokoju, w którym rozmawialiśmy po raz pierwszy, i kazała mi się rozebrać. Tym razem nie było miejsca na rozmowę. Kiedy zobaczyła mnie nagą, wpadła w jakiś dziwny szal. W pierwszym momencie myślałam, że będzie chciała mnie rozszarpać, ale ona dopadła mojego nagiego ciała i zaczęła je obmacywać, po czym podniosła mnie na stół, gdzie stałam się obiektem jej żądy.

Nie miałam z tego żadnej przyjemności. Dusił mnie wstyd i obrzydzenie, czułam się kompletnie poniżona. Dopiero wtedy tak naprawdę poczułam, że jestem w więzieniu. Ale zaciskałam zęby, wiedząc, że jeśli mam jeszcze zaznać wolności, muszę ją najpierw do reszty stracić.

Yara upodobała sobie mnie do tego stopnia, że gwałty stały się moją rzeczywistością przez kolejne noce. I paradoksalnie z każdą z nich wzbierała we mnie coraz większa siła. Za wszelką cenę nie chciałam być ofiarą. Miałam wielkie szczęście, bo w tym czasie cierpiałam na niezdiagnozowaną depresję, która już raz próbowała mnie zabić. Wszystko mogło wyglądać inaczej. I nie wiem, co tak naprawdę dało mi siłę, by nie pozwolić jej na to po raz drugi, może właśnie wizyta Ziada, który wreszcie dotarł do informacji o tym, kto mnie w to wszystko wpakował. Bez niego bym nie przeżyła – nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Miałam nadzieję, że doczekam się sprawiedliwości i wkrótce wyjdę z więzienia oczyszczona z zarzutów. Ale na ten dzień musiałam czekać kolejne cztery miesiące. W sumie w więzieniu Al Aweer spędziłam sześć miesięcy i tydzień. Przez cały ten czas nie widziałam się z żadnym

prawnikiem ani dyplomata, choć wiem, że takie wizyty w przypadku osadzonych obywateli innych krajów mają miejsce. Ziad był jedyną osobą, którą do mnie dopuszczono. I to tylko ten jeden raz.

Dzień, w którym mnie uwolniono, był dla mnie zaskoczeniem. Nie zapowiedziano tego wcześniej. Zostałam po prostu wyprowadzona z celi – nie miałam w niej żadnych swoich rzeczy, więc nie musiałam niczego zabierać – i trafiłam do pokoju, w którym Yara regularnie mnie gwałciła. Byłam zdziwiona, bo nigdy nie robiła tego w dzień, a poza tym na moje szczęście od dłuższego już czasu się mną nie interesowała. Moje zdziwienie było tym większe, że nie zauważyłam jej wśród strażniczek, które mi towarzyszyły.

Jedna z nich położyła przede mną jakiś dokument, który kazała mi podpisać. On również był po arabsku, dlatego – pomna swoich wcześniejszych błędów – chciałam odmówić, ale nie pozostawiono mi wyboru. Ujęłam długopis w dłoń z nadzieją, że nie biorę na siebie żadnej kolejnej winy. Byłam tak sparaliżowana, że nie przyszło mi nawet do głowy spytać, co podpisuję. Oczywiście strażniczki mogły mnie okłamać, ale przynajmniej wykazałabym się rozsądkiem, tymczasem znowu popełniłam ten sam błąd.

Zaraz po tym, jak złożyłam podpis, odprowadzono mnie do sąsiedniej sali, gdzie oddano mi moje ubrania i kazano je założyć.

Niedługo potem znalazłam się w furgonetce w drodze na lotnisko. Wieźli mnie dwaj mężczyźni. Więzienne strażniczki widziałam po raz ostatni, gdy jedna z nich zasuwała drzwi samochodu.

Kiedy dojechaliśmy na lotnisko, auto przez dłuższy czas stało, jednak z wciąż zapalonym silnikiem. Przez małe okienko widziałam, że funkcjonariusze najpierw na kogoś czekają, a potem rozmawiają z mężczyzną w białej *dishdashy*, który wreszcie otworzył mi drzwi i krzyknął:

– *Yalla!* Idziemy!

Po raz pierwszy od miesiący stanęłam na ziemi w miejscu, gdzie ludzie poruszali się wolno, po raz pierwszy od dawna bez krępujących moje ręce kajdanek. Mężczyzna gestem nakazał mi iść za nim, prowadząc mnie wprost do stanowiska odprawy. Na ladzie, za którą siedziała pracownica linii lotniczych, położył mój paszport – nie mam pojęcia, skąd go wziął – i chwilę później odebrał kartę pokładową. Agentka nie zadawała żadnych

pytań ani jemu, ani mnie. Najwyraźniej wiszący u jego szyi identyfikator wystarczył jej za wszystkie odpowiedzi.

Zaraz potem zostałam przeprowadzona do stanowiska odprawy celnej. Nie korzystaliśmy z bramek elektronicznych, bo mój paszport musiał zostać podstemplowany. Mężczyzna rozmawiał chwilę po arabsku z celnikiem ubranym w dokładnie taką samą *dishdashę*, potem ten sprawdził coś w komputerze i wbił w mój paszport pieczętkę z dożywotnim zakazem wjazdu do Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Na tym kontakty z moim przewodnikiem się skończyły. Wręczył mi paszport z kartą pokładową i po raz kolejny rzucił:

– *Yalla!*

„Idź!” Wskazówka, dokąd mam się udać, widniała na karcie. Za godzinę odlatywał mój samolot do Warszawy. Dubaj mnie nie chciał, ale byłam wolna. Wsiadłam na pokład samolotu dosłownie z pustymi rękami. Nie miałam nawet bagażu podręcznego. Nie miałam żadnych pieniędzy, karty, rzeczy osobistych, jedynie rozładowany telefon bez ładowarki. Udało mi się go naładować dopiero w stolicy, ale i tak moja karta z Emiratów nie działała. Zablokowano ją z powodu nieopłaconych rachunków.

Po latach wspaniałego życia w Dubaju zostałam banitką. Władze wprawdzie wypuściły mnie z więzienia, a więc musiały uznać, że znalazłam się w nim niesprawiedliwie, ale ponieważ byłam nim jużznaczona, nie było dla mnie miejsca w normalnym, uchodzącym za nieskazitelne społeczeństwie. W bardzo dosadny sposób dano mi do zrozumienia, że w tym kraju nie da się zmyć z siebie całkowicie winy, jeśli już raz ją nam przypisano. Nawet jeśli tę winę odpokutujemy. Sama zbrodnia jest zdecydowanie mniej ważna niż zasądzona za nią kara.

Epilog

Pokrótkie znałem już historię Kasi, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Wiedziałem, że jej doświadczenia w Dubaju nie należą do tych, które się wspomina, przeglądając zdjęcia na Instagramie, choć przez wiele lat była tam naprawdę szczęśliwa. Najczęściej podczas naszych spotkań opowiadała mi przyjemne, zabawne historie i miałem wrażenie, że wreszcie uda mi się napisać miłą, optymistyczną książkę, przy której wszyscy będą się dobrze bawić.

Owszem, miałem obawy, że poza dobrą zabawą ta historia nie będzie niosła ze sobą żadnej głębszej wartości, ale kiedy poznałem jej finał, nie miałem już wątpliwości, co warto z niej wyciągnąć. Dla mnie historia Kasi jest kolejnym dowodem na to, że strach przed krajami arabskimi jest nieuzasadniony, jednak pod warunkiem, że znamy panujące w nich zasady. Wprawdzie bohaterce tej opowieści nie można zarzucić niewiedzy czy ignorancji, ale rutyna czasami powoduje, że tracimy czujność. Bez niej zaś jesteśmy łatwą ofiarą.

Zastanawiałem się, czy Kasia widzi tę sprawę podobnie, dlatego po autoryzacji tekstu książki, jak wielu poprzednim bohaterom, zadałem jej jeszcze kilka pytań.

Boisz się dzisiaj krajów arabskich? Pojechałabyś jeszcze do któregoś z nich?

Nie, nie boję się i nadal uważam je za niezwykle, ekscytujące miejsca. Wróciłam do zawodu i pracuję jako rezydentka w Maroku, które jest absolutnie wspaniałym krajem, choć również ma surowe prawo. Trzeba je po prostu znać i wiedzieć, czego się wystrzegać.

Ty wiedziałaś, a i tak znalazłaś się w więzieniu...

Ja padłam ofiarą oszustwa, co nie jest winą samego kraju, tylko ludzi, którzy mnie wykorzystali.

Ale przyznasz, że gdyby podobna sytuacja miała miejsce na przykład na terenie Unii Europejskiej, po oczyszczeniu z zarzutów nie poniosłabyś żadnych konsekwencji. A Dubaj wyrzucił cię z wilczym biletem...

Faktycznie nie jest to sprawiedliwe, ale nie ma kraju, w którym w każdym aspekcie władze działają w pełni sprawiedliwie. Ja nie chcę swojej złości kierować w stronę państwa, tylko ludzi, którzy mnie skrzywdzili.

A co z nimi się stało? Spotkała ich jakaś kara?

Nie. Z tego, co wiem, zarówno Reina, jak i Alma nie zwróciły pieniędzy. One również mają zakaz wjazdu do Zjednoczonych Emiratów Arabskich, ale to jedyne sankcje, jakie je spotkały.

I nadal uważasz, że to sprawiedliwe...

Nie, tego nie mówię. Nie chciałabym jednak, żeby ludzie unikali wspaniałych miejsc ze strachu. Nie chciałabym im odbierać możliwości zachwycania się nimi. Swoją historię opowiedziałam po to, by po prostu byli ostrożni.

Więc na co powinni uważać?

Przede wszystkim nigdy nie wolno rozstawać się ze swoimi dokumentami, chyba że mamy pewność, iż są bezpieczne w sejfie, choć jako pracownica resortu wiem, że do sejfów w hotelach można się dostać bez większego problemu, wystarczy znać sposób. Turyści jednak nie muszą się obawiać, że spotka ich podobny do mojego problem, bo tylko obywatele i rezydenci mają prawo do brania pożyczek. To, czego na pewno należy się wystrzegać za wszelką cenę, to podpisywanie dokumentów, których się nie rozumie. W konfliktowych sytuacjach nigdy nie powinno się tego robić. Dziś istnieją już aplikacje, które pozwalają na przetłumaczenie tekstu po zeskanowaniu, a jeśli nie mamy do takiej dostępu, domagajmy się spotkania z kimś zaufanym, kto pomoże nam poznać treść dokumentu. Żałuję, że sama tego nie zrobiłam. Moja sytuacja byłaby wtedy znacznie łatwiejsza.

Uniknęłybyś więzienia?

Nie wiem, ale na pewno zdecydowanie szybciej bym z niego wyszła. Przyznanie się do winy w prawodawstwie emirackim zamyka sprawę, a nieprofesjonalnym przedstawicielom agencji ściągających długi tylko na tym zależy. Wyrwanie się z tej matni jest później naprawdę trudne.

Ale sama mówiłaś, że w Dubaju w kłopoty można wpaść, nawet pomagając zagranicznym organizacjom charytatywnym...

Opowiedziałam o tym specjalnie, ku przestrodze, a nie żeby odstraszać ludzi, którzy chcieliby odwiedzić to wspaniałe miejsce. Przed przyjazdem do Zjednoczonych Emiratów Arabskich, ale także do Kataru czy Arabii Saudyjskiej, warto przejrzeć swoje media społecznościowe i ukryć w nich lub całkowicie usunąć posty dotyczące działalności charytatywnej, pokazujące nas w stanie, który mógłby wskazywać na spożycie alkoholu lub narkotyków, czy na przykład promujące legalizację marihuany. Upewnijmy się też, że nie ma nas na zdjęciach, na których palimy, bo nawet zwykły papieros może być zinterpretowany jako coś nielegalnego. To dotyczy również papierosów elektronicznych i waporyzatorów. Te z dozwolonymi w Europie olejkami CBD są w Emiratach traktowane na równi z narkotykami, a ich posiadanie surowo karane.

Ułożyłaś sobie życie, wróciłaś do ukochanego zawodu, a czy wrócił do ciebie również ukochany mężczyzna?

To, co wydarzyło się w naszym życiu, miało ogromny wpływ na mnie i Ziada. Jestem mu dozgonnie wdzięczna, że mnie uratował. Gdyby nie on, prawdopodobnie nadal gniłabym w więzieniu, bo służby dyplomatyczne bardzo opieszale, żeby nie powiedzieć, że w ogóle nie zajęły się moją sprawą. Prawdopodobnie potraktowano mnie jak cwaniarę, która chciała wyłudzić pieniądze i słusznie trafiła za kratki. Ziad o mnie walczył. Zorganizował spłatę obu długów. Zebrał pieniądze od ludzi w kurorcie, czym sporo ryzykował, bo to też jest w Dubaju nielegalne. Sporą część tej kwoty wpłaciła jego siostra Naila i Abbas, teraz już jej mąż. On sam pozbył się swoich oszczędności.

Czyli jesteście razem...

Niedługo po tym, jak wróciłam do Polski, przyleciał do mnie, ale wyraźnie coś między nami pękło. Nie wiem, co się zmieniło. Czy miał na to wpływ gwałt, którego ofiarą padłam, czy wszystkie traumy, które stały się naszym udziałem. Ziad wiedział, że jedynym sposobem na to, by ze mną być, jest jego wyjazd z Dubaju, a na to chyba nie był gotowy. To nie znaczy, że nie kochał mnie wystarczająco, bo ja też nie chciałam do reszty rujnować jego poukładanego życia, przynajmniej tego zawodowego. Mimo głębokiego uczucia wypuściliśmy się z objęć. Ale on na zawsze pozostanie miłością mojego życia.

Na koniec zadam ci pytanie, które sam często słyszę od swoich czytelników. Czy warto jeździć do krajów arabskich? Czy jest to bezpieczne?

Warto. Podróżowanie to jeden z największych przywilejów, jakie mamy my, ludzie żyjący w erze samolotów, szybkich pociągów, kosmicznych aut i nowoczesnych autostrad. Strach nie ma sensu, bo nie jest on w stanie przed niczym nas uchronić. Tym, co może nas ustrzec przed kłopotami, jest wiedza. Podróżując, warto jak najwięcej dowiedzieć się o miejscu, do którego jedziemy, respektować jego kulturę i zwyczaje. Mogą się nam one wydawać dziwne, czasem wręcz nieakceptowalne, ale przecież jeśli decydujemy się na wizytę w czyimś domu, nawet jeśli nam się nie podoba, nie zabieramy się do jego remontowania, tylko przyjmujemy to, jak urządził go jego gospodarz.

Spis treści

Prolog

CZEŚĆ I

ROZDZIAŁ 1. Pomyłka

ROZDZIAŁ 2. Rezydentka

ROZDZIAŁ 3. Hurghada

ROZDZIAŁ 4. Dubaj

ROZDZIAŁ 5. Khobez

CZEŚĆ II

ROZDZIAŁ 6. Marhaba

ROZDZIAŁ 7. Influenza

ROZDZIAŁ 8. Pielgrzymi

ROZDZIAŁ 9. Teściowa

ROZDZIAŁ 10. Awans

CZEŚĆ III

ROZDZIAŁ 11. Siostra

ROZDZIAŁ 12. Ucieczka

ROZDZIAŁ 13. Pułapka

ROZDZIAŁ 14. Koniec

ROZDZIAŁ 15. Kurort

Epilog

zapraszam na... (P)